



ODGŁOSY

CZŁOWIEK i KULTURA ★ CZŁOWIEK i KULTURA

JERZY WAWRZAK

DZIESIĘĆ DNI W MOSKWIE

Systematyczne i dość szczegółowe informacje w prasie codziennej zwalniają mnie z obowiązku informowania — gdzie, co, kiedy — w zamian za to kilka osobistych refleksji o niecodziennym przebiegu Dni Kultury Polskiej w ZSRR, jakie miały miejsce w dniach od 2 do 12 w Moskwie i całym Związku Radzieckim, rozpoczynające w bratnim kraju obchody związane z XXX-leciem Polskiej Ludowej.

DZIEŃ PIERWSZY

nie ma nic w sobie z przygotowań i aklimatyzacji. IL-em do Moskwy leci się niewiele dłużej, niż jedzie pociąg z Łodzi do Warszawy. Więc śniadanie w Warszawie, obiad w Moskwie, wieczór na galowym koncercie w Pałacu Zjazdów na Kremlu. Z lotniska odbierają nas pisarze radzieccy. Wśród nich starzy znajomi: Wiktor Borysow, Włodzimierz Bielajew, Zaki Nuri.

Na przedmieściach Moskwy samochody przystają. Pomnik, jakiego nigdy nie widziałem. Przejmujący prostotą i technieniem grozy. Aż tutaj podeszli Niemcy. Na płaskim, niewiele wystającym z ziemi obelisku trzy stalowe „hiszpańskie jeże”, gigantycznych rozmiarów zapory przeciwczołgowe. Nic więcej, bo więcej nie trzeba tym, którzy walczyli i tym, którzy o walczących zachowali wdzięczną pamięć.

Pierwsze rozmowy w Związku Literatów, długi obiad, chociaż trzeba się jeszcze zainstalować w hotelu „Rosja” i zdążyć na koncert inauguracyjny. A pamiętać przy tym należy, że „straciłmy” dwie godziny na zmianie czasu.

W PAŁACU ZJAZDÓW

Przyznam się, że niemal jednakoowo interesuje mnie to, co dzieje się na scenie, jak na wielotysięcznej widowni w czasie koncertu, a także i w antrakcie. Aktorzy i publiczność. W widowisku w reżyserii Aleksandrowicza wystąpił nasz pierwszy garnitur, aktorzy najlepsi i najbardziej popularni w Związku Radzieckim. W montażu teatralno-filmowym twórcy widowiska podjęli ambitny wysiłek zilustrowania naszego Trzydziestolecia, akcentując początek tej drogi, początek na nowo określonej przyjaźni. A efekt? Stały akompaniament oklasków, braw zrywających się spontanicznie podczas piosenek, wierszy, tańców „Mazowsza” i Zespołu Wojska Polskiego.

DZIEŃ DRUGI

DOSTOJEWSKI I GORKI

Trochę oddechu po galopowym tempie pierwszego dnia. Początek kwietnia, ale Moskwa jest nam iaskawa, jest ciepło, pogodnie. Miesz-

Dalszy ciąg na str. 6



Czytaj na str. 8-9

W OCZACH MŁODYCH

RYSZARD BINKOWSKI

DWAJ PANOWIE Z NIEZŁYM KODEM

Młody człowiek w ciemnych okularach postawił obok lady obciążone pokrowcami instrumenty i trochę niepewnie zaczął się rozglądać wśród zastawionych książkami gablot.

— Może ja panu będę mógł pomóc? — zagadnął uśmiechając się sprzedawca.

Młody, nieco zmieszany, powiedział:

— Wie pan, chciałbym coś takiego do pociągu...

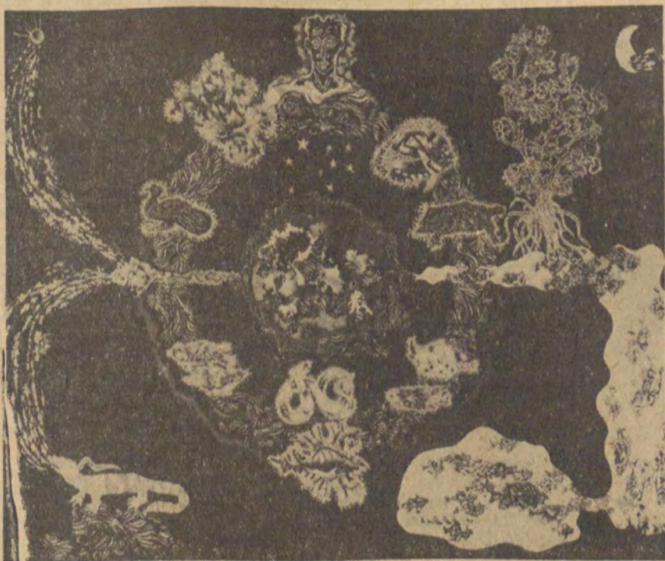
— Służę uprzejmie!

Wyłożył na ladę kilka tytułów, wyjaśnił, co warto przeczytać, kim jest autor itp.

— A to pisarz niemiecki — mówił — powieść raczej obyczajowa. Radzę wziąć tę drugą...

— No, tak — bąknął zażenowany klient tylko, że mnie pewnie nie starczy pieniędzy...

Dalszy ciąg na str. 4



GOBELIN

JEAN LURCAT

Czytaj na str. 15

SPRZĘŻENIA ZWROTNE

Spoleczno-gospodarcza polityka partii, realizowana konsekwentnie przez ostatnie lata, a określona uchwałą VI Zjazdu PZPR, przyniosła już szereg korzystnych zmian w naszym życiu społecznym. Wyrażają się one nie tylko systematycznym wzrostem realnych dochodów ludności, dążeniem do uregulowania polityki płac, ale również poprawą warunków pracy i wypoczynku. Prowadzona w ostatnich latach z dużym rozmachem modernizacja wielu gałęzi przemysłu przyczynia się nie tylko do zmiany na lepsze warunków pracy, ale też pozwala dostarczać dla potrzeb krajowego odbiorcy coraz to więcej i lepszych wyrobów.

„W pojmowaniu dobra człowieka — powiedział na ostatniej naradzie działaczy gospodarczych, partyjnych i związków zawodowych I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek — bardziej niż w jakiegokolwiek dziedzinie nie wolno poprzestawać na osiągniętych. Postanowienia I Krajowej Konferencji Partyjnej oraz uchwała XII Plenum KC PZPR dowodzą, że posiadamy dalekosiężny program dalszych socjalnych przemian.

Program ten powinien być realizowany w każdym przedsiębiorstwie, instytucji, każdym zespole. Od tego zależy bowiem dalszy rozwój przedsiębiorstwa, instytucji, zespołu. Zależy to od klimatu, jaki w nich powstanie, jaki wytworzy się wokół spraw ludzi, ich dobra, a to znów wpływa w

sposób decydujący na ich pracę, na wyniki, jakie osiągają. Umiejętność posługiwania się tym sprzężeniem zwrotnym spoczywa w rękach ludzi, którym powierzono kierowanie każdym zespołem. Poprawa warunków pracy zależy przede wszystkim od sprawności realizowania programu modernizacji, ale nie tylko. Wiele można poprawić i zmienić na korzyść bez nakładów pieniężnych. Potrzeba tu dbałości o to wszystko, co przedsiębiorstwo i załoga już posiadają, o umiejętność jak najlepszego wykorzystania posiadanego socjalnego wyposażenia, troski o ład i porządek. Potrzeba jest zaradności, inicjatywy, aby umiejętnie gospodarować tym, co się posiada i umiejętnie pońmować ten stan posiadania.

Aby rezultaty osiągnięte w zakładzie pracy mogły mieć swój pełny walor, muszą one współgrać z innymi poczynaniami, musi nastąpić zwrotne sprzężenie z tym wszystkim, co dzieje się poza przedsiębiorstwem z należytą funkcjonalną komunikacją, handlem, siecią placówek usługowych. Dążymy bowiem do tego, aby czas przeznaczony na odpoczynek człowieka pracy mógł być jak najpełniej wykorzystywany, aby korzystne zmiany zachodzące w zakładzie pracy nie były niwelowane przez zbyt jeszcze opieszale doskonalące się zakłady handlowe, usługowe i inne, które również powinny dążyć do tego, aby ułatwiać ludziom życie, a nie utrudniać. I w tej dziedzinie potrzebna jest współpraca organizacji związkowych z władzami miasta, dzielnic, z samorządami mieszkańców, z terenowymi organizacjami partyjnymi, gdyż potrzebny jest wspólny wysiłek, aby żadna z inicjatyw i żądań z działan, podejmowanych w jednym miejscu nie mogło być zaprzepaszczone w innym. Sprzężenia zwrotne odkryto już dawno i warto o tym pamiętać.

M. R.

WIZYTA

23 i 24 kwietnia 1974 roku na zaproszenie Łódzkiego Zarządu TPP-R gościł w Łodzi ARTUR BUDAKOW — sekretarz-attaché prasowy Ambasady Radzieckiej w Warszawie. Spotkał się on z młodzieżą Łodzi, załogami łódzkich fabryk, był przyjęty przez sekretarza KL PZPR — Zbigniewa Fałńskiego a także złożył wizyty w redakcjach łódzkich gazet.

Tow. A. BUDAKOW złożył wizyty w naszej redakcji, w czasie której dzielono się poglądami na rolę i funkcje prasy we współczesnym społeczeństwie, oraz zapoznaliśmy się z zamierzeniami redakcji.

PROSZĘ O GŁOS!

ŁÓDZKIE BESTSELLERY

„Przegląd Księgarski i Wydawniczy”, jak co roku, zwrócił się do polskich wydawców z następującymi pytaniami:

1. Która z książek zaplanowanych przez Wasze Wydawnictwo na rok 1974 chciałoby jego kierownictwo w szczególności zarekomendować na rynku księgarskim i z jakich względów?
 2. Zbliża się jubileusz XXX-lecia PRL. Jaką książkę lub inicjatywę podjętą w okresie Polski Ludowej przez Waszą oficynę uważacie za najcenniejszą, najbardziej ważką, godną miana książki lub inicjatywy Trzydziestoletnia?
- W numerze 6 „Przeglądu” znaleźliśmy odpowiedzi na te pytania p. Barbary Lis — redaktora naczelnego Wydawnictwa Łódzkiego. Jest to lektura ze wszech miar interesująca. Ponieważ jednak „Przegląd” dociera do stosunkowo nielicznego grona odbiorców uważam, że typowanie polskich książek roku 1974 — dokonane przez Wydawnictwo Łódzkie należy udostępnić szerszemu gronu czytelników.
- Otóż WL proponuje jako książki roku 1974 następujące pozycje przekładowe: antologia poezji białoruskiej, tom opowiadań białoruskich, wybór wierszy Maksyma Tanki — wybitnego poety białoruskiego oraz powieści młodego pisarza z Syberii, mówiąca o poszukiwaczach rudy, górnika i portowca... Są to książki cenne i tylko szkoda, że zabrakło w łódzkiej oficynie szerszego wachlarza propozycji.
- Wydać się jednak aż nieprawdopodobnie, że wydawnictwo działające w dużym środowisku literackim, nie jest w stanie zaproponować ze swej całorocznej produkcji ani jednej pozycji oryginalnej łódzkiego środowiska literackiego i naukowego.

Przepraszam. Jest taka pozycja. „Łódź 1423—1973. Album dokumentów o Łodzi”. I tu zdziwienie. Otóż taka książka już jest! Wydana została przez Polskie Towarzystwo Historyczne i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi. Nazywa się „Łódź 1423—1823—1973. Zarys dziejów i wybór dokumentów”. Autorzy: Ryszard Rosin i Mieczysław Bandurka. Ukazała się w roku 1974.

Tylko — o ironio! — nie w Wydawnictwie Łódzkim. Jaki jest zatem sens tego dublowania, jaki sens edycji drogiego albumu w czterech językach, zawierającego fotokopie dokumentów wydanych już przez kogoś innego w formie przystępnej? Nie rozumiem.

Niestety — ten album dokumentów jest jedyną oryginalną (choć wątpliwa to oryginalność) pozycją rekomendowaną przez wydawcę na rok 1974. Reszta to przekłady, cenne, ale nie obrazujące oryginalnego dorobku łódzkiego środowiska.

A może tego dorobku nie ma? Może jest on mitem? Chyba jednak nie. „Głębokie źródła” Wandy Karczewskiej, nagrodzone powieści Wacława Billińskiego, Wiesława Jażdżyńskiego, Ryszarda Klimczaka, które w tym roku się ukazały... Niestety — nie w Wydawnictwie Łódzkim. Tomy poezji Konrada Frejdlicha i Marka Wawrzkiwicza... Niestety — nie w Wydawnictwie Łódzkim...

Zmowa pisarzy, czy nieuczulość wydawcy? W każdym razie efekt jest taki, że WL na rok bieżący może zaproponować tylko przekłady i wybór dokumentów.

Jeśli chodzi o odpowiedź na drugie pytanie, to wydawca rekomenduje siedem pozycji ze swego dotychczasowego dorobku. Wśród nich książki takie, jak Czerniaka „Trzy zorze dziewięcie”, Gomoliczkiego „Białe runo”, Macha „Życie duże i małe”, Chrościelewskiego „Aureliana czyli zjazd koleżeńskich”, Szewery „Niech wiatr ją poniesie”, Zielińskiego „Początek wieku”...

W tym ostatnim wypadku wydawca zdradza pewną niekonsekwencję. Oto w ankiecie „Przeglądu” pisze: „książka ta zainteresuje zarówno historyka jak i szeroki krąg czytelników”. Biorąc do ręki wydany parę miesięcy temu „Początek wieku” i spoglądam na metryczkę. Nakład — dwa tysiące egzemplarzy! Szeroki krąg czytelników i dwa tysiące egzemplarzy?

Druga część odpowiedzi WL na ankietę „Przeglądu” nastraja optymistycznie. Oto widać, że było w dotychczasowym dorobku edytora parę pozycji cennych, głośniejszych, znaczących. Jest to wszakże przeszłość. Teraz nie należy westchnąć filozoficznie „Jest jak jest”, ale to smutne, że na te i innych oficyn wydawniczych prezentujących swoje bestsellery na łamach „Przeglądu” nie wypadliśmy najlepiej.

JERZY WILMAŃSKI

SPOTKANIA: KOGO, Z KIM?!

To co tutaj piszę jest spóźnione, albo o lat dziesięć. Może to również zabrzmi jak zgrzyt u progu inauguracji tegorocznych Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, które jak można sądzić z planów i przygotowań, będą miały w naszym mieście wyjątkowo uroczysty charakter. Ale dni, a nie życie.

Wpadł mi po prostu w ręce pewien wielce interesujący dokument przygotowany w ZG Związku Literatów Polskich na temat spotkań autorskich. Oczywiście nie mogę tu przytaczać szczegółów, cytować, bo nikt mnie do tego nie upoważnił. Chodzi o konkluzję, ogólną refleksję, które, niestety, pokrywają się z odczuciami piszącego do słowa. A są one dość jednoznaczne: spotkania autorskie nie zadowolają obydwu stron, ani pisarzy, ani organizatorów i czytelników. Bo w większości wypadków propozycje autorów są niezbyt atrakcyjne, mierne w

sensie przekazu intelektualnych wartości; z drugiej zaś strony, przygotowanie spotkań pozostawia jeszcze więcej do życzenia. W sumie, nie kwestionując słusznej idei spotkań z czytelnikami, można stwierdzić od lat postępującą ich dewaluację, rozminięcie się intencji z realizacją.

Zgłoszone przez Komisję ZG ZLP wnioski zasługują w pełni na poważne potraktowanie przez zainteresowanych tj. ZG i Zarządy Oddziałów ZLP, Ministerstwo Kultury i RSW „Prasa—Książka—Ruch”. Koncepcja podziału spotkań na „autorskie” i „tematyczne” ma nie tylko charakter formalny, ale wartościujący. Spotkania „autorskie” byłyby zastrzeżone dla pisarzy z dużym dorobkiem, których twórczość i osobowość oraz umiejętność nawiązywania dialogu ze słuchaczami — „upoważniają” do mówienia o sobie. (Określam to w największym skrócie). Takie spotkania musia-

łyby mieć odpowiednią oprawę i reklamę, jak każde większe wydarzenie w danym środowisku. Natomiast spotkania „tematyczne”, mówiące znów w ujęciu, zajęłyby obszerne przestrzenie i w pełni nie zagospodarowane obszary popularyzacji i upowszechnienia. Wiedza ludzi piszących, ich różnorodne zainteresowania, fakt, że każdy obok pisania uprawia konkretny zawód — to bogactwo, które w sposób pełniejszy niż dotychczas winno być wykorzystane. Z większym pożytkiem dla odbiorców — i może inną, ale nie mniejszą — satysfakcją samych autorów.

Literatura to gmach o wielu piętrach. Chciałoby się widzieć pustki niżej, a tłok na tych górnych. Ale jest jak jest. I nie o podział tu chodzi: na lepszych, gorszych i tych z Parnasu, ale o realistyczne wyciągnięcie wniosków z rzeczywistej sytuacji, o pożytek jaki przynosi zawsze likwidowanie fikcji. Dyskusje, które

odbędą się w najbliższej przyszłości w środowiskach literackich, winny przynieść dopracowane i szczegółowe propozycje nowego modelu spotkań z czytelnikami. Organizatorzy tych spotkań, partnerzy i pośrednicy z pewnością także wniosą swoje propozycje w efekcie długoletniego, praktycznego współuczestnictwa.

Póki co — u progu majowych spotkań, kiermaszy, festiwali — życzymy Czytelnikom i Autorom wszystkiego najlepszego.

JEŻ.

PS. Rok temu krytycznie pisałem o kiermaszu książki, co wywołało dość sporą polemikę prasową. Myślenie, że w tym roku będzie inaczej. Miłośnikom książki zachęcam gorąco, żeby osobiście poszli sprawdzić jak to jest.

Δ KRAJOWA INAUGURACJA tegorocznych DNI KULTURY, OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY odbędzie się 3 maja 1974 roku w Łódzkich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju. Z tej okazji Teatr Wielki w Łodzi da uroczysty spektakl „Jezióra Labedziego” dla załogi „Obrońców Pokoju”. Odbędą się też koncerty w innych zakładach przemysłowych miasta.

Od 1 maja br. rozpoczynają się ŁÓDZKIE DNI MŁODYCH. W programie imprezy rozrywkowe, sportowe, występy zespołów artystycznych. 17 maja łódzcy studenci, otrzymują klucze od miasta. W ramach „Juwenałów 1974” odł. dą się przeglądy teatrów studenckich, filmów, kiermasze i inne imprezy kulturalne.

Od 1 maja br. do 10 czerwca trwać będzie VI ŁÓDZKA WIOSNA ARTYSTYCZNA. 21 maja — otwarcie wystawy pokonkursowej: „Polska sztuka współczesna zaangażowana społecznie i politycznie”. 24 maja — IX OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI. 25 maja — ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE. Na początku czerwca wystąpi w Łodzi Teatr Belgradzki.

Δ PROFESORSKIE NOMINACJE. Na wniosek prezesa Rady Ministrów Rada Państwa mianowała 92 profesorów, w tym 27 profesorów zwyczajnych i 65

kiego, doc. płk Konstanty Markiewicz z WAM, doc. płk Tadeusz Orłowski z WAM, doc. Irena Grajewska z Uniwersytetu Łódzkiego i doc. Czesław

Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna II stopnia im. H. Wieniawskiego otrzymały nowe pomieszczenia przy ul. Sosnowej. W przyszłym roku obie te szkoły będą obchodziły 25-lecie istnienia. Obecnie w obu szkołach muzycznych uczy się 738 uczniów, a opiekują się ich zdolnościami 187 nauczycieli.

Δ W WYTWÓRNI FILMÓW OŚWIATOWYCH powstały dwa filmy poświęcone historii i interpretacji Biblii. Pierwszy nosi tytuł: „Co to jest Biblia?”. Drugi — „Interpretacje opowieści biblijnych”. Autorem scenariusza i komentatora jest Leszek Skrzydło. Muzykę skomponował Piotr Hertel. Opracowanie plastyczne — Andrzej Grun. Zdjęcia — Janusz Czeż. Konsultacja naukowa: doc. dr hab. Witold Tyloch, dr Eulalia Sajdak-Michnowska i mgr Czesław Zerolański.

Δ DLA INTERESUJĄCYCH SIĘ PRZESZŁOŚCIĄ zorganizowano w MUZEUM ARCHEOLOGICZNYM I ETNOGRAFICZNYM w Łodzi ciekawą wystawę pt. „Pomorze wschodnie we wczesnej epoce żelaza”. Na wystawie, prezentuje się eksponaty archeologiczne pochodzące ze zbiorów Muzeum Archeologicznego w Gdańsku.

NOTY i OPINIE

profesorów nadzwyczajnych. Między innymi profesorami nadzwyczajnymi zostali: doc. Mieczysław Olechnowicz z Uniwersytetu Łódzkiego, doc. Jerzy Starawski z Uniwersytetu Łódz-

Strumień z Politechniki Łódzkiej. Δ SZKOŁA MUZYCZNA w nowej siedzibie, Państwowa Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna I stopnia i Państwowa

„K A L E J D O S K O P”

W tych dniach ukazuje się w kioskach „Ruchu” nowy periodyk poświęcony sprawom kultury naszego miasta. Będzie to miesięczny informator kulturalny „Kalejdoskop”.

„Kalejdoskop” będzie informował co, gdzie i kiedy można zobaczyć i usłyszeć, będzie pomagał w wyborze ciekawego spektaklu, filmu czy wystawy...

Pismo to — w zgrabnym „foldorowym” formacie o ciekawym kształcie plastycznym i ogromnym walorach informacyjnych i poznawczych znajdzie się w kioskach „Ruchu” już w najbliższych dniach. Cena numeru 5 zł.

Celem tego periodyku będzie podanie możliwie pełnego serwisu wiadomości o wydarzeniach z życia kulturalnego Łodzi.

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Ogłosów” (17 z 25.IV.74) pod recenzją „Przygody Pana Kleksa” nie ukazało się nazwisko autora: ZYGMUNTA GZELLI. Za co Autora i Czytelników serdecznie przepraszamy.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ. Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI.

Było to latem 1955 roku. Kończyły się wakacje. Miałem odłożony jeden egzamin, zjawiłem się więc w Łodzi w połowie sierpnia i zacząłem regularnie chodzić do Biblioteki Uniwersyteckiej. Któregoś dnia spotkałem na korytarzu profesora Józefa Dutkiewicza.

— Co pan czyta? — zapytał bez wstępu.

Czytałem wtedy utwory Tadeusza Borowskiego zebrane w pięciotomowym wydaniu. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo nie o lekturze do egzaminu myślałem:

— Czytam Borowskiego.

— Borowskiego? — zastanowił się Profesor. — Nie znam. Był w powstaniu jeden taki, ale on nic nie pisał.

I dopiero, kiedy wyjaśniłem w czym rzecz, uśmiechnął się:

— No proszę, ja ciągle jeszcze tyle myślę o powstaniu listopadowym.

„Różnorodna i bogata działalność naukowa prof. Józefa Dutkiewicza — pisał o nim Andrzej Brzezinski i Waldemar Michowicz — koncentrowała się wokół trzech dziedzin wiedzy historycznej: 1. dzieł powstania listopadowego, 2. niektórych dzieł historii powszechnej XIX i XX w., 3. historii historiografii oraz metodologii”.

W nauce od dawna istniała pojęcia: „mistrz” i „uczniowie”. Można je pojmować w sposób uproszczony: mistrz — ten, który innym przekazuje wiedzę. Ale jest to określenie niewystarczające, aby zasłużyć na miano „mistrza”. Taki „mistrz” nie stwarza szkoły, nie jest w stanie przekazać swoim uczniom własnego sposobu myślenia, nie nauczy ich własnej metody oceny zjawisk historycznych, ich interpretacji, nie porwie ich własną pasją badacza. Prof. Józef Dutkiewicz był mistrzem w pełnym tego słowa znaczeniu. Był i jest autorytetem dla tych, których uczył, z którymi współpracował i współpracuje. Nie narzucał swych poglądów, szanował poglądy innych, uczył tylko mieć własne zdanie, umieć je budować w oparciu o argumenty.

W międzywojennym dwudziestolecu do rzadkości należały metodologiczne zainteresowania historyków. Nie zajmowano się również historiografią w naszym dzisiejszym pojęciu. Prezentowano sylwetki wybitnych historyków, ich dorobek naukowy, co własnego wnosiło do poznania historii. Józef Dutkiewicz właśnie w tym czasie zaczął interesować się teorią historii, rozpoczął studia historiograficzne i metodologiczne. W 1936 roku opublikował w „Wiadomościach Historyczno-Dydaktycznych” artykuł pod tytułem: „Leleweł o nauczaniu historii”, w którym wyznał, że interesują go problemy teorii historii. Interesował się wybitnym polskim historykiem — Szymonem Askenazym oraz Marcelim Handełsmannem.

„Koncepcja rozprawy o Askenazym — pisał o prof. J. Dutkiewicu Krystyna Sreniowska — uczonemu oraz nauczycielu całej plejady wybitnych uczniów, jest oryginalna i dotychczas w historiografii nie spotykana. Wykracza poza ramy banalnych ujęć postaci historyków”.

Wiele artykułów poświęcił Józef Dutkiewicz innemu wybitnemu historykowi — Marcelemu Handełsmannowi, którego poznał osobiście w 1923 roku. W 1972 roku w III tomie „Historiografii” Józef Dutkiewicz opublikował rozprawę pt. „Teoretyczne poglądy Marcela Handełsmanna” dając spokojną i rzeczową analizę dorobku tego uczonego. Obecnie w przygotowaniu znajduje się inna praca prof. Józefa Dutkiewicza, poświęcona „bardzo ciekawym problemom warsztatu naukowo-dydaktycznego Marcela Handełsmanna, jego działalności organizacyjnej, reakcji na wydarzenia polityczne itp.” (K. Sreniowska). Praca ta powstała w oparciu o sumienne przewertowanie i analizę korespondencji i papierów pozostałych po Marcelim Handełsmannie.

Niepodobna jest negować fakty historyczne. Niepodobna jest przechodzić obojętnie wobec szkół, jakie istniały w nauce historycznej. Można się z poglądami ich twórców nie zgadzać, można i trzeba odrzucić to wszystko, co w ich naukowym dorobku wynikało z innych warunków politycznych i społecznych, poglądów filozoficznych, stanu wiedzy, aby móc

wziąć to wszystko, co było i jest ich bezsprzecznym osiągnięciem, czym wzbogacili kulturalny dorobek naszego narodu, co stało się pod surową oceną czasu. Dotyczy to też szkół historycznych Szymona Askenazygo i Marcela Handełsmanna.

„... zadaniem prowadzącego seminarium — pisał o Marcelim Handełsmannie prof. Józef Dutkiewicz w 1961 roku w „Zyciu Szkoły Wyższej” — nie jest narzucanie swych poglądów, narzucanie swej doktryny. Tolerowanie odmiennych poglądów, odmiennych koncepcji u studentów uważał M. Handełsman za rzecz bardzo istotną. Będąc sam uczonem dużej miary, profesor gotów był cieszyć się, gdy wyniki pracy jego uczniów szły dalej niż jego własne, pokazywały nowe strefy, nieznane fakty. Ten liberalizm, jakże daleki od klasycznego dogmatyzmu, stanowił istotną cechę jego umysłowości i podstawowy warunek doskonałych wyników dydaktycznej jego pracy w Uniwersytecie”.

Takimi zasadami kierował się również profesor Józef Dutkiewicz. W latach 1948—1973 pod jego kierunkiem powstało 157 prac magisterskich.



Fot. Archiwum

W latach pięćdziesiątych wśród tematyki prac magisterskich przeważały sprawy powstania listopadowego, ruchów rewolucyjnych w Łodzi i Europie oraz wydarzeń politycznych z przełomu XVIII i XIX wieku. Wiele prac było też poświęconych sylwetkom wybitnych Polaków. W latach następnych zaczyna przeważać problematyka wydarzeń politycznych i społecznych dwudziestolecia międzywojennego. Profesor wyraźnie sugeruje studentom te właśnie tematy, biorąc pod uwagę zarówno to, że wśród jego współpracowników są specjaliści z historii najnowszej, jak również i to, że tego typu problemy są coraz bardziej potrzebne we współczesnej nauce. Prace z dzieł

nie dziwił, ani nie wyraził niechęci. — Dobrze — powiedział tylko — zrobimy małą przerwę w wykładach i na następnym spotkaniu powiem o historii masonerii.

Zdarzało mi się spotykać różnych wykładów. Jedni mówili barwnie, korzystając ze szczegółowych notatek, inni referowali swoje prace już ogłoszone drukiem lub przygotowane do druku, inni opowiadali „z kapelusza” historyczne anegdoty. Prof. Józef Dutkiewicz przyszedł na następny wykład z plikiem karteczek wielkości pudełka zapalek. Na każdej był jakiś, jemu tylko wiadomy znak, „nabazgran” grubo temperowanym ołówkiem. Zbliżał te karteczki do okularów krótkowidza i mówił. Siu-

powstała listopadowego — okresu największego zainteresowania Profesora — zdarzają się już wyjątkowo.

Sięgając do wykazu 157 prac magisterskich, jakie w latach 1948—1973 powstały pod kierunkiem prof. Józefa Dutkiewicza. Znajdując tam nazwiska pracowników nauki: Władysława Karwackiego — dziś docenta, pracownika Polskiej Akademii Nauk, Lucjana Kieszczyńskiego — samodzielnego pracownika nauki, Waldemara Michowicza — docenta, wicedyrektora Instytutu Historycznego UL, Michała Szalowskiego — pracownika Biblioteki Instytutu Historycznego. Reżysera Wytwórni Filmów Oświatowych — Zygmunta Skoniecznego, Nauczyciela, działacza partyjnego i wykładowcy wyższych uczelni — Zenona Michalskiego. Działacza partyjnego i rad narodowych — Adama Kozłowskiego. Byłego dziennikarza „Głosu Robotniczego” i dziennikarza „Trybuny Ludu” — Witolda Majaka. To tylko nieliczni z tej 157-osobowej grupy, którzy przed 26 laty zdobywa-

chaliśmy zafascynowani jego wiedzą, erudycją i byliśmy przekonani, że te karteczki były mu zupełnie zbędne. O historii masonerii mógł mówić od razu, bezpośrednio po pytaniu, ale jego rzetelność uczonego nie pozwała na to. Musiał wszystko dokładnie sprawdzić, aby nam — którzy nieśmiało i trochę z przekory mieniliśmy się jego uczniami — powiedzieć tylko to, czego był absolutnie pewien, aby drobną pomyłką, tak przecież łatwą przy ogromie historycznych lektur, nie osłabił swojego autorytetu. Pracował na ten autorytet przez szereg lat. I każdego dnia pomnażał go i umacniał swoją rzetelnością, trudną pracą uczonego.

Józef Dutkiewicz urodził się 7 marca 1903 roku. Urodził się w Czeladzi na Śląsku, w rodzinie inteligentnej. Jego ojciec był buchalterem i prokurentem w kopalni „Saturn”. Matka — nauczycielką domową. Józef Dutkiewicz najpierw uczył się prywatnie, a następnie — od września

resował się Józef Dutkiewicz jeszcze w czasie studiów, kiedy to zaczął pisać do „Pracy” w Czarotorykach.

Doktorat obronił w 1926 roku, ale prof. Władysław Konopczyński uznał, że praca wymaga jeszcze pewnych uzupełnień o materiały znajdujące się w archiwach zagranicznych, aby mogła ukazać się drukiem. W wydaniu książkowym ukazała się ona dopiero w 1933 roku.

W 1929 roku Józef Dutkiewicz otrzymał stypendium naukowe Funduszu Kultury Naukowej i dzięki temu mógł badać materiały znajdujące się w archiwach Wiednia, Paryża, Londynu i Berlina. Będąc za granicą zainteresował się metodologią naukową historii, hospitałowi lekturze historii w szkołach Londynu i Berlina, napisał na ten temat kilka artykułów w polskich periodykach naukowych. W 1930 roku Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zleciło mu nauczanie historii w czterech warszawskich szkołach podstawowych. W tym czasie dojeżdża też do Łowicza, gdzie wyklada historię w tamtejszym Seminarium Nauczycielskim.

Po przeniesieniu się na stałe do Łowicza przystępuje do pracy habilitacyjnej. W 1939 roku wyjeżdża do Paryża, aby w tamtejszych archiwach zebrać materiały do pracy o stosunku Francji do Polski w 1831 roku. Po powrocie nadal uczy w Łowiczu i dojeżdża do Kielc, gdzie wyklada historię na Wyższych Kursach Nauczycielskich.

W 1934 roku wydał książkę, będącą historią Seminarium Nauczycielskiego w Łowiczu. Do tego czasu miał już opublikowanych 26 recenzji i artykułów oraz wspomnianą już książkę pt. „Austria wobec powstania listopadowego”.

Wojna wstrzymała jego działalność naukową. Powrócił do niej zaraz po wyzwoleniu Polski. W listopadzie 1945 roku na Radzie Wydziału Filozoficznego złożył kolokwium habilitacyjne na temat: „Francja a Polska w 1831 roku”. Rozprawa habilitacyjna uzyskała dobre recenzje profesorów: Józefa Feldmana, Władysława Konopczyńskiego i Henryka Mościckiego. Nominację na docenta otrzymał Józef Dutkiewicz w maju 1946 roku i objął etat samodzielnego pracownika naukowego na Uniwersytecie Łódzkim.

We wrześniu 1950 roku został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a w kwietniu 1952 roku — profesorem zwyczajnym.

Wśród blisko 300 prac opublikowanych na łamach czasopism historycznych, oświatowych i kulturalnych, a także w formie książkowej, prof. Józef Dutkiewicz ma też kilkanaście publikacji na łamach „Kroniki” i „Ogłoszeń”. W „Ogłoszeniach” pisał Profesor między innymi o broniącej łódzkiej humanistyki, popularyzując wiedzę o powstaniu listopadowym i styczniowym, o nauczaniu historii, a także na tematy współczesne: o Konradzie Adenauerze, generale de Gaulle'u, stosunkach Polska — Watykan, czy też prezentując swoje przemyślenia i uwagi z dzieł dwudziestolecia międzywojennego — pisząc między innymi o pakcie Piłsudski — Hitler.

„Z temperamentu — napisał o nim Andrzej Brzezinski i Waldemar Michowicz — nie był i nie jest działaczem politycznym. Był i jest jednak wrażliwy na wszystko, co dzieje się w jego Otoczeniu. Angażował się w działalność społeczną, która miała związek z jego specjalnością naukową”.

Był działaczem Związku Nauczycielstwa Polskiego, jest działaczem Polskiego Towarzystwa Historycznego. Działal w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodniej, jest aktywnym członkiem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Szczerze oddany popularyzacji historii wśród społeczeństwa, rozumiejąc wagę i znaczenie historii w kształtowaniu myślenia politycznego współczesnych Polaków, popula-

Dalszy ciąg na str. 5

GRZEGORZ MATUSZAK

NA DALSZYCH POZYCJACH

Organizacje partyjne i związkowe zadania swoje w zakładach pracy realizują w sposób dobry. Generalnie rzecz biorąc, zastrzeżeń nie budzi realizacja funkcji opiekuńczych — opieka lekarska, ochrona pracy, opieka nad rencistami, żłobki, przedszkola, organizuje się wczasy dla pracowników i kolonie dla ich dzieci.

Natomiast zdecydowanie niekorzystnie wyglądają sprawy z zakresu działalności wychowawczej i kulturalno-oświatowej obserwowanych zakładów. O ile jeszcze można mówić o dobrych wynikach, choć nie wszędzie, w szkoleniu ideologicznym, podnoszeniu kwalifikacji zawodowych i ogólnych, to cały ogromny obszar spraw dotyczących zaspokojenia potrzeb kulturalnych pracowników, formowania i przekształcania ich osobowości, podnoszenia kultury wrażliwości, a wreszcie zagospodarowywa-

nia wolnego czasu, którego współczesny człowiek nie ma zbyt wiele, czeka na planową i sensowną działalność. Ukształtowane bądź utrwalone w fabryce cechy osobowe i potrzeby psychiczne pracownicy przenoszą do otoczenia, do rodzin, środowiska, a także przekazują je swoim dzieciom poprzez wychowanie. Od dawna wiadomo, że od poziomu kultury zależy jakość życia i dobrostanu społecznego, stosunek do pracy i zakładu, aktywność społeczna i zawodowa pracowników.

Rangę tych spraw podkreśla Uchwała VI Zjazdu PZPR mówiąca o organicznej jedności i wzajemnym uwarunkowaniu zadań gospodarczych i celów społecznych. Z humanistycznych ideałów socjalizmu wynika dążność i prawo człowieka do samorealizacji, do rozwoju swej osobowości, do stawiania się coraz lepszym i wartościowszym członkiem społeczeństwa.

Tymczasem w działalności wychowawczej w zakładach pracy wyniki są nader skromne i niewiele potrafiłoby powiedzieć o efektach podejmowanej pracy. Dane statystyczne o ilości odczytów spotkań, szkoleń, świetlic i bibliotek są bardzo zawodne, bo skoro jest tak dobrze, to czemu jest tyle niedostatków widocznych nawet dla nieprawego obserwatora. Przepięszeniu rozwoju gospodarczego kraju nie towarzyszy również szybki rozwój socjalistycznego modelu ży-



Fot. Włodzimierz Paryś

cia, który kształtowany i upowszechniany winien być także w miejscu pracy.

W schematach organizacyjnych zakładów ich funkcje pozaprodukcyjne są uwzględniane marginesowo lub w ogóle pomijane. Działania wychowawcze, a w określeniu tym muszą się mieścić także treści ideowe, patriotyczne i internacjonalistyczne, podejmowane są amatorsko przez siły niefachowe i stąd efekty bywają zbyt małe

jak na potrzeby Polski lat siedemdziesiątych.

W obserwowanych zakładach istnieje jeden system działalności kulturalno-oświatowej, który oferuje zalodze typowy repertuar form i w sposób równie typowy oferta ta nie jest wykorzystywana przez większą część załogi. Związkowa model pracy kultu-

Dalszy ciąg na str. 7

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Popatrzył na nią zaskoczony. Nie tylko była ładna, młoda i apetyczna, ale, jak widać, znała swój fach.

— To ma iść do więzienia?

— Tak.

— Perfumy też?

— Tak by wyglądała. Dopóki one są tylko aresztowane, korzystają ze specjalnego regulaminu. Nie wiem, do jakiego momentu.

— Widział ją pan?

— Nie chce się za mną widzieć. Właściwie, co się stało z osobą, która rano była u mnie w łóżku...

Spodziewał się, że jeszcze Bessie tu zostanie.

— Wstała niedługo potem, jak pan wyszedł, zamówiła jeszcze jedną kawę i przysłała sama do kuchni pomóc mi zaparzyć.

— Calkim nago?

— Włożyła pański szlafrok, który walał się po ziemi. Pogadaliśmy trochę. Zrobiłam jej kąpiel.

— Nie nie mówią?

— Opowiadała, jak spotkaliście się, następnie co zaszło tej nocy. Była zdziwiona, że jestem tu pierwszy dzień i dodawała, że na pewno w najbliższej przyszłości będzie mnie pan potrzebował.

— Do czego?

— Odparta spokojnie.

— Do wszystkiego.

— Należ mi whisky, nie za dużo.

— Już?

— Wrzucił ramionami.

— Przyzwyczaj się do tego.

— Pan jest często taki, jak dziś w nocy?

— Prawie nigdy. Piję, ale - rzadko jestem pijany. Dziś rano miałem kaca, dopiero trzeci, czy czwarty raz w życiu. Pospiesz się.

No, tak. Przeszedł na ty. Jeszcze jeden królik więcej. Czuli potrzebę wzięcia ludzi do swego kółka, a to kółko było położone trochę, nawet znacznie niżej, od niego.

— Czy tak istotnie było? Nigdy nad tym nie myślał. Był przekonany, że kumple to paczka ludzi, którzy mają takie same upodobania i na których może liczyć.

A to nie była prawda. Inne rzeczy, w które wierzył, były też fałszywe. Któregoś dnia sporządził listę, taką jak Kocur na sukienki, bieliznę, buty i na reszcie. Zobaczył no, czy szwagierek, mimo wystawienia zwłok, był na ulicy Vrillière. To było mało prawdopodobne. Musiał pewnie stać przy drzwiach salonu, wysytlony na czarno, niedaleko trumny i świec z trzepoczącym płomieniem.

— Halo! Albert! Czy mógłbym mówić ze szwagrem? Tak. Wiem. Chcę z nim tylko zamienić parę słów.

Nieprzerwana deflacja, jak należało się domyślać. Mnóstwo urzędników, deputowanych, być może ministrów. Blanchetowie piastowali bardzo wysokie stanowiska. Trudno było przewidzieć, jak wysoko jeszcze zajdą.

Dlaczego ironicznie się uśmiechał? Nie zazdrościł im. W żadnym wypadku nie zgodziłby się być takim, jak oni. Nie mógł ich ścierpieć. Poza tym gardził nimi za to, że wszystkie ustępstwa, po których szli do "ariery. Określał to z upodobaniem jednym słowem, cuchnęli.

— To ja, Alain. Przepraszam, że ci przeszkadzam.

— Dla mnie jest to dzień bardzo ciężki, bardzo przykry.

— Właśnie. Dlatego też chciałem z tobą pomówić. Na pewno kręca się tam fotoreporterzy i dziennikarze.

— Policja usiłuje trzymać ich na dystans.

— Myślę, że lepiej będzie, jeżeli się tam nie pokażą?

— Ja też tak myślę.

— Jeżeli chodzi o dzień jutrzejszy...

— Nie wolno ci na miłość boską zjawiać się na pogrzebie.

— Miałem ci to właśnie powiedzieć. Jestem mężem mordercy, nieprawda? Nie licząc tego, że...

— Coż się z nim dzieje.

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia? — uciął Blanchet.

— Wszystko. Szalenie mi przykro.

Pragnę ci tylko powtórzyć, że ja temu nie jestem winien. Obecnie policja też jest tego zdania.

— Co im jeszcze naopowiadales?

— Nic. Komisarz przesłuchiwał mój personel. Byli też na ulicy Longchamp.

— Uparales się, żeby podawać szczegóły.

— Moje kondolencje, Rolandzie. Powiedz naszemu teściowi, że bardzo żałuję, ale nie będę mógł go zobaczyć. To znaczy człowiek. Jeżeli będę mógł mu się na coś przydać, wie, gdzie mnie znaleźć. Blanchet bez słowa położył słuchawkę.

— To był mąż?

— Mój szwager, tak.

Przyglądała mu się z miną niemal że kpiącą.

— Co cię tak śmiesz?

— Nic. Może zamówię taksówkę i zawiozę walizkę?

— Nie. Lepiej chyba już sam pojadę. Kontakt, mimo wszystko. Nie chodziło tu prawdopodobnie o miłość, nie o to, co ludzie nazywają miłością. Kocur przez całe lata dreptała przy jego boku. Była tu na miejscu.

— Jak to ona właściwie powiedziała do Rabuta? Ze nie zobaczy się z nim, z wyjątkiem rozprawy w sądzie przysięgłych itp. i to z daleka.

— A gdyby została uwięzioną? Fama głosiła, że w dziewięciu dziesiątych spraw, Rabut uzyskuje wyrok uławniający.

Wyobraził sobie przewodniczącego, asesora, prokuratora, przysięgłych wchodzących gęsię na salę, z ważnymi minami, przewodniczący czyta:

...na pierwsze pytanie: nie... Na drugie pytanie: nie...

Rumor na sali, być może nawet protesty, gwizdy, dziennikarze przeciskają się przez tłum, biegna do kabin telefonicznych.

— Coż to się dzieje? Co robi ona, w ciemnej sukience albo w kostiumie, między dwoma strażnikami?

Rabut odwraca się do niej i ścisła jej dłoń. Czy będzie szukała oczyma na sali Alaina? Czy on zostanie i będzie się jej przyglądał?

— Czy może jej uśmiech będzie przeznaczony dla kogoś innego?

— „Niech pan mu powie, że nie zobaczę się z nim, z wyjątkiem...”

Dokąd ona pójdzie? Nie wróci tu, gdzie większa część jej rzeczy znajduje się jeszcze na swoim miejscu. Czy przysięgła po nie kogoś? Czy przekaże mu listę, taką jak dziś rano?

— O czym pan myśli?

— O niczym, mój króliku.

Poklepał ją po krzyżu.

— Masz jedrne posiadki?

— A pan wolałby miękki?

Był już gotów... Nie, teraz nie. Musi pojechać na ulicę Roguette.

— Do zobaczenia.

— Wróć pan po południu!

— Na pewno nie.

— A więc do jutra.

— Prawda, do jutra.

Twarz mu się zachmurzyła. Oznaczało to, że wróci do pustego studia, że zostanie sam, że należy sobie ostatni kieliszek, obserwując światła Paryża i w końcu wejście do sypialni, zacznie się rozbiierać.

Popatrzył na nią, skinał głową, powtórzył:

— Do jutra, mój króliku.

Walizkę wręczył obojętnej matronie i teraz jechał przez dzielnicę, która mało znał. Przed chwilą przejechał koło cementarza Père Lachaise, gdzie na drzewach wisiały jeszcze nieliczne spłowiałe liście i zadawał sobie pytanie, czy tutaj pochowają jutro Adrianna.

Blanchetowie musieli gdzieś mieć grób rodzinny, na pewno nawet marmurowy wielobarwny pomnik, Alaina nie nazywał jej Adrianna, ale Bebe. Czyż nie należała ona do jego cyrku?

Za kilka minut Kocur otworzy wa-

lizkę, ułoży sobie sukienki, bieliznę, a poważną miną, zmarszczywszy brwi.

Zaczęła się organizować. Teraz miała swoje życie osobiste. Nie wyobrażała sobie jakoś jej celi. W gruncie rzeczy nie wiedziała absolutnie, jak toczy się życie w Petite Roguette i to go denerwowało.

— Czy była teraz z ojcem? Czy rozmawiała przez kraty, jak w niektórych filmach?

— Znalazł się na placu Bastylli i skierował w stronę mostu Henryka IV, by pojechać wzdłuż Sekwany.

— Piątek. Jeszcze w ostatni piątek, jak w każdy prawie piątek, zajęli wraz z żoną miejsca w jaguarze i jechali autostradą zachodnią. Mini samochodów używali w Paryżu. Na dalekiej trasie wyjeżdżali odkrytym jaguarem.

— Czy ona też o tym myślała? Czy nie zniechęcała się do mdłego świata, który ją otaczał i który - czuła to - był zakazony bakcyliami.

Po co nad tym rozmyślać? Postanowiła, że się z nim nie zobaczy. Nie drgnął, kiedy Rabut mu to oświadczył. Niemniej jednak ciarki przebiegły mu po grzbiecie. Zdanie to oznaczało tak wiele!

W gruncie rzeczy musiała się czuć wywołana, jak wdowa. Odnalazła swoją osobowość. Nie była już przyciębiona do kogoś, do kogo musiała dołączyć, tu albo tam, na dwójkę telefonu.

— Można by mówić. Teraz nie on by już mówił. Słuchano by już nie go, a ją. Teraz już dla adwokata, dla sędziego, dla strażnika, dla dyrektora więzienia ona była odrębną osobowością, liczyła się sama w sobie.

Kiedy zjeżdżała się z autostrady, wystarczyło przejechać przez lasy, by dojrzeć Nonnettes po środku lasu. Na ostatnie Boże Narodzenie kupili Patrickowi koze.

Chłopczyk więcej czasu spędzał z ogrodnikiem, zaczynającym Ferdynandem niż z nianią, panną Jacques. Było to jej nazwisko. Patrick nazywał ją Mamie co z początku obruszał Kocur. Ona była „mamą”. Ale „Mamie” w oczach dziecka była ważniejsza.

Powiedział tatusiu, dlaczego nie mieszkać tu wszyscy razem?

— Tak, dlaczego? Nie ma sensu rozmyślać. To nie zda się na nic, a jest niebezpieczne. Jutro pojedzie do Nonnettes.

— A mama? Gdzie jest mama?

— Coż to za odpowiedź? A jednak musi pojechać. Zresztą, w sobotę biura na ulicy Marignan są zamknięte.

Nie mógł wprowadzić wozu w podwórze, bo stała tu ciężarówka z mazułem. Z ledwością zaparkował, rzucił okiem na kolejkę ludzi przed okienkami. Oprócz konkursów założony został klub. Rozdzielano odznaki.

Bzdura, oczywiście. Z jednego pietra, wyposażonego w okazyjne meble i liczące parę pokoi biurowych, rozprzerzył się jednak na całą kamienicę; za rok zostanie ona całkowicie przebudowana. Zakład rósł z każdym miesiącem.

— Czołem, Alaina.

Starzy pracownicy, grupa która otaczała go od początku, ci, którzy stanowili już część paczki wówczas, gdy był jeszcze dziennikarzem, nazywali go Alaina. Inni mówili szefie.

— Czołem, mój króliku.

Lubił chodzić po piętach, odwiedzać różne działy, przemierzać wąskie korytarze, wchodzić i schodzić po stopniach, zaskakiwać swoich współpracowników przy pracy.

Nie robił ponurej miny, kiedy pięć czy sześć osób zastawał w pokoju jak opowiadali sobie anegdoty i zaśmiewali się do rozpuku. Śmiał się razem z nimi. Ale nie dziś.

Wspinał się na górę, próbując wyzwoleć się od ciężaru ponurych myśli, które go atakowały. Niektóre z nich były tak niejasne, że nie potrafiłby ich sformułować, ale całość była przytłaczająca.

Wyglądało to tak, jak by wszystko zostało nagłe zakwestionowane. Albo

też, jak by był obecny przy swojej własnej sekcji.

Maleskiego zastał w swoim gabinecie.

— Nie, proszę pani - odpowiadał na telefon. — Absolutnie nic nie wiadomo. Bardzo mi przykro. Nie mam nic do powiedzenia.

— Wciąż na temat...

— Jasne. Teraz wydzwaniania z kolei prowincja. To był telefon z La Roche-sur-Yon. Mam dla ciebie nowiny. Telefonował komisarz Roumagne. Prosił, żebyś wpadł do niego do biura, jak tylko będziesz mógł.

— Już jadę.

Ostatecznie, nie był z tego niezadowolony. Nie wiedział co ze sobą zrobić. Był przekonany, że wszystkim zawadza.

Najpierw wszedł do baru naprzeciwko na podwójną. Jak oświadczył Minnie, nie miał zamiaru przesadzać. Nie pił więcej, niż zazwyczaj.

Zawsze pił tak samo, być może dlatego, aby oderwać się od rzeczywistości. Kumple również pili. Z wyjątkiem tych, którzy pozeńszy się ubywali z paczki i których widywało się tylko od czasu do czasu. U nich wygrała żona. Czyż żona, mimo że na pozór wygląda inaczej, nie wygrywa zawsze?

— Czy Kocur, w ostatecznym bilansie, również nie wygrała?

— Minia o godzinie siódmej rano przekroczyła próg jego mieszkania. O godzinie jedenastej, czy o wpół do dwunastej wyszła już to, że została przyjeta na cały dzień. Bóg jeden wie, czy dziś wieczór nie zostanie jej w domu, oczekującej na jego powrót. Prawdopodobnie upłynie wiele czasu, jak zaczynał spać przy ulicy Fortuny.

— Podwójna?

Po co to pytanie? Nie wstydził się pić, być może jest już tym, kogo nazywają alkoholikiem. Obecnie nie był to już nałóg, a choroba. Coż człowiek poradzi na to, że jest chory.

— Nie za dużo pracy?

Ludzie mają talent do stawiania najbardziej niewłaściwych pytań. A przecież barman, który go znał od lat, był pełen dobrej woli.

— Absolutnie nie mam do roboty!

— Przepraszam bardzo. Sądziłem... jeszcze jeden?

— Nie.

Nie płacił. Regulował rachunek w końcu miesiąca, jak większość jego współpracowników, którzy od czasu do czasu schodzili na kieliszek. Z początku przynoszono do biura butelki. Ale szybko wszyscy się polapali, że to nie jest

to samo, że w końcu, odruchowo, pilo się z butelki.

— Czego od niego chciał zastępca komisarza? Dlaczego wezwanie nie pochodziło od sędziego śledczego?

Jutro mógłby się schować za rogiem ulicy, żeby zobaczyć przeciągający pogrzech... Adrianna przyglądała mu się w dziwny sposób... W jej oczach dostrzegł zawsze mały błysk płomyk, którego nigdy nie chciała mu wyjaśnić...

— Co cię tak bawi, Bébé?

— Ty.

— Dlaczego. Uważasz, że jestem śmieszny?

— Nie.

— Wyglądam komicznie?

— Na pewno nie. Jesteś raczej przy stojącym chłopcem.

Raczej...

— Czy wówczas, kiedy mówię?

— Skończyłam. Jesteś pieszczochem. Otóż on nie lubił być pieszczochem, jeżeli nawet z innych robił królików, bébé albo lekki.

Ostatecznie czy ona jedna nie brała go poważnie? Inni brali go poważnie: drukarze, biura kolportażu, banki. Nikt nie uważał go za smarkacza, ani za bliźnię.

— Jest pan umówiony?

Przed bramą policji zatrzymał go policjant.

— Czeka na mnie komisarz Roumagne.

— Klatka schodowa na lewo.

— Wiem.

Nie napotkał nikogo. Na górze wozy kazał mu wypełnić formularz. W rubryce: cel wizyty postawił znak zażywania.

Nie pozwolono mu czekać i inspektor, który znajdował się w gabinecie Roumagne'a, wprowadzając go, wycofał się od razu.

Tym razem komisarz serdecznie wyścignął ku niemu rękę, wskazał fotel.

— Nie spodziewałem się pana tak wcześnie. Zastanawiałem się, czy wpadnie pan do redakcji. Wiem, że zazwyczaj w piątek wyjeżdża pan na wieś.

Dalszy ciąg nastąpi



DWAJ PANOWIE Z NIEZŁYM KODEM

Dalszy ciąg ze str. 1

— Proszę więc wziąć tę książeczkę sensacyjną, za jedyne szesnastie złotych, na pewno będzie pan zadowolony.

Aby wyzwolić gościa z onieśmienia, szybko zmienił temat, pytając:

— Pan pewnie z tego konkursu? Myśmy go tutaj reklamowali, tak! A dziś chyba finały?

— Odjeżdżam bo nie doszedłem do finałów. Ale ten ogólnopolski konkurs młodych krębaczy podobał mi się!

— A Pabianiec?

— Też. Jestem z Wrocławia.

— Rozmach, piękne, rozległe miasto! Proszę się nie zrażać niepowodzeniem. I życzę przyjemnej podróży oraz dobrej lektury!

Żadne pitaraszenie agitki, żadna reklamówka. Ten sprzedawca nie siłił się na uprzejmość ze względu na moją obecność. Zdzisław Mikolajewski, księgarz pracujący od 22 lat w zawodzie, uhonorowany najwyższą, bo Złotą Odznaką Wzorowego Księgarza, taki jest właśnie na co dzień. Mogłem się o tym przekonać, kiedy zetknęłem się z nim po raz pierwszy. Marudziłem wtedy przy wyborze książek, a on, nie tracąc cierpliwości i uśmiechu wdrapywał się na półki, podawał nowe tytuły, doradzał; od ręki sporządził zamówienie na książkę, którą szczególnie

chciałem nabyć, a po tym wszystkim ścisnął mi na pożegnanie dłoń, powiedział:

— Było mi bardzo miło i proszę o nas pamiętać. Życzę przyjemnej podróży!

Stara renomowana szkoła. A może nawet coś rodzinnego, bo przecież wcześniej, podczas kanikuły, kiedy podkarmiałem się kryminałami, poznałem o wiele młodszego (rocznik 1947) brata Zdzisława, Jana Mikolajewskiego, który z pełnym zyczliwością uśmiechem zęgał mnie słowami: — Przyjemnych spacerów! I oby pan był zadowolony z lektury!

Aby lepiej poznać dwóch braci z księgarskiej ludy, spędziłem kilka godzin w księgarni, mieszczonej się na podwórku przy małej uliczce im. Suwary w Pabianicach.

Za szybami warkot pędzących samochodów, pisk opon zajeżdżających autobusów, zgrzyty hamujących tramwajów, czasem ostry gwizd lokomotywy z pobliskiego dworca kolejowego. A tu, wśród książek, cisza, prowadzone szepem sekretne rozmowy.

Tylko, że ja konstruuje ten nastrój, który zaraz będę musiał zburzyć. Może to i lepiej, że mniej patetyczności. Księgarnia prowadzi także sprzedaż materiałów piśmiennych, przyborów do pisania, papieru, płyt gramofonowych. Już od drzwi, przy ladzie, gdzie pracuje Jan, pada wielokrotnie powtarzane pytanie:

— Jest papier toaletowy?

Jan tłumaczy cierpliwie, że nie ma, ale w poniedziałek będzie na pewno.

— Czy w księgarni powinno paść takie pytanie?

— No, cóż, i na ten artykuł istnieje duże zapotrzebowanie.

— I pana to nie drażni?

— Papier toaletowy też ma coś wspólnego z kulturą — śmieje się Jan.

Mnie ten argument nie przekonuje. Ostatecznie sprzedają papieru toaletowego mogłyby się zająć wyłącznie kioski „Ruchu”. Ale młodszy Mikolajewski przywykł już do obsługi swojego stoiska. Kontakt z książką nie traci. Doskonale rozumieją się z bratem i wzajemnie się uzupełniają, gdyż obaj znają się na handlu książkami. Jan ma mniejsze doświadczenie, ale też niezłe orientuje się w nowościach, tematyce publikacji, czuje gusty i zainteresowania czytelników.

Niepoślednią rolę w wyborze zawodu księgarza odegrał starszy brat, który zaraził go miłością do książki.

— To było wczasy. Zdzisław przynosił książki do domu, podzurał co ciekawsze pozycje. Polubiłem książki już od najmłodszych lat.

— Jakże?

— Najwcześniej Brzechwy i Konopnickiej. Potem robiłem poszukiwania na własną rękę w bibliotekach. A jeszcze później zacząłem przychodzić do księgarni, gdzie pracował Zdzisław. Czasem zastępowałem go

za ladą, pomagałem w przyjmowaniu towaru. Dużo czasu poświęcałem też na wyszukiwanie książek potrzebnych mi do nauki. No i tak zadomowiliśmy się w księgarni na stałe.

Ochodzę na chwilę od Jana, gdyż przy stoisku u Zdzisława znalazła się nowa klientka. Polonistka. Spośród około dwudziestu zaoferowanych pozycji wybrała osiem tytułów. Słowniki, opracowania krytyczne, belestryka, książki niezbędne w każdym gabinecie polonistycznym.

— Tak, jestem zadowolona z zakupu. Kłopotów nastroczają tylko lektury. Dzięuję się, że wybrała opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza, wydany w „Bibliotece XXX-lecia”, nie zawiera żadnego opowiadania z lektury obowiązkowej...

Pan Zdzisław ma teraz chwilę czasu, więc mówię:

— Mam takiego jednego starego znajomego, kilkunastoletniego chłopca, który gra na loterii książkowej. Kiedyś był w trzech księgarniach, dwa razy wygrał, ale nie mógł wybrać odpowiedniej książki, więc przyszedł do mnie. Pomogłem. Lubię tego chłopca, gdyż rzeczywiście interesuje się książką. Przegląda spisy, wertuje uważnie każdą pozycję, robi zapiski. Lubię go też dlatego, że przypomina mi własne dziecięce lata, kiedy to zachłystywałem się powieściami kowbojskimi, przygodowymi, historycznymi. Zawsze interesowała mnie książka jako taka, poligrafia, katalogi itp. Nie bez znaczenia był wpływ szkoły na rozwój moich zainteresowań, a później praca w bibliotece. Ale sago roku Mikolajewskich nie ma, bo to ani trzeci, ani nawet drugie pokolenie w zawodzie księgarza...

— Zauważyłem, że ma pan swoich ulubionych klientów.

— Niby tak, ale ja bym tak nie powiedział. Bo każdy człowiek jest inny, zdradza inne zainteresowania. Ten interesuje się sztuką, ów powieściami kryminalnymi, jeszcze inny kupuje książki tylko ze względu na piękne, artystyczne wydanie. Mam też czytelnika, który zbiera wyłącznie dzieła Wankowicza i Marcyńskiego. Jestem przekonany, że nawet autor nie posiada tych - wszystkich pozycji. Jakże znalazły się w zbiorach czytelnika.

Każdego klienta, proszę pana, należy traktować z należytym szacunkiem tak, aby się czuł potrzebny w księgarni.

— Czy ta atmosfera pewnej intymności, ta uprzejmość i szacunek dla klienta wynikają z postawy i osobowości księgarza?

— Kłopotliwe pytanie. Przecież ja sam sobie nie będę kadził. Wiadomo jednak, że księgarnia to nie sklep rzeczniczy. Może samo otoczenie książek tak wpływa na zachowanie się klientów? No i oni sami też się chyba różnią od tych, na przykład ze sklepu monopolowego? I to zobowiązuje księgarza do należytego ich traktowania.

— Jest książka „Zemsta”? — przerywa starsza kobieta w popielatym płaszczu.

— Nie ma, ale może coś innego potrzebne do szkoły?

— A to niech pan już sam przejrzy tę kartkę!

Księgarz wyszukuje odnotowane pozycje, a babcia mówi:

— To dla wnuczka, bo sam, drań, wstydzi się tu przyjść.

— Babcia ma rentę, to kupi — śmieje się pan Zdzisław.

— A pewnie, jemu nie dajabym ani grosza, bo zaraz przepuści. Ale

PASJONACI

Co się stało, że się tak zawzięli? Że byli tacy twardzi i uparci. Że tacy są. Najpierw ich zgrubiałe od roboty dłonie dźwigały słupy. Nie było to trudne, ale każdy z nich napracował się solidnie. Potem te słupy wkopywali w ziemię. Tak pomagali przy elektryfikacji wsi. By w każdym obejściu było światło, by nie męcząc wzroku można było przeczytać drukowaną wtedy jeszcze na gazetowym papierze, popularną książkę, by poprzez radio mieć kontakt ze światem. Bo drogą maziastą, błotnistą w czasie wiosny i jesieni, zasypaną zimowym śniegiem, utrzymać ten kontakt nie było łatwo. Więc potem wzięli się za drogi. Piaszczyste, wyboiste, ciągnące się kilometrami przez sulejowskie lasy. A gdy już je mieli, jako-tako łączące ich z innymi wsiami a poprzez nie z Sulejowem i Piotrkowem, gdy furmanki nie grzęzły w koleinach, a sanie w zaspach, zachęcało im się wody. W każdej zagrodzie. By nie trzeba było ciągnąć wiadra ze studni, by nie skrzyplął żuraw, by woda płynęła z wodociągów. Wody potrzeba im było wiele. Dla siebie, na strawę, do splukania potu z czoła, przemycia zabrudzonych dłoni, dla zwierząt, dla warzyw w ogródku i kwiatów, które kwitły pod oknami.

Czasem im się nie udawało. A niby dlaczego od razu wszystko im miało iść jak z płatka. Przecież doświadczeń żadnych nie mieli. Ale mieli w sobie to, co najważniejsze, upór i wyrosła z tej piotrkowskiej ziemi, im tylko znaną, chłopską nieustępliwość. Jak sobie coś powiedzieli — to musieli tego dopiąć. Nie czekali aż im ktoś pomoże. Twarda szkoła życia nauczyła ich ojców, że co sam zrobisz to będziesz miał.

W 1949 roku zaczęli budować Wiejski Ośrodek Zdrowia. Najpierw w czynnie społecznym, a gdy władza ludowa zobaczyła, ile już swojej pracy włożyli, to i pieniądze państwowe na budowę dostali. Miało więc Ręczno, bo o tej wsi i jej mieszkańcach pisał, jeden z pierwszych w kraju Wiejski Ośrodek Zdrowia z Izba Chorych, z łózkami jak w prawdziwym szpitalu. Obecnie Ośrodek rozbudowuje się. Do obszernego budynku dobudowuje się nowe skrzydło.

Doktor Janusz Kulczyński, lekarz pediatra, a zarazem kierownik Ośrodka, oprowadza po Izbie Chorych. W niewielkich pokojkach po trzy — cztery łóżka. Tu — jest sala dla mężczyzn, tu dla kobiet — tam zaś pokoiki dla dzieci. Na korytarzu przed telewizorem chorzy. Przeważnie osoby starsze. Nie wszystkie z 15 łóżek są zawsze wykorzystane. Tłoczno się robi po zakończeniu prac w polu. Taka jest natura chłopska, że na luksus choroby można sobie pozwolić dopiero wtedy, gdy już wszystkie zobowiązania wobec tej, która ich żywi, małej ziemi, zostaną spełnione.

W Ośrodku Zdrowia pracuje jeszcze jeden lekarz stomatolog, dr Zdzisław Tużkiewicz, który nie tylko zęb zaplombuje, a jak trzeba to i wywiecie tak szybko, że nawet nie zabol, ale także z łopata pomoże przy melioracji, skopie klomb przed budynkiem Gminy, lub pomaluje ławkę

raze straży pożarnej. Gmina Ręczno jest chyba jedyną w Polsce instytucją, która posiada własny samochód ciężarowy, nie posiadając etatu kierowcy. A wiadomo, że żadna instytucja państwowa nie dostanie samochodu, jeśli nie ma etatu dla szofera. Ręczno jest w tej mierze chwałobnym wyjątkiem.

Warto opisać tę historię, gdyż jest ona nietypowa i zasługuje na popularyzację. Otóż swego czasu w Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia był oddawany do kasacji stary użyty samochód ciężarowy „Lublin”. Dla celów radiowych już się nie nadawał, swoje wystąpił, ale był jeszcze żywoty, nieźle się trzymał, no i co najważniejsze — jeździł. Fakt, że potrzebował kuracji odmładzającej, generalnego remontu, ale tego remontu instytucji państwowej nie opłacało się robić. Wówczas to do władz Radiokomitetu wystąpiła z oficjalnym pismem, już wtedy znana ze swych inicjatyw, gmina Ręczno, prosząc o przekazanie jej tego wozu. Baza międzykółkowa zobowiązała się w ramach prac społecznych samochodów wyremontować i oddać do dyspozycji ludności. Kierowcami, także społecznie, zobowiązali się być w razie potrzeby, zawodowi kierowcy z bazy. I tak to gmina otrzymała samochód ciężarowy, który rozwodzi rolnikom jak trzeba nawozy z gęsu, przywozi materiały budowlane. Ostatnio rzutem ręcznikiem wykombinowali od wojska starą, niepotrzebną cysternę. Już ją mają i będą nią dowozić chłopom w całej gminie paliwo do traktorów. By im skrócić czas na dojazdy, by im po prostu pomóc.

Ale nie tylko takie zdobycze mają w swej wsi ręcznianie. W Łodzi na przykład modernizowano kino „Baltyk”. Podczas remontu wymieniano stare krzesła na nowe. Stare normalnie spalony lub połamano, lub gnilyby w jakimś magazynie. Dzięki swoim sympatykom gmina dowiedziała się o tym. Znowu pojechała do Łodzi delegacja, znowu wypisano piękne pismo, no ho wiadomo, podkładka musi być, i w ten sposób wiejskie kino nie tylko, że otrzymało krzesła, ale także otrzymało panoramiczne projektory, bo właśnie „Baltyk” przechodził na system Todta, stare kurtyny, trochę podarte, ale wyreperowało je Koło Gospodyń. Z „Filmu” otrzymali ręcznikiem reflektory stare, już nieprzydatne na planie, ale znakomicie oświetlające scenę, gdy z sali kinowej przekształca się w widokową, a na estradzie występują artyści radiowego Wesolego Autobusu.

O tym wszystkim opowiadają mi Zimny z Karbowiakami w drodze do hotelu. Tak, do hotelu, bo wieś Ręczno posiada też hotel na 60 osób. Pokoiki cztero- i dwuosobowe, w każdym też natryski, w hallu telewizor, na dole zaś jadalnia.

„Ale zanim ten hotel powstał, najpierw powstało boisko. Na skraju wsi, pod lasem, był dość spory kawałek łąki. Wiejskie chłopaki lubili na tej łące poganiać za piłką. I tak zrodził się pomysł wybudowania boiska. Roboty ziemne wykonano, jak zwykle, po pracy — w czynnie społecznym. Gdy już teren był zniwelowany i trawa zasiana, wbito bramki, takie prawdziwe, zgodnie z przepisami. Potem zaczęli się ręcznianie bieżni. Słyszeli wtedy wiecie o tartanie. Postanowili zrobić własny ręczniak. W tym celu stare, tyse opony od traktorów, nadając się na smolec, zmiełili i wymieszali z żużlem. Dodali do tego czerwonej cegły, pod kolor, i bieżnię wokół stadionu włożyli grubą warstwą mieszanki. Następnie

przyszedł walec i wyrównał. Okazało się, że nie był to wcale taki zły pomysł. Na bieżni do tej pory trawa nie rośnie i kto chce się ścigać albo skakać w dal, ten z powodzeniem może te dyscypliny sportu uprawiać. W tym czasie akurat asfaltowano w gminie drogi. Cóż więc robili zmyślni ręcznianie? Prosząc do siebie tych, którzy asfaltowali drogi, niwelują błyskawicznie teren pod boiska do koszykówki i siatkówki i w ten sposób, obok boiska do piłki nożnej, powstały asfaltowane boiska do gier zespołowych. Tym gotowym już obiektem zainteresowała się Rada Wojewódzka Ludowych Zespołów Sportowych. Piękne lasy, piękniejsze jeszcze od spańskich, nadają się wprost idealnie na przebieżki dla sportowców. Wespół z władzami ówczesnego WKFFIT postanowiono zbudować w Ręcznie najpierw siłownię dla sztangistów, a potem hotel. Hotel już stoi. Mieszkają w nim nie tylko sportowcy. Organizuje się w Ręcznie kilkunasto konferencje, kursy.

Sekretarz gminy, Tadeusz Krasoń, mówi mi o nowym projekcie kursu, który chciałby zorganizować w Ręcznie. Byłby to kurs dla wszystkich gospodyń z tak zwanych wsi letniskowych, gospodyń, które zajmują się przygotowywaniem posiłków dla turystów. Gospodynie takie — mówi sekretarz — owszem, ugotować to umięją i to smacznie. Ale już jak skalkulować koszty posiłku, nie wiedzą. Nie znają zasad dietyki, a także z higieną, z kulturą posiłku są często na bakier.

Podobnie było z Domkiem Myśliwskim. Zaczęli go budować w lesie w pobliżu Cantorii. Nie pytali się nikogo o pozwolenie, tylko zaczęli szukać materiałów. Przede wszystkim drzewa, bo miał to być dworek stylowy. Projekt za darmo zrobili znajomi architektki z Kola Łowieckiego „Puchacz”, które tu właśnie ma swoje tereny łowieckie. Pracę dali ręcznianie. W 1970 roku dopięli swego. Dom Myśliwski wartości 700 tysięcy złotych został oddany do użytku. Dotacja państwowa wyniosła zaledwie 200 tysięcy. Teraz do tego domku wala się wszyscy drzwiami i oknami. Pośrodku izby dwa drzewa pod ścianami ławy, pieńki. Na pięterku dwuosobowe pokoiki. W ogniu myśliwi smażą na patykach kiełbaski. Latem, rozpalają w specjalnie okopanym miejscu ognisko. Siadają na brzozyowych pieńkach, które służą im za taborety. Wielkie pniaki, przykryte sosnowymi gałkami, jak serwetki, służą im za stoły. I nadziwić się nie mogą. Chwała, rozglądają się bacznie po wsi, patrzą na hotel, na panoramiczne kino, na szpital, na szkołę, która także jest w budowie, zerkają na „Skodę”, którą jeździ po wsi Zdzisiek Zimny — pan Nacelnik, czy „Warszawę”, która od lat wiernie służy Karbowiakowi. A jak jeszcze wypijać miódowceczki... i usłyszą, że jeszcze dwadzieścia kilka lat temu nie było tu niczego, że koniom trudno się tu było doczapać, z niedowierzaniem kiwają głowami i myślą, ot, znowu karmią nas tą swoją socjalistyczną propagandą. I jak im tu wytłumaczyć, że to wszystko powstało dzięki tym właśnie, nie wyróżniającym się od innych, ludziom. Że byli kiedyś tacy czas, że się zawzięli, że byli tacy twardzi i uparci, że uwierzyli w siebie i w tą władzę, która przecież była od nich tak daleko, hen! za tymi błotnistymi drogami.

ŻYCIE POŚWIĘCIŁ NAUCZE

Dalszy ciąg ze str. 3

ryzował wiedzę historyczną na szeregu spotkaniach z miłośnikami naszej przeszłości. Jego działalność publicystyczna na łamach „Kroniki”, „Przeglądu Kulturalnego”, „Odgłosów” stanowi również jeden ze sposobów popularyzacji wiedzy historycznej, uczenia współczesnych ludzi historycznego myślenia, które stanowi ważki element w politycznym myśleniu.

8.

Przez lata swojej działalności naukowej i dydaktycznej prof. Józef Dutkiewicz wychował 21 doktorów. Dwieście spośród nich prowadzi samodzielne prace naukowe w wyższych uczelniach kraju lub w zakładach Polskiej Akademii Nauk. Trzynastu swoje prace doktorskie opublikowało w formie książek, siedmiu — fragmenty jako obszerne artykuły w pismach specjalistycznych, dwóch — przygotowuje prace do druku.

9.

Władza ludowa wysoko oceniła naukowe osiągnięcia profesora Józefa Dutkiewicza. Rada Państwa przyznała mu krzyż: Kawalerski i Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał też medal Dziesięciolecia PRL, odznakę Zasłużonego Nauczyciela PRL, złotą Odznakę Uniwersytetu Łódzkiego oraz złotą Odznakę Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Może to drobiazg, ale profesor Józef Dutkiewicz, który większość swego życia poświęcił kształceniu młodych w Łodzi i w Łowiczu, który na Ziemi Łódzkiej organizował tajne nauczanie, który brał udział w organizowaniu szkolnictwa dla nauczycieli w Łowiczu i organizacji Uniwersytetu Łódzkiego, był jednym z pierwszych jego wykładowców — nie posiada ani honorowej odznaki m. Łodzi, ani województwa łódzkiego.

10.

W 1965 roku na Wydziale Historycznym UL obchodzone 40-lecie pracy naukowej prof. Józefa Dutkiewicza. Za rok minie pół wieku jego pracy naukowej. W ubiegłym roku Profesor skończył 70 lat.

Siedemdziesiąt lat w życiu człowieka to dużo czy mało? Nikt na to pytanie nie da wyczerpującej odpowiedzi, bo dla jednego będzie to bardzo dużo, dla innego szalenie mało. Wszystko zależy od tego, jak każdy z nas spożytkuje swoje życie, co zostawi z niego dla innych, jak wykorzystasz swoje umiejętności, zdolności i talent.

Siedemdziesiąt lat dla Józefa Dutkiewicza to stanowczo zbyt mało. Pracuje on nadal intensywnie nad zagadnieniami, które go zawsze interesowały i pasjonowały, nad przeszłością naszego narodu. Wypada więc życzyć Profesorowi wielu dalszych lat życia i owocnej pracy dla polskiej nauki; dla nas wszystkich.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

nie dziwota, chłopak bez ojca się chowa...

— On wszystko odrobi, babciu, odrobi...

— Dostane coś z Biblioteki Myśli Współczesnej? — pyta młody człowiek.

— Nie ma w tej chwili, ale ja mam dla pana piękną książeczkę!

Młody zawraca i przegląda podsuwane przez księgarza książki. Kolejna próbka dobrego rzemiosła. Gdyby nie te słowa, klient byłby już na ulicy.

— Przeglądałem tutaj wykaz nowości tygodnia, zapowiedzi wydawnicze — mówię — i zauważyłem, że większość z tych pozycji nie znalazła się u was na półkach! Czy wy, trochę oddaleni od centrów, nie jesteście w jakiś sposób dyskryminowani?

— Nie sądzę. Wszystko odbywa się według planu, podział jest sprawiedliwy, chociaż, muszę przyznać, większe księgarnie otrzymują więcej tzw. trudnych tytułów. My za to mamy więcej tytułów łatwiejszych. Poza tym możemy dobierać tytuły dowolnie, po pierwszym rzucie nowości, jeśli istnieje popyt, zamawiam dodatkowe ilości i zawsze je otrzymuję. Oczywiście, w centralnych ośrodkach nowości tygodnia, zapowiedzi wydawniczych. Między Warszawą a Łodzią dwa tygodnie różnicy, a między Łodzią i Pabianicami — tydzień.

— Ale panowie, urodzeni w Pabianicach, pozostajecie wierni temu miastu.

— Tak, bo wokół naszej księgarni, która zresztą jest bardzo dobrze zlokalizowana, zbiera się liczne grono

wiernych czytelników, wielu z nich dość dobrze zdążyłem poznać. W wielkim mieście, w natężonym ruchu społecznym, czytelnik jak gdyby niknie. W wielkim mieście czytelnika się nie pięci. Tutaj mogą sobie na wiele pozwolić, poświęcając każdemu więcej czasu. Stąd te krótkie pogawędki, to, co pan sam zauważył: „zaoraszam jeszcze”, „proszę się uzbroić w cierpliwość”, „będzie pan mile widziany” itd. I chyba dobrze, że nie jestem tylko „komputerem”. Muszę soytkać, co czytelnik już czytał, czym się interesuje. Czytelnik czuje się zadowolony, kiedy poświęcam dla niego czas i niekiedy mogę mu sprawić miłą niespodziankę...

Jakby na potwierdzenie tych słów przy ladzie stanęła mała, może dziesięcioletnia dziewczynka. Prosi o coś do czytania, ale konieczność Marli Konopnickiej. Zdzisław Mikołajewski podsuwa jej gruby tom wierszy i „Naszą szkapę”.

— Dlaczego kupujesz książki Marli Konopnickiej? — pyta.

— Bo ja bardzo lubię jej wiersze.

— A do księgarni lubisz przychodzić?

— Tak, bo tu mi się podoba, jest cicho i ładnie.

— No to zapakujemy ci ładnie te wierszyki będziesz na pewno zadowolona.

Mała czerwieni się. Zaciśka w piastce monetę pięciociztową, to za mało. Bierze „Naszą szkapę”.

— To bardzo wdzięczni czytelnicy — mówi pan Zdzisław. — Taka mała

przeczyta książkę, opowiada koleżankom, które później przychodzą do mnie po tę samą pozycję.

— Ale największą grupę czytelników — wtrąca Jan Mikołajewski — stanowią ludzie w średnim wieku oraz młode małżeństwa. Przeważają kobiety. Mężczyźni pytają głównie o książki techniczne, a ogólnie to istnieje ogromne zapotrzebowanie na wydawnictwa encyklopedyczne.

— A u pana, z tamtej strony, co najlepiej idzie?

— Papier toaletowy — śmieje się — i widokówki. No nie, żartuję. Oczywiście, płyty gramofonowe. Młodzi kupują aktualnie Jarocką, Gotta, „Brekout” ale sprzedają również Czajkowskiego, Brahmsa, Szopena. Powodzeniem cieszą się płyty z importu, lecz najbardziej rozchwytywane są nagrania różnych kapel podwórkowych, o które pytają zarówno młodzi jak i starsi. 50 egzemplarzy, jakie otrzymuję, rozchodzi się bardzo szybko.

— Przydałyby się chyba kasety i magnetofon.

— A tak, miałem kiedyś kasety i szybko poszły. Magnetofon staje się bardzo popularny...

— Bywam w księgarniach — mówię — i widzę, że zawód księgarza feminizuje się.

— Tak, a kiedyś było odwrotnie — wyjaśnia starszy z Mikołajewskich.

— Młodzi nie garnie się do zawodu... — Dlaczego? Młodych jest coraz więcej. Tylko, że przy nich musi

zawsze stać ktoś starszy. Nie zauważył pan, że w księgarni czytelnicy najchętniej zwracają się o poradę do starszego wiekiem księgarza? Tak, żeby się orientować we wszystkich działach tematycznych, należy opłacać spory zakres wiedzy. Decyduje staż, wieloletnie doświadczenie nie tylko wiadomości z notek bibliograficznych. A w ogóle, to ciężki zawód, proszę pana...

— Wcale na to nie wygląda...

— Wielka systematyka, układanie działów, sporządzanie alfabetu kartkowego nowości. Praca stojąca. Dźwiganie paczek. Kiermasze, wystawy, kolportaż, „ściąganie” autorów w Dniach Oświaty, Książki i Prasy. Godziny pracy takie, że cały dzień zajęty. Brak czasu na kontakty towarzyskie. W Pabianicach jest sześciu księgarzy, w ogóle stanowimy więc może dlatego szanujemy się. Nawijamy kontakty, wymieniamy doświadczenia dzięki pomocy Stowarzyszenia Księgarzy Polskich.

— Nieraz czujemy się zmęczeni — uzupełnia Jan Mikołajewski — zwłaszcza w te dni przed zakończeniem roku szkolnego, przed gwiazdką. A normalnie, tak po 13-tej i po 15-tej drzwi się nie zamykają. Dziennie obsługujemy, tylko przy samym stoisku z książkami, od 200 do 300 klientów.

— To dużo czy mało? — Dla nas dużo, i jesteśmy z tego bardzo zadowoleni.

— A czy nie cierpicie czasem na przesyt? Tzn. czy nie macie dość książki?

— Na przesyt książki chyba nie można cierpieć. W domu nie mamy zastawionych półkami ścian, ale posiadamy bibliotekę, i obaj czytamy. Najchętniej pamiętniki, wspomnienia...

Zdzisław Mikołajewski powiedział, że księgarnia znajduje się trochę za wysoko. Na tym podeście. Ludzie przechodzą chodnikiem nie dostrzegając zapelnionej książkami wystawy.

Wydaje mi się, że to wcale nie tak wysoko, bo przecież idą do niej wszyscy. I że ta księgarnia jest zwierzchniostką, w którym odczytać można zachodzące wokół zmiany. Uboga dzielnicowa „Piaski” rozrosła się do 10 tys. mieszkańców, w nowych blokach przy Ostatniej, Tkackiej, Toruńskiej mieszka już kilka tysięcy ludzi. Do księgarni wchodzi po książki i na krótką pogawędkę hydrobiolog, prof. Pawłowski, prof. Krakowski z PL, szwaczka z „Palli”, ślusarz z „Żarówki”. Zacięta się obraz proletariackich dzielnic domków rodzinnych i wąskiej elity inteligencji dawnych Pabianic, Księgarnia i jej czytelnicy stają się żywym świadectwem awansu społecznego i kulturalnego miasta.

RYSZARD BINKOWSKI

Włodzimierz Iljcz Lenin w formularzu wypełnionym w Krakowie w roku 1912 napisał: „zawód — dziennikarz”. W odpowiedniej rubryce podał również, że jest korespondentem ukazującej się w Petersburgu gazety „Prawda”.

„Prawda” bojowy organ prasowy bolszewików powstała właśnie w tym roku 1912 — dokładnie 5 maja ukazał się jej pierwszy numer. Włodzimierz Iljcz Lenin był jej współtwórcą i czołowym publicystą. Obok niego pisali tam w owym czasie m. in. I. M. Swierdłow, M. I. Kalinin, M. Gorki, D. Biednyj. „Prawda” była już wówczas pismem o profilu masowej gazety proletariackiej, utrzymywała się ze składek zbieranych przez petersburskich robotników.

W tych pierwszych miesiącach i latach nakład gazety wynosił 40–60 tysięcy egzemplarzy, co na owe czasy było nakładem zawrotnym nawet na tak wielki kraj jak Rosja.

Tuż przed pierwszą wojną światową władze carskie zlikwidowały „Prawdę”, a redaktorzy znaleźli się w więzieniach lub musieli emigrować. Reaktywowano ją 5 marca 1917 roku, jako centralny organ WKP (b) i do dziś jest to centralna gazeta partyną KPZR. Tylko, że dziś ma około 10 milionów egzemplarzy nakładu.

W walce o zwycięstwo Rewolucji Październikowej „Prawda” odegrała ogromną rolę i była — jak pisze historyk prasy, Lucjan Meissner, „kalendarzem drogi dziejowej prowadzącej przez trudny i wyrzeczenia do zwycięstwa zmieniających bieg historii świata”.

Na tych łamach publikowano po raz pierwszy najważniejsze dokumenty Lenina i władzy radzieckiej — tezy kwietniowe, dekret o pokoju, dekret o ziemi, wreszcie dekret Rady Komisarzy Ludowych proklamujący prawo narodu polskiego do samostanowienia.

Do Moskwy „Prawda” przeniosła się wraz z przeniesieniem stolicy Kraju Rad z Petersburga w marcu 1918 roku. Współczesna „Prawda” jest najpoważniejszym radzieckim pismem dziennym, a także czołową gazetą wśród organów prasowych partii komunistycznych i robotniczych. Rozpowszechniana jest na całym terytorium ZSRR, z tym oczywiście, że część nakładu drukowana jest poza Moskwą w dwudziestu różnych miastach, dokąd gotowe matryce docierają przy pomocy samolotów odrzutowych. Każdego dnia bieżący numer „Prawdy” kupić można zarówno w Kazachstanie jak i w Kamczacie.

Jak podaje cytowany już Lucjan Meissner, w redakcji „Prawdy” zatrudnionych jest ponad 130 dziennikarzy. Ponadto gazeta ma sześćdziesiąt stałych korespondentów krajowych i blisko trzydziestu zagranicznych. Na łamach „Prawdy” często zabierają głos czołowi przywódcy partii komunistycznych i robotniczych. Pamiętamy, że ostatnio publikowali w „Prawdzie” m. in. pierwszy sekretarz KC KPZR Edward Gierek, minister spraw zagranicznych PRL Stefan Olszowski. W „Prawdzie” zabierają głos także działacze ruchu obronczego pokole, intelektualści z całego świata, laureaci nagród leninowskich.

Ogromne są zasługi tej gazety dla sprawy socjalizmu na świecie, dla rozwoju i budownictwa socjalistycznego w Kraju Rad. Za te zasługi „Prawda” była dwukrotnie odznaczona Orderem Lenina.



„Izwestia” wspólnie z „Prawdą” tworzą potężny tandem prasowy. Nakład tej gazety sięga 9 milionów egzemplarzy, a jej wydawcą jest Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

„Izwestia” wyróżnia się przede wszystkim szybkością informacji, szerokim wachlarzem dziennikarskich form i atrakcyjną szatą graficzną. Od kilkunastu lat ukazuje się raz w tygodniu samodzielny 24-kolumnowy dodatek „Niedziela” („Tydzień”), cieszący się ogromną popularnością tygodnik o prawie dwumilionowym nakładzie.

Jak wynika z badań, przeszło połowę czytelników „Izwestii” stanowią ludzie w wieku od 30 do 55 lat. Ponad 72 proc. czytelników to ludzie ze średnim lub wyższym wykształceniem. Statystyczny czytelnik „Izwestii” jest czytelnikiem aktywnym, do redakcji wpływa dziennie około 1500 listów. Ponadto gazeta posiada bardzo rozbudowaną sieć korespondentów robotniczych i chłopskich oraz ogromny zespół autorów — specjalistów z różnych dziedzin, którzy współpracują z piśmie.

Pierwszy numer „Izwestii” ukazał się w Piotrogradzie, wiosną 1917 roku jako organ Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskiej. Po Rewolucji Październikowej gazeta ukazuje się jako organ prasowy Centralnego Komitetu Wykonawczego. Na łamach „Izwestii” opublikowane zostały najważniejsze historyczne dokumenty władzy radzieckiej. Po przeniesieniu stolicy do Moskwy gazeta zmieniła również swoją siedzibę. 8 lipca 1949 roku „Izwestia” odznaczona została Orderem Czerwonego Sztandaru.

Oprac. J. WILMAŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

kamy w samym centrum, w hotelu, który przytacza swoją gigantycznością, ale jest przy tym elegancki i wygodny. Znakomicie tu wszystko funkcjonuje. I wszędzie jest blisko, biorąc oczywiście moskiewskie proporcje pod uwagę. I w każdej porze cudowny widok na Kreml, na jego budowle, mury, wiele z czerwonymi gwiazdami i złote kopuły cerkwi Wasyla Błogostawionego, budowli, którą można podziwiać odrzucając wszelkie kryteria estetyczne, takich tu kolorów i kształtów pomieszanie.

I chociaż w naszej delegacji sami „moskwiczanie”, z racji częstego pobytu w stolicy Kraju Rad (Zbigniew Załuski, Wilhelm Szewczyk, Ernest Bryll, Zofia Bystrzycka) rozpoczynamy dość stereotypowo nasze peregrynacje. Są bowiem miejsca, gdzie się ciągle wraca, gdzie zawsze odkryje się coś na nowo, spojrzynaczej, znowu zabierze coś ze sobą. Jakże by więc pisarze nie poszli literackim tropem? Właśnie najpierw skromne muzeum Dostojewskiego przy ulicy jego imienia, obok Teatru Armii Czerwonej o nietypowej architekturze — kształcie pięciopięciopięcioramiennej gwiazdy.

Tuż Dostojewski spędził dzieciństwo, ale w kilku pokojach zgromadzone wiele pamiątek z całego życia: autografy, zdjęcia, setki wydań książkowych oraz to wszystko, co składało się na warsztat pracy genialnego pisarza. Słuchamy znanych i nieznanych szczegółów z życia pisarza, pochylamy się nad kartkami papieru, fascynujących zapisów w nieopisaną formą, wydawałoby się nie do odczytania. Widać z nich samotność i mękę twórczą, zdania, symbole, biegnące we wszystkich kierunkach, pogmatwane, rzucane pośpiesznie na papier, by w książce przyjąć formę piękniejszą, klarownego języka, myśli, które od dziesiątków lat fascynują cały świat.

W muzeum Gorkiego podobnie, ale i inaczej. Secesyjny pałac, duży, funkcjonalny. Tu Gorki spędził ostatnie lata swego życia. Już mniej jako pisarz, bo największe dzieła swego życia miał już za sobą — ale jako człowiek — instytucja, edytor serii wydawniczych, opiekun młodzieży literackiej, duchowy inspirator życia literackiego. Podobnie akcesoria muzealne: przy tym biurku pracował, tutaj czytał, odpoczywał, biesiadował z licznymi gośćmi z całego świata. Ale różnica zasadnicza — wszechobecne przekonanie, że ten człowiek nigdy nie był sam, otoczony rodziną, przyjaciółmi, aktywny i czynny do końca, otwarty, w odróżnieniu od tamtego wielkiego samotnika.

DZIEŃ TRZECI

ROZMOWY

W godzinach przedpołudniowych długie spotkanie w redakcji „Literaturnoj Gazety”. Kiedy wchodzimy fotoreporter „Gazety” pstryka aparatem. Niby zwykła rzecz, ale kiedy po mniej więcej godzinie wszyscy otrzymujemy zdjęcia z powitania, dziwi nas nieco ta szybkość, sprawność działania. A swoją drogą, zdjęcia są dobre.

Pochwalić trzeba nie tylko fotoreporterskie tempo, ale i redakcyjne w ogóle. Po dwóch dniach wychodzi numer gazety, tygodnika przecież — i jesteśmy w nim wszyscy przedstawieni. Są owe zdjęcia, krótkie noty, wypowiedzi z artykułem Zbigniewa Załuskiego, przewodniczącego naszej delegacji, który nie tylko z racji swej funkcji prezentuje najnowsze osiągnięcia naszej współczesnej prozy, plan ostatnich dwóch dużych konkursów z okazji XXX-lecia PRL i PPR. Padają tytuły książek, nazwiska autorów: Kawalec, Holuja, Auerskiej. Z satysfakcją odnotowujemy obecność Iodźki w tym towarzystwie: Wiesława Jazdyńskiego i Wacława Bilińskiego.

Towarzysze radzieckie informują nas o swoich sprawach, o najnowszych osiągnięciach literatury narodów Kraju Rad, o tym jak oni rozumieją rolę i funkcję literatury w życiu swego kraju. Rozmawiamy także o rzeczach bardziej przyziemnych z dziennikarskiego podwórka, o wielkości nakładów, obowiązkach, jakie spadają na pisma społeczno-kulturalne, o zamierzeniach i efektach dnia dzisiejszego. Wzdychamy ukradkiem, „Gazeta”, przy zrozumiałych proporcjach, w porównaniach polsko-radzieckich, ma prawie dwa miliony nakładu. Z tego parędziesiąt tysięcy idzie do kiosków, reszta w prenumeracie. I rzeczywiście w hotelu tylko z rana można dostać egzemplarz „Literaturny”, jak się tu ją sympatycznie nazywa.

DZIEŃ CZWARTY

POD ZNAKIEM POEZJI

Oficjalny, ale nie mniej serdeczny. Duże spotkanie ze środowiskiem kulturalnym Moskwy. Sala kinowa w Domu Literatury pełna, może z tysiąc ludzi. W prezydium nasza delegacja, przedstawiciele władz związkowych, Towarzystwa Przyjaciół Radziecko-Polskiej, tłumacze, poeci, aktorzy. Znowu niezmordowany Zbigniew Załuski mówi o pol-

skiej literaturze, o jej najważniejszych tendencjach, przekazuje pozdrowienia. Mówi świetnie po rosyjsku, tą znajomością nie wyniesioną ze szkoły, lecz wspólnie walczy, frontu. I tak już jest przy większości spotkań, tłumacze są bezrobotni. Zresztą i w tych kameralnych rozmowach nie ma kłopotu, w kołach, w których się obracamy, znajomość języka polskiego jest powszechna. Ale nie tylko mówią po polsku, ale rozumieją naszą kulturę, wysoce ją cenią, lubią po prostu, jak coś bardzo bliskiego.

Po wystąpieniach, jeśli rzecz można oficjalnych, choć więcej w

Wszechzławkowej. Wystawa jest stosunkowo skromna, ale nietawo w jednej, choćby największej sali, pokazać wszystkie kierunki edytorskie w Polsce i zilustrować je przykładami dzieł najwyższej rangi. Oglądamy więc to, co jest, książki współczesne i te, których długo trzeba by szukać w naszych bibliotekach — to pierwsze wydania dzieł do dzisiaj wznawianych i znaczących.

I ciekawy dział tłumaczeń na rosyjski, w tym najstarsze przekłady Mickiewicza, Słowackiego, Prusa, bibliofilskie białe kruski.

— Ale największym zaskoczeniem — po spotkaniu, jak zwykle lic-



nich serdeczność niż oficjalności, aktorzy i tłumacze recytują polskie wiersze. Koło mnie siedzi tłumacz Askar Eppel i do końca nie może się zdecydować, który wiersz przeczytać. Pokazuje mi świeżo wydany tom Leopolda Staffa we własnym przekładzie. I decyduje się na Staffa, nieśmiertelnym „Deszczem jesiennym” zdobywając najwięcej oklasków.

Słucham tych wszystkich wierszy ze wzruszeniem. Bariera języka tu nie istnieje, chociaż wbrew pozorom, nietawo jest przełożyć to nie raz nieprzetłumaczalne, jedyne. Słucham interpretacji, bo wiersze nie są czytane, lecz recytowane. Z pewnym namaszczeniem, zaśpiewem, gestykulacją. U nas recytuje się inaczej, sucho, oszczędnie, na jednej, najczęściej smutnej nucie. Kto wie, może szkoda, że tak chłodno podajemy nasze wiersze? Ale kiedy Ernest Bryll przeczytał w tej manierze jeden ze swoich wierszy „gruzińskich”, też się podobalo. Były brawa, na pewno nie kurtuazyjne. I dla wiersza, i dla popularności powszechnie tu znanego poety i dramaturga.

Po spotkaniu wyświetlono film „Ciemna rzeka” nie jest arcydziełem, ale jak na rzecz debiutanta, zrobiono dobrze, solidnie, z dużą dozą obiektywizmu, jak na trudną relację z czasów powojennych. Choć pewnie moglibyśmy na tym spotkaniu bliżej spojrzeć na większej randze artystycznej.

DZIEŃ PIĄTY

NIESPODZIANKA I ZADUMA

To jakby moje osobiste święta w Moskwie. Otrzymuję egzemplarz leningradzkiej „Newy”, miesięcznika o największym w ZSRR nakładzie — prawie trzysta tysięcy egzemplarzy — z przetłumaczoną przez Eugeniusza Niewiaka moją powieścią „Linia”. Długo rozmawiamy z tłumaczem, popijając koniak (jakże by inaczej przy takiej okazji). Przyjmuję zaproszenie do Leningradu na „biśnię noc”, umawiamy się także w Polsce. To wszystko absolutny przypadek, coś tam o zamiarach przetłumaczenia wiedziałem, ale dla autora liczą się tylko fakty. Niech mi więc Czytelnik wybacz ten osobisty, nieskomorny wtręt. Na usprawiedliwienie dodam trochę — Iodźki akcent obecnej wizyty.

Po południu jedziemy na cmentarz wagański, odwiedzić grób Jesienina. Skromny, pomnik, granitowy prostopadocian o wymiarach największych, maleńki placik. Na płycie jakby odcisk autografu, tylko imię i nazwisko, daty: urodzenia i samobójczej śmierci, równie trzydziście lat. Chwila zadumy, w pamięci jakiejś strzępy wierszy, legenda, barwna, szalona jak talent.

Nasza przewodniczka po Moskwie i tłumaczka, Zenia, redaktor odpowiedzialny naszego WAG, mówi, że często przychodzi tu młodzi ludzie. Recytują wiersze Jesienina, cicho śpiewają przy dźwiękach gitary, zostawiają kwiaty. Rzeczywiście grób jest nimi pokryty, o tej porze cicho i spokojnie. W tej ciszy patrzmy na profil poety, złoty medalion, wtopiony w szarobry granit.

Wracamy bogatsi o jeszcze jedno spojrzenie na Moskwę. Bo tak samo jak liczą się poznani ludzie, obejrzane dzieła architektury, domy i dzieła sztuki, tak samo liczą się cmentarze. Są częścią miasta, dosłownie i na każdy inny sposób lekcją o tej stronie świata.

DZIEŃ SZÓSTY

KSIAŻKI I CZYTELNICZY

Bierzemy udział w otwarciu wystawy polskiej książki w Bibliotece

nym, z miłośnikami polskiej literatury — jest wycieczka po bibliotece. Jest to instytucja ogromna, świetnie zorganizowana. Np. dział katalogów rzeczowych i alfabetycznych to kilka dużych sal. Tak samo pod ręczną pracownię, gdzie są wszelkie możliwe encyklopedie i słowniki, czasopisma. Oprócz nas pani Krajewska, opowiada świetną polszczyznę. Ktoś zdradza tajemnicę: to córka Krajewskiego, członka Biura Politycznego KPP. Pani Krajewska od lat organizuje cieszące się dużą frekwencją kursy języka polskiego. Ale najbardziej przekonuje naszą grupę do biblioteki — że jest tu „wszystko” — lektura fizek w pułdach katalogów. Znajdujemy tu po prostu wszystkie swoje książki. No, tak, nawet te mikro-tomiczki wierszy wydanych przed laty. Tak to dopiero teraz jak by ogarniamy ogrom księgozbioru. Doprawdy, niewiele jest takich bibliotek na świecie.

WIECZOREM

spotkanie w bibliotece rejonowej z młodzieżą szkolną i studencką. Oglądamy najpierw wystawę listek członków delegacji, przedstawiamy się i... zamieniamy rolami. Słuchamy co ci młodzi ludzie myślą o polskiej literaturze. Przyznam się, że było to dla mnie jedno z najbardziej frapujących spotkań. Właśnie ta ich swoboda, a jednocześnie przejęcie, z jakim mówili o naszych wielkich klasykach i autorach całkiem współczesnych. Znajomość przedmiotu i autentyczne zainteresowanie, samodzielne sądy. Trudno powiedzieć, czy to zasługa nauczycieli literatury, czy (to się potwierdza na każdym kroku) efekt powszechnego zainteresowania sztuką, literaturą — przekonanie, że „nie tylko samym chlebem się żyje”.

DZIEŃ SIÓDMY

TRETIAKOWSKA, MANEŻ I ZEMLA

Najpierw ta wielokrotnie opisana Mekka sztuki malarskiej. Tu trzeba by spędzić kilka dni, aż wstyd to przebiec w tak szybkim tempie. Pozostaje tylko wrażenie konieczności powrotu, spokojnej kontemplacji. Tak to właśnie tutaj ma miejsce. Ludzie oglądają uważnie, z bliska i dalszej odległości, w najlepszej perspektywie dla oka. Zerkają do katalogów, notują (tak!), aby zapamiętać? utrwalić wrażenie? powrócić. Musimy więc, niestety, wybierać, decydujemy się na ikony Rublowa, Teofanta Greka, anonimowych mistrzów. To cudowne, jeszcze męchniejsze wrażenie niż na wystawie ikon, którą oglądaliśmy kilka dni wcześniej.

I dla jakiejś proporcji, oddechu, wystawa (jako integralna, zmieniająca się ekspozycja) malarstwa włoskiego z XVII wieku. Też cuda, chociaż inne, bardziej zrozumiałe, jako że z pnia owej kultury śródziemnomorskiej wyrosliśmy.

Tak samo jest w Maneżu. Podobne zainteresowanie wystawą malarstwa polskiego. Długa kolejka, tłumy ludzi. Pokazaliśmy tu, co mamy najlepsze, co w kraju trudno razem zobaczyć, jako że dzieła te po różnych muzeach i galeriach są rozproszone. Oczywiście to normalna rzecz, ale ta summa robi wrażenie niecodzienne i jest wspaniałą wizytówką naszej kultury.

Jeszcze w Warszawie Gustaw Zemla zaprosił nas na swoją indywidualną wystawę rzeźby. Wystawa jest niewielka, nastrój kameralny, ale to autentyczna okazja do pomyślenia nad sztuką bardzo ludzką, poetycką i śmiało jednocześnie łamiącą utarte konwencje i wyobrażenia. Au-

tor Pomnika Powstańców Śląskich w Katowicach obok monumentalnych głów pokazał miniatury, a przede wszystkim proces twórcy powstawania pomnika, te wszystkie zmagania z materia, by myśl zamienić w formę przemawiającą najmocniej i wieloznacznie. Taki sąd, będzie monumentalny pomnik „Niepokonani polegali”.

DZIEŃ ÓSMY

ZAGORSK

Wypad do Zagorska. Nasza delegacja w pełnym składzie, chociaż tylko ja jestem tu po raz pierwszy. Wszyscy byli tu, niektórzy po dwa, trzy razy. Zagorsk. Nie, nie podejmuję się opisać w kilku zdaniach tego, co tu widziałem. Tej architektury nawiązującej się przez wieki, barw i kształtów nierealnych, a jednak istniejących. Atmosfery miejsca kultury i starej kultury, relikwów przeszłości i pietyzmu nad tym, co trzeba w dziedziectwie przekazać potomnym.

Zagorsk trzeba po prostu zobaczyć! I po drodze, najlepiej powrotnej, wstąpić do drewnianej „Skazki”. Prawdziwa to bajka, dla oczu i podniebienia.

DZIEŃ DZIEWIĄTY

ARCHANGIELSKOJE

Druga wyprawa za Moskwą, przejażdżka właściwie. Jest słonecznie i chłodno, dobra pogoda na spacer w olbrzymim parku. Potem zwiedzanie pałacu, niegdyś hrabiowskiego Jusupowa, obecnie muzeum. Duży tłum chętnych, wiele gości z zagranicy. Wita nas ogromna brama i duża, monstrualna kolumnada do wejścia do właściwego budynku, kolumnada która nie nie podpira, otwarta przeswitami na las.

Znowu ogromna galeria malarstwa rosyjskiego i światowego, rzeźby, pamiątki, tysiące książek w wielu językach, przepiękne meble plafony, okna. Ciekawe rzeźby w parku w plastikowych ochronach. Niezbyt to elegancko wygląda, ale zima dopiero się skończyła. Po mrozach były śloty, deszcze, wiatry. Pietyzm do pomników zmuszał więc do antyestetycznych ostoi.

AMBASADOREM POEZJI

ochrzcziliśmy na poczekaniu Ewę Demarczyk i myślę, że nie ma w tym wielkiej przesady. Ktoś nam powiedział o jej koncercie i jako że do spotkania w kraju mało okazji — wieczorem staliśmy się w komplecie znów w Domu Literatury. Repertuar ten sam od lat. Zastanawiałem się, ile dziesiątków razy słyszałem te piosenki Koniecznego do słów Lesmiana, Tuwima, Baczyńskiego, Białoszewskiego? Ale cóż z tego? Jak ona to robi, Boże drogi! Sala zamiera i my także, jakbyśmy słyszeli ją po raz pierwszy. Publiczność wybuchła żywiołowo, by znów zniechęcić, niemal w przerażeniu. Trwa to ponad godzinę, nie chce puścić śpiewaczki ze sceny. Sympatia tym większa, że kilka piosenek Demarczyk śpiewa po rosyjsku. I zachowuje się na scenie skromnie, poważnie. Nic z gwiazdorskich manier, które tak często obserwujemy na estradach.

DZIEŃ DZIESIĄTY

KONIEC DEKADY, ALE...

Najdłuższa i najpoważniejsza dyskusja w redakcji „Waprosów Literaturny”. Tutaj razem z Wilhelmem Szewczykiem i Ernestem Bryllem wspomagamy Załuskiego. Każdy z nas mówi o tych obszarach naszej literatury, które mu są najbliższe. Mówimy o pozycji autorów i czytelników, praktyków i obserwatorów. Staramy się być obiektywnymi, ale także wyrazić własne poglądy i postawy wobec stanu literackich osiągnięć i pomyłek na dzień dzisiejszy.

I w podobny sposób nasi radziecy przyjaciele mówią o swoich sprawach. Mają większe od nas kłopoty, ale są to kłopoty z bogactwem i obfitością, bo w prezentacjach wzajemnych chciałoby się pokazać jak najwięcej.

Problemy mamy także podobne. Mówiąc w największym skrócie: jak sztuka, literatura, ma najlepiej służyć człowiekowi, socjalistycznemu społeczeństwu, kształtować osobowości ludzi w duchu humanizmu i ideowego zaangażowania.

Jeszcze raz spotykamy się z naszymi przyjaciółmi w Ambasadzie PRL. Chyba że wszystkim, z którymi mieliśmy jakikolwiek kontakty przez te dziesięć dni. Jest więc okazja do rozmów i podsumowań. I nie wstyd się przyznać, że nastuchaliśmy się wiele komplementów i pochwał. Podobaly się nasze koncerty i kameralne recitale, wystawy retrospektywne i indywidualne, spotkania i rozmowy, słowem, to co określamy jako oficjalne prezentacje i te najwyklesze, ciepłe, szczerze i żywcie kontakty osobiste. Wymieniamy adresy, umawiamy się, żegnamy, o nie! — mówimy sobie: do zobaczenia.

Wbrew tytułowi nie będzie to rzecz o pewnej pani, której poszarpano suknie podczas spektaklu awangardowej trupy teatralnej z Japonii, ani o plastyku? rzeźbiarzu?, który wśród wyfraczanej publiczności, rozbrany do slipek piława (nie gdzie indziej a w Warszawie) kłocę drewna, ani o innych ekscesach artystycznych, choć są to charakterystyczne symptomy zjawisk we współczesnej sztuce, nad którymi warto się zastanowić.

Awangarda artystyczna (kubizm, ekspresjonizm, futurizm, dadaizm, surrealizm i inne kierunki), która ukształtowała się na początku XX w., miała do spełnienia rzeczywiste cele. Związana z równocześnie przebiegającymi ruchami społeczno-politycznymi reagująca na radykalizm światopoglądowy społeczeństw po I wojnie światowej, uwarżliwiona na rewolucjonizującą myśl człowieka dokonania nauki i cywilizacji, rozbiła dotychczasowe normy estetyczne, gusty i upodobania odbiorców, przewartościowała zasadniczo formy współczesnej sztuki. Takie są bezsporne wartości ówczesnej awangardy. Z drugiej strony rozwój środków masowego przekazu — prasy, książek, radia, kina i telewizji — skazał awangardę w późniejszych etapach jej rozwoju — aby dokonywała na swoim terenie ryzykownych niekiedy przetasowań.

Wspomniany rozwój mass-medów spowodował rozwarstwienie dotychczas jednolitego (lub prawie jednolitego) obszaru kultury i sztuki. Ustaliła się określona hierarchia poszczególnych form artystycznych i ich od-

nie budzą sprzeciwów i polemicznych sporów. Picasso i Apollinaire, Witkacy i Czyżewski, Bunuel i Artaud są — mówiąc bez zbędnej przesady — klasykami. Inteligencja estetyczna człowieka od kilkudziesięciu lat poddawana próbom nowej sztuki, towarzyszy awangardzie na dobre i na złe. I choć wypracowane przez wieki

W naporze zmultiplikowanej i wyposażonej w potężne środki przekazu kultury, trzeba się do widza przebić, błysnąć przed nim, zadziwić i zaszokować. Wszystko bowiem w sztuce można zanegować, wszystko wywrócić — z odbiorcy, widza, czytelnika trzeba go terroryzować, wysadzić z fotela przed telewizorem, wywieść z sali kinowej, gdzie umiera ojciec chrzestny a jego syn udziela krwawej reprimendy konkurencji. Ale ów widz wieśna na ścianie Modiglianiego, ogląda Swinarskiego, przyjmuje z aplauzem hamuszkiewiczowską „Balladynie”, kupuje od koników bilety na Bergmana. Należy zatem — rozważając „nowatorzy” — być ory-

stę „wyłączeniem dźwięku, to znów obrazu, kierowaniem go na sklepienie kościoła, wreszcie usunięciem całkowitym ekranu filmowego”; a potem dwie panie wykopały się w źródlanej wodzie pod wodospadem. Takich „twórczych manifestacji” (termin warsztatowców) było wiele, łącznie z „wyprowadzaniem mebli” na Czerwonym Rynku (na zdjęciu przedstawiającym ową wyprzedaż — jeden z kupujących? sprzedających? zasłania twarz przed fotoreporterem — kto to był?!). Gdyby nie filmy w ramach warsztatu zrealizowane (W. Bruszkowski, P. Kwieka, J. Robakowski, R. Waśki), a które są — jak sądzę — autentycznym eksperymentem, gotowiliśmy się obśmiać z

wanym ostatnio przez Kantora i Szajnę eleganckiej publiczności łódzkiej, postępowanej — notabene — przez „szatanarzy” i innych aktorów, warto poświęcić nieco uwagi. Choć z drugiej strony powiedzieć „ja tego nie rozumiem”, „uważam to za bezsens”, „to jest pseudoartystycznym zawracaniem głowy”, to tak jakby czknała dyplomatycznym raucie. Himelbach może by się odważył, ale czy inni też? Toteż widzowie „Repliki” i inscenizacji Witkacego opuszczali salę w Parku Sienkiewicza mrużąc z determinacją „to interesujące”, choć potem już prywatnie żalowali wydanych pieniędzy. Teatrologowie próbowali wprawdzie bronić się, mówiąc o kontekstach takich i innych, w których o Szajnie i Kantorze należałoby dyskutować, ale na pytanie czy inscenizację krakowskiego awangardzisty można byłoby zatytułować „Pan Tadeusz” skwapliwie się śmiali.

Nie chciałbym w tym wszystkim co napisałem przypominać ciotki, która siedzi na kanapie i ma za złe (oglądając „Czarne chmury”), bo o to w aurze wzajemnej — awangardzisty i jego widza — adoracji nie jest niemożliwe. Zapytany bowiem o granice tego, co jest awangardową sztuką, a co ją tylko imitując wykorzystuje, odpowiedziałbym — nie wiem. Wiem natomiast, że jeśli w wytworach tej sztuki — poezji, filmie, widowisku teatralnym, utworze muzycznym itd. — brak nadrzędnej idei, humanitarnej myśli, ludzkiego przeżycia — jakie by ono nie było — wzniosłe czy trywialne, to mamy do czynienia z nadużyciem światopoglądowym i estetycznym, to mamy do czynienia z ekwilibrystyką chwytów i pomysłów, które poza pracownię twórcy nie powinny przenikać. Nie każde bowiem działanie artysty jest działaniem artystycznym.

GRZEGORZ GAZDA

TERROR AWANGARDY

narzędzia poznania estetycznego okazują się często bezużyteczne i anachroniczne, człowiek współczesny wykazuje maksimum dobrej woli, aby rozumieć, poznać i zaakceptować.

W latach, kiedy do głosu dochodzą awangardowi wnukowie ów wysiłek rozumienia najczęściej przypomina pracę Syzyfa. Nie jest łatwo wskazać na przyczyny tego stanu rzeczy. Ażle eksperymentu i warsztatowych poszukiwań, o których wspominałem, niezbędne i konieczne dla rozwoju sztuki, tworzą wśród publiczności aurę elitaryzmu i wysokiego stopnia wtajemniczenia. Tym bardziej, że te eksperymenty i twórcze próby odbywają się w warunkach niemal konspiracyjnych, w małych salach; tego typu książki i inne publikacje mają bardzo niskie nakłady; informacje o nich z rzadka drukowane są na pierwszych stronach gazet. I byłaby to normalna kolej rzeczy, gdyby nie atmosfera „wielkiej sztuki”, „niecodziennego wydarzenia”, którą roztacza wokół tych imprez zesobnowiona publiczność. To, co kiedyś dla futurystów, dadaistów i innych nowatorów było czystą zabawą, antyburzową gębą, happeningowym żartem, przeformułowane nieco przez najmłodszych awangardzistów, przybrało zostało w ornat nader uroczysty i celebrowane jest w kadzidlanych dymach artystycznego nabożeństwa.

Najgorsze w tym, że krytycy (na szczęście nieliczni) i wyselekcjonowana (często przez przypadek) publiczność, miast roześmiać się i klasnąć z uciechy, rozważa przeczytane, bądź obejrzone „wydarzenia” w kategoriach przyswojonych z najrozmaitszych źródeł (od Freuda do Eco). Publiczność, o której mowa broni w ten sposób tej ekskluzywności, „wielkiej tajemnicy”, dowartościowuje i uwzniośla — deformując kształty współczesnej sztuki: to co jest eksperymentatorskim marginesem (w najlepszym przypadku) staje się centralnym układem odniesień, według którego rozdziela się pogardliwe oceny — „nieoryginalne”, „tradycjonalistyczne”, „nienowoczesne”. Zapomina się tu, że wiek XX wytworzył na terenie sztuki konieczność stosowania najrozmaitszych chwytów strategicznych w oddziaływaniu na odbiorcę: jednym z nich jest potrzeba twórców zwrócenia na siebie uwagi — najczęściej twórców początkujących.

ginalniejszym niż Picasso, Grotowski i Janco. I tak rodzą się koncepcje zainspirowane rozkładówkami z „Paris Matchu” i fotoreportażami „Der Spiegel”, skojarzone z nie do końca zapamiętanymi lekturami.

Ponieważ granice między sztuką a innymi formami działalności społecznej człowieka zostają coraz bardziej zacierane przez nawarstwiająca się nowe kierunki, a i w ramach samej sztuki linie podziału poszczególnych jej dziedzin (np. poezji i plastyki, filmu i teatru, muzyki i teatru, rzeźby i architektury) bywają ostatnio ledwo zauważalne — możliwości pseudoawangardowego manipulowania zdają się nie mieć granic. W sztuce, tak jak i w życiu każdy kij — również awangardowy — może mieć dwa końce.

Dwunasty numer „Kina” z ubiegłego roku zawiera między innymi artykuł o Warsztacie Formy Filmowej działający przy łódzkiej PWSFTviT. Jego „idea naczelna jest badanie nowych form języka filmowego oraz spektakli audiowizualnych bez narzucania jakichkolwiek rygorów gatunkowych, stylistycznych, bądź innych (...) Jednym z naczelnych zadań, jakie stawia sobie Warsztat jest żywa działalność na zewnątrz”. Jeśli jest to więc „warsztat na statusie koła naukowego”, a zatem instytucja, gdzie dokonuje się niezbędnych prób, doświadczeń, eksperymentów technicznych i estetycznych to czemu i komu ma służyć „żywa działalność na zewnątrz”? Czy popularyzacji kina, jego procesów twórczych, czy też ma to być strategiczne zdobywanie terenu, który w przyszłości może przynieść nadspodziewany profit? (Tu uczciwie muszę przyznać, iż znam dokonania Warsztatu wyłącznie z artykułu Barbary Mruklik, a zatem moje spostrzeżenia mogą mieć wartość zgola połowiczną — choć redaktorka „Kina” w znacznej mierze opiera się na cytatach z „prasy warsztatowców” i z ich bezpośrednich wypowiedzi).

Kino-laboratorium rezygnuje z wszelkiego rodzaju klasyfikacji i ocen (mądrze!); imprezy Warsztatu charakteryzuje „przypadkowość” żywiołowości i wyzwolenie z rygoru”; „P. Preisler wyprowadził nic z ekranu kinowego, którą następnie wręczył J. Robakowskiemu”; projekcja filmów Javiera Aguirre'a skończyła

uczonych wypowiedzi na temat języka filmowego, jego funkcji, jego uwarunkowań twórczych itp.

Okazuje się, że nie tylko odbiorca współczesnej awangardy jest zdezorientowany: pomieszanie myśli i gonitwa, której coraz częściej towarzyszy estetyczna zadyszka, za superoryginalnością i szokującą nowością, wnutczą awangardę, może prowadzić w uliczkę, bezsensu i plurlabilizmu — jakby powiedział Witkacy. Przykład bowiem Warsztatu szkoły filmowej nie jest odosobniony. Myślę także, iż owa dezorientacja twórców nie dotyczy wyłącznie najmłodszego pokolenia.

I seansom teatralnym zaprezentowa-



Fot. Archiwum

NA DALSZYCH POZYCJACH

Dalszy ciąg ze str. 3

ralno-oświatowej funkcjonuje na podstawie określonej wizji potrzeb środowiska robotniczego i ich zaspokajania. Preferuje on literaturę, sztukę, rozrywkę, potrzeby kulturalne identyfikuje z potrzebami estetycznymi, a kulturę szeroko rozumianą utożsamia ze sztuką. I tak np. istnieją amatorskie koła filmowe, realizujące nieopracowane 2 filmy w roku, ale brak jest licznych dyskusyjnych klubów filmowych, które kształtowałyby gust i smak artystyczny widzów oraz pomagały rozumieć współczesną sztukę filmową.

Powszechny, ujednolicony schemat anachronicznych, typowych form świetlicowych nie sprawdza się. Większość zakładów placówek kultury ma problemy z brakiem odbiorców swej pracy. Pracy prowadzonej bez rozeznania stanu i dynamiki potrzeb kulturalnych środowiska oraz ich stosunku do proponowanego w działaniu schematu. Jednocześnie system kulturalno-oświatowy zakładu w dużym mieście nie może nie uwzględnić faktu działania w układzie otwartym i powszechnej dostępności dla załogi różnych form życia kulturalnego miasta.

A przecież kultura to cały system wartości, idealów, norm i wzorów zachowań realizowany w duchowych i materialnych dziedzinach działalności ludzkiej — sztuce, technice, obyczajach, pracy produkcyjnej i stylu konsumpcyjnej. Jak rozwiązuje te problemy przeciętny zakład w mieście, ponoszący odpowiedzialność za zaspokojenie nie tylko materialnych potrzeb swych pracowników? Niestety, często jeszcze panuje przekonanie, że „zaliczeniem” imprezy lub wywieśnieniem stosownego hasła problem zostanie załatwiony.

Bez mała wszyscy pracownicy bałuckich zakładów zapytywani o mierniki kultury człowieka wskazywali na chodzenie do teatru. A jak jest faktycznie? Informacja o teatrze w większości zakładów jest żadna, możliwość nabycia biletów tylko na zbiorowo zakupywane spektakle i niierzadko przemycia się przy tej okazji pozycje chybione, które nieprzygotowanego widza odstręcają od następnego odwiedzenia teatru.

Miernikiem kultury powinno być między innymi czytanie książek, a około 30 proc. dorosłego społeczeństwa nie ma w ogóle kontaktu z książką. I to w sytuacji, gdy istnieją zasobne biblioteki zakładowe posiadające wielotysięczne księgozbiory,

Do działalności kulturalno-oświatowej przedsiębiorstwa zalicza się także organizowanie zabaw tanecznych, ale z ich stereotypowej organizacji można wnioskować, że potrzeby uczestników uznawane są za bardzo uproszczone i nieskomplikowane. Ogromną popularnością cieszą się wycieczki jedno i kilkudniowe określane zwykle jako imprezy turystyczno-rekreacyjne. Ale poza wycieczkami organizowanymi przez koła ZMS i PTTK oraz wycieczkami szkoleniowymi zwykle trudno znaleźć jakieś dodatkowe kulturalno-oświatowe czy rozrywkowe składniki programu przeciętnej imprezy.

Staniemy już wkrótce przed ważnym społecznie problemem wykorzystania wolnych od pracy sobót i innych wolnych dni w roku. Czy oprócz odpoczynku i wypoczynku po pracy, korzystania z rozrywek staną się one dla tysięcy ludzi pracy okazją poszerzenia swej wiedzy o świecie i dalszego rozwiania osobowości?

Wśród potentatów polskiego przemysłu znaleźć można bogatych mecenasów odbudowujących i konserwują-

cych stare zamki, pałace, a jednocześnie nie starcza ogólnie dostępnych obiektów rekreacyjnych, boisk; fabryczne kluby i świetlice w trosce o całość swych foteli i stolików zamykają się dla „dzi” „z zewnątrz” zakładu. Tak więc nawet i ta skromna działalność kulturalna, jaką można obserwować, najczęściej staje się niedostępna dla środowiska, w którym zakład się znajduje.

Poważnym utrudnieniem w prowadzeniu pracy ideowo-wychowawczej było rozproszenie sił i środków na nią przeznaczonych w zakładach. Obok związków zawodowych podejmowały działalność wychowawczą organizacje młodzieżowe i społeczne. Z inicjatywy Komitetu Dzielnicowego PZPR na Bałutach w styczniu ubiegłego roku powołane zostały w największych zakładach pracy Społeczne Zakładowe Ośrodki Propagandy i Informacji, które miały zająć się koordynacją i kontrolą realizacji zadań z zakresu szkolenia, informacji, propagandy, organizacji czasu wolnego i działalności organizacji społecznych w zakładzie. Z perspektywy 15 miesięcy można powiedzieć, że wiele pozytywnych działań należy zapisać na konto ośrodków, szczególnie w dziedzinie estetyki w zakładach, czystości, organizacji wycieczek i imprez, sprawnego przebiegu szkolenia partyjnego i zawodowego oraz akcji odczytowych. Jednakże nadal w działalności wychowawczej zakładów nie widać sprecyzowanych celów oraz nowych, nowoczesnych metod ich realizacji. Brak jest poszukiwań nowego modelu działalności

kulturalno-oświatowej i zerwania ze złą tradycją powielania bez zmian form pracy sprzed lat kilkunastu. Pilną potrzebą wydaje się uzyskanie dobrej orientacji w charakterze różnicowania potrzeb kulturalnych środowiska robotniczego, ich dynamiki i perspektywy ewolucji. Konieczna jest adaptacja domów kultury, klubów i świetlic do specyfiki środowiska, w którym działają, szczególnego charakteru pracy i jej warunków, a jednocześnie uwzględnienia istnienia życia kulturalnego miasta i nie powielania działalności placówek zawodowych. Konieczne jest także ściśle powiązanie działalności kulturalno-oświatowej z całokształtem działalności społecznej zakładu. I wreszcie, podobnie jak ma to miejsce w pełnieniu opieki nad terenowymi organizacjami partyjnymi, szkołami, udziałem załóg w organach władzy terenowej, niezbędne jest adresowanie zakładowej działalności ideowej i wychowawczej do środowiska.

Potrzebne są nakłady, posiadania odpowiednio kwalifikowanych ludzi, opracowanie systemu działalności, ale jest to praca równie pilna, jak przed trzydziestu laty likwidacja analfabetyzmu. Polska roku 1990 to nie tylko nowe fabryki i miasta, nowoczesność i obfitość dóbr materialnych, ale także światli obywatele, swą wiedzą, kulturą i politycznym zaangażowaniem pomnażający siłę i urodę Ojczyzny.

GRZEGORZ MATUSZAK

Z inicjatywy zespołu Kultury Komisji Ideologicznej KŁ PZPR przy współdziałaniu Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi oraz Łódzkiego Domu Kultury zorganizowaliśmy spotkanie młodych działaczy kultury. W spotkaniu uczestniczyli plastycy, filmowcy, aktorzy, bibliotekarze, pracownicy muzeów i innych instytucji, zajmujących się upowszechnianiem kultury.

Na spotkaniu zespół kultury Komisji Ideologicznej KŁ PZPR reprezentował JAN ZDROJEWSKI — aktor Teatru Nowego, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi — dyrektor WŁODZIMIERZ POŚPIECH, Łódzki Dom Kultury — zastępca dyrektora JAN KRASZEWSKI, redakcję „ODGŁOSÓW” — LUCJUSZ WŁODKOWSKI oraz BOGDA MADEJ i JERZY WILMAŃSKI, którzy przygotowali do druku fragmenty wypowiedzi uczestników spotkania.

JAN ZDROJEWSKI: — Na dzisiejsze spotkanie zostali zaproszeni ludzie młodzi, którym stwarzamy możliwość wypowiedzenia się w interesujących ich sprawach kultury. Głos ludzi młodych jest przecież niezmiernie interesujący, jest głosem, który w sumie może w przyszłości wpływać na kształtowanie kultury w naszym mieście. Łódź jest miastem o szczególnym pejzażu, miastem nietłumionym, które trudno kochać dla jakiejś zewnętrznej urody. Każdy jednak, kto zamieszkuje w tym mieście, znajduje tutaj wiele rzeczy ciekawych i prawdziwych. Nie znaczy to jednak, że nie w nim należy zmienić. Z doświadczenia 30-lecia należałoby wyciągnąć wiele wniosków dla naszej przyszłej wspólnej działalności.

W swojej codziennej działalności, w różnorodnych kontaktach we własnym środowisku i w innych środowiskach dostrzegacie zapewne wiele rzeczy ciekawych i twórczych, a także i takie rzeczy i sprawy, które was niepokoją i nie zadowolają, które nie pozwalają wam rozwijać w pełni swoich twórczych możliwości. Stwarzamy wam więc możliwość mówienia nie tylko o tych sprawach, ale chcielibyśmy przede wszystkim usłyszeć od was uwagi i propozycje na temat tego, jak widzicie siebie — młodych twórców i działaczy kultury — w przyszłości, w przyszłym naszym działaniu.

Proponujemy wam dyskusję na temat przyszłej roli Was — Młodych w tym, co dziś robimy i robić będziemy jutro. Jak widzicie siebie w tym programie realizacji rozwoju kulturalnego miasta?



JAN KRASZEWSKI: W różnych dyskusjach o kulturze posługujemy się wieloma przymiotnikami. Mówimy: mieszczańska, chłopska, robotnicza. A przecież rzecz jest aż nadto oczywista: kultura jest jedna, niepodzielna, jest narodowa i socjalistyczna. Powinniśmy się zatem zastanawiać nad tym, jakie zjawiska, obserwowane w Łodzi, w kraju, w naszym życiu społecznym, sprzyjają rozwojowi i kształtowaniu się tej właśnie, narodowej, socjalistycznej kultury. Powinniśmy się zastanawiać, w jakim stopniu na kształtowanie się tej kultury wpływają powstające i rozwijające się mody i tendencje w innych krajach? Czy w wyniku przyswajania tych tendencji mamy do czynienia z naśladownictwem, czy też pozwalają one na wytworzenie nowych wartości, o które zawsze nam chodzi.

Zdaję sobie sprawę, że jest to grupa pytań i wątpliwości natury ogólnej, ale przecież to, co powstaje w Łodzi nie jest wyizolowane od tego wszystkiego, co dzieje się w kraju i w świecie. Myślę więc, że kiedy dyskutujemy o naszych łódzkich sprawach, warto również i o tym pamiętać, abyśmy dążyli do tworzenia kultury o wielkich wartościach wychowawczych i ideowych.

Aby mogła rozwijać się taka kultura, powinna istnieć atmosfera, w której każdy łódzianin mógłby się czuć nie tylko odbiorcą wartości kulturalnych, ale ich współtwórcą. Tymczasem obserwujemy hermetyczność kultury profesjonalnej. Ta hermetyczność nie pozwala startować nam, młodym, nie pozwala włączać się ze swoimi propozycjami.

W Krakowie na przykład, gdzie byłem przez pięć lat, obserwowałem teatr studencki, który w swojej działalności opierał się nie tylko na studentach. Działali tam także i robotnicy, mający ambicje i uzdolnienia, a którzy z różnych przyczyn nie dostali się do szkół aktorskich. Posługuję się tym przykładem, gdyż chodzi mi o stworzenie takiej platformy, na której mogłyby się ujawniać samorodne talenty. Ale, aby to założenie mogło sprządnąć się w praktyce, nie wystarczy siły niektórych nielicznych środowisk kulturalnych. Potrzeba do tego sprawnej działalności organizatorów — pośredników.

I jeszcze jedna uwaga, skoro już wspominałem o organizatorach-pośrednikach. Z moich obserwacji wnosię, że na przykład w tej chwili sposób rozdzielania biletów przez rady zakładowe jest przypadkowy i nie spełnia już roli kulturalnego agitatora. Uważam zatem, że trzeba w systemie oświatowym tworzyć różnorodne formy edukacji estetycznej i kulturalnej dla rozwijającego się społeczeństwa.



TOMASZ GOŁĘBIOWSKI: — Chodzi mi o jakąś odpowiedzialność nas wszystkich młodych ludzi związanych ze środowiskami kultury. Wiemy, co jest złe, niedobre, co chcielibyśmy zmienić, przeprowadzić, ale nie zawsze mamy odwagę o tym mówić. A wydaje mi się właśnie, że odwaga decyduje o naszej dojrzałości. Inaczej chyba być nie może.

A co się dzieje? Jedni przystosowują się i idą na łatwiznę, na konsumpcję, na różnego rodzaju koniunktury: tzn. w Łodzi mi się nie oplaca, w Warszawie mi się nie oplaca — tam gdzie mi więcej płacą, tam się idą.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę jakieś wartości, jakieś problemy, jakiś program działania, niekoniecznie manifest — wtedy uzyskamy wypadkową harmonijnego rozwoju w poszczególnych placówkach artystycznych. W tej chwili dzieje się coś niedobrego u nas. Ranga np. Łódzkich Spółkań Baletowych maleje. Kiedyś gościł tu np. balet Bejarta — dziś zespoły o bardzo niskich lokatach artystycznych.

Albo inny przykład. Rzecz wygląda tak, że mówią się powszechnie, iż łódzki widz potrzebuje tzw. wystawy. Jak on ciężko pracuje, to my mu zaproponujemy przedstawienie, które będzie blizszcze od złota, srebra, piór, cekinów. Oni przyjdą, bo dla nich jest to luksus. Przychodzą do luksusów, zasiadają i oglądają przedstawienie. Jak utworzono Teatr Wielki, było fajnie przez pierwszą fazę sezonu. Później co się stało? Telewizja i film proponują teraz bardziej prężne, dynamiczne widowiska. Kultura dociera już bezpośrednio do mieszkania. A teatr stoi w miejscu. Dalej robimy „wystawę”, dalej robimy spektakle. A przecież należałoby brać na warsztat problemy, określające postawy. I mnie się wydaje, że w teatrach problem polega na zderzeniu tych dwóch różnych tendencji.

Wydaje mi się, że jeśli ktoś jest przekonany o swoich artystycznych dążeniach i działa z powołaniem w swoich dziedzinach, to powinien działać z całą konsekwencją i ostrością, z jaką może uderzyć młode pokolenie. Wydaje mi się, że jest u nas na takiej płaszczyźnie wiele rzeczy do przeprowadzenia. Wydaje mi się dalej, że choć tu reprezentujemy wiele różnych dziedzin sztuki, to na co dzień nie ma integracji środowiska łódzkiego jako takiego. To jest przyczyna słabości, że my nie czujemy więzi, która dawałaby nam tę spójną siłę i dala możliwość przetrwania trudności w niektórych sytuacjach czy jakiegoś wspólnego podtrzymywania się we własnych racjach.



MACIEJ LUKOWSKI: — Jestem sekretarzem Rady Łódzkiej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. W tej chwili bardzo szeroko środowisko młodzieży interesuje się problemami kultury; wszystkie związki młodzieży brały udział w przygotowaniach do takiego łódzkiego plenum młodzieżowego, które właśnie zajmowało się sprawami kultury. Przedtem przeprowadziliśmy szereg rozmów, dyskusji, sondażi i to, co w tej chwili chciałbym przedstawić, to jest właśnie wynik reakcji tej gigantycznej widowni młodzieżowej; co chciałaby, czego żąda, jak wygląda aktualna jej sytuacja.

Po pierwsze: sprawa przygotowania. Sama młodzież twierdzi, że praktycznie to nikt jej nie przygotowuje do odbioru kultury. Nie mówię tutaj o szkole, jako o zagadnieniu zupełnie oddzielnym. Natomiast chciałem poruszyć sferę instytucji, powołanych po to, aby tę edukację kulturalną, to przygotowanie do odbioru kultury prowadzić. Głównie chciałbym się oprzeć na sprawach związanych z domami kultury, pomijając LDK i MDK jako instytucje duże: jest problem, który w tej chwili w Łodzi narodził, problem olbrzymi: domów kultury przyzakładowych, faktycznie świecących pustką.

Nasze sondáže wykazały, że zainteresowanie młodzieży ich działalnością jest minimalne. Po pracy młodzież przyjeżdża na teren miejsca zamieszkania i już nie wraca do zakładowej placówki k.o.

Drugi problem — to problem kadry, która w tych domach pracuje. Zazwyczaj jest to obsada 1-2-osobowa, ludźmi nie mających z kulturą nic wspólnego, albo bardzo mało.

A mimo wszystko, musimy przygotowywać młodego widza do odbioru kultury. Z jednej strony młodzież skłaniała się ku rozrywce. Jest zapotrzebowanie na rozrywkę, połączoną z możliwością wytańczenia się, kulturalnego spotkania. Z drugiej strony — jest autentyczne zainteresowanie sprawami sztuki poważnej, takiej na wysokim poziomie. Młodzież twierdzi jednak, że środki masowego przekazu zbyt mało propagują wartościowe zjawiska kulturalne, ludzi kultury. A przecież w niektórych środowiskach kraju udało się wykształcić taką sytuację, że popularnymi stały się postacie ze świata kultury i że są konsekwentnie eksponowane. Oczywiście, jeśli mają określony dorobek, a przecież takich ludzi w Łodzi mamy i możemy ich eksponować. Mamy tu też środowiska ciekawe, interesujące, twórcze, ale są one trochę zamknięte.

Mówimy o sprawach łódzkiego widza i jest to chyba bardzo smutna prawda, że niejednokrotnie różnego rodzaju instytucje patrzą przy tworzeniu pewnych zjawisk kultury, wydarzeń kulturalnych, właśnie z tą poprawką, że jest to określony widz. Widz ten wcale nie jest taki najprzewidywalniejszy, wcale nie liczący na łatwiznę.

Młodzież twierdzi, że np. teatry łódzkie nie są w najlepszej sytuacji, jeśli chodzi o frekwencję. W momencie, kiedy dyskutowaliśmy o tym z młodzieżą, odpowiedź była taka — dlaczego teatry nie proponują nam rzeczy bardzo mionych, bardzo współczesnych, takich, które by nas tutaj prowokowały do dyskusji, wymiany poglądów, takich, które byłyby inne od tradycyjnych?

Mówiliśmy też o sprawach stworzenia Centrum Rozrywki. Federacja wystąpiła z propozycją stworzenia Centrum Kultury Młodych (walkując się ta sprawa dziewięć miesięcy). W oparciu o „Palacyk” ma powstać kompleks obiektów, które byłyby miejscem dyskusji młodych, galerii sztuki, plastyki, czy rysunku dziecięcego i młodzieżowego. Tak, aby już począwszy od najmłodszego wieku młodzież miała możliwość artystycznej wypowiedzi.

I jeszcze jedna sprawa. Myślę, że problem, który na terenie miasta występuje, to jest tzw. oschłość, oziębłość ze strony środków masowego przekazu, które nie potrafia właściwie reagować. Wiadomo, że prezentujemy wiele atrakcyjnych imprez spoza Łodzi, które trzeba wesprzeć reklamą i w tym momencie okazuje się, że jesteśmy słabi. Nawet telewizja nie potrafi zainspirować, żeby z tego wydarzenia stworzyć coś niezwykłego, coś, co widza zaintryguje.

Nasza dyskusja nie powinna się skończyć tutaj, na tej sali. Federacja powinna podjąć i podejść wiele uwag, które tu padły i jeszcze padną. Np. dla Teatru Wielkiego powinniśmy stworzyć określony zespół widzów, powinniśmy próbować organizować spotkania różnych środowisk. Mówiło się o potrzebie powstania młodzieżowego wydawnictwa. Federacja rozważa i taka możliwość. Ale jest to sprawa niezwykle trudna. Nie powinniśmy jednak czekać, aż uda nam się stworzyć nowy periodyk. „Odgłosy” zainspirowały dzisiejszą dyskusję, może będzie to zaczątek tego, co się później stworzy, a my jako Federacja chętnie w tym pomożemy.

ALICJA KOZAK: Ośrodki reklamy filmowej powstały dopiero w bieżącym roku na Dworcu Fabrycznym i przy ul. Piotrkowskiej. Dopiero teraz powstają kina lektur szkolnych, kina, które mają za zadanie kształcenie młodzieży w odbieraniu filmu. Wiele mówi się o samym środowisku twórczym, ale nie mówi się o tym, jak ono ma dotrzeć do publiczności. W tej chwili odczuwa się np. duży brak filmów rozrywkowych. Od lat notuje się największą ilość dramatów, tj. filmów, które są na ogół filmami ciężkimi dla pospolitego odbioru. Bardzo mało jest filmów o tematyce młodzieżowej. W tej chwili odczuwa się również brak filmów turystyczno-krajoznawczych. W naszej dyskusji nie doszliśmy do tego, w jaki sposób dotrzeć do widza.

KRYSTYNA POTOCKA: Chciałam zwrócić uwagę, że w Muzeum Sztuki prezentowało się i prezentuje wystawy wielu ciekawych artystów. Te wystawy jednak nie mają odbiorców. W tej chwili zastanawiamy się, czy nie sprowadzać wystaw łatwiejszych w odbiorze. Bardziej często o wystawach awangardowych prasa nie pisze. Nie ma w Łodzi wydarzeń kulturalnych, które by w jakiś sposób ekscytowały, tak jak w innych miastach. Dla mnie takim wydarzeniem w Łodzi były jedynie ostatnie Konfrontacje.



KRZYSZTOF ZEJDLAR: W rozwoju łódzkiej kultury obserwuję się bardzo interesujące zjawisko, a mianowicie inne miasta oraz środki masowego przekazu nam, łódzianom, zwracają uwagę na rzeczy dobre, niekiedy wręcz bez precedensu, autentyczne, które dzieją się na naszym podwórku. Od kilku miesięcy prasa w całym kraju bębni o łobrobiej robocie Stowarzyszenia Muzyki Estradowej. Łódź nazywa się centrum polskiej sztuki estradowej, a my, łódzianie, nie widzimy tego.

Zacytuje śląską „Panoramę”, która pisze o olbrzymim wkładzie łódzkiego Stowarzyszenia w rozwój raczkującego przemysłu rozrywkowego. Cytuje: „Wreszcie coś się ruszyło w tej bezuładnej machinie w sensie ogólnokrajowym, choć zarzewiały tryby skrzydła, łódzianie dolewają oliwy, by kola kręciły się coraz sprawniej”.

I tu nasuwają się pierwsze wnioski, aby kola kręciły się sprawniej, aby Łódź jako miasto wykorzystała dotację Stowarzyszenia Muzyki Estradowej należy zabezpieczyć odpowiednią bazę do dalszego, szerszego działania. Musimy pamiętać tutaj, że stoimy przed możliwością skrócenia tygodnia pracy, że będziemy mieli coraz więcej sobót i innych wolnych dni.

Otwórzmy więc zielone światło dla rozrywki i jej reprezentanta: Stowarzyszenia Muzyki Estradowej. Stwórzmy tym ludziom warunki do działania, bo inaczej upomni się o nich stolica, która od lat prowadzi drenaż najlepszych łódzkich sił. A ile w tym naszej winy, że nie potrafimy stworzyć warunków i klimatu dla inicjatyw, które muszą zachwycić cały kraj, aby zostały odpowiednio docenione w mieście, z którego wyszły. Dla przykładu Łódzka Wiosna Artystyczna, jedna z najpoważniejszych imprez kulturalnych naszego miasta. Otóż od dwu lat Stowarzyszenie Muzyki Estradowej zgłasza swe konkretne propozycje udziału i od dwu lat są one systematycznie odrzucane. Analogicznie w bieżącym roku doszło do tego, że proponowana wystawa polskiego plakatu estradowego z lat 1945—1974 została włączona do Festiwalu Opolskiego jako impreza towarzysząca, impreza duża i podnosząca rangę Stowarzyszenia i Łodzi, ale poza Łodzią. Proponowana do Wiosny Artystycznej duża impreza estradowa wzięta została do Katowic na święto „Trybuny Robotniczej”, gdzie imprezę tę traktują organizatorzy poważnie.

Tym, którzy traktują rozrywkę jako nieślubne dziecko rodzone w bólach i po kryjomu, my młodzi musimy udowodnić, że właśnie ten element kultury jest najbardziej chłonny i masowy.



GRZEGORZ SZTABIŃSKI: — Reprezentuję środowisko plastyczne. Jest to środowisko liczne, ale w przeciwieństwie np. do aktorów czy filmowców, którzy są związani z określonymi zespołami i zespoły te tworzą jakieś dzieła, zespoły plastyków powstają samodzielnie, na własny rachunek i dlatego potrzebne jest im pośrednictwo. Mam na myśli malarstwo, rzeźbę, które mogą dotrzeć do odbiorcy tylko poprzez system pośrednictwa: poprzez wystawy i działalność krytyczną. Wydaje mi się, że to jest bardzo ważny i trudny moment.

Środowisko plastyczne w Łodzi ma spore osiągnięcia. I to zarówno twórcy starsi jak i też młodzi. Można to zauważyć na licznych wystawach krajowych i zagranicznych, gdzie wielu artystów swoje prace wystawia.

gorzej sprawa się przedstawia w Łodzi. Założyliśmy tu grupę plastyczną w 1969 roku. Na początku mieliśmy jedną wystawę w czytelni Klubu Prasy i Książki i od tego czasu wystawialiśmy wszędzie, tylko nie w Łodzi. Dlaczego? Czy znaczy to, że u nas nie ma odbiorców? Mnie się wydaje, że to jest właśnie wina czy brak pośrednictwa między artystą i odbiorcą. Mnie się wydaje, że to jest właśnie wina czy brak pośrednictwa, między artystą i odbiorcą.

Galerie na Piotrkowskiej i na Sienkiewicza są pod patronatem Biura Wystaw Artystycznych i tam najczęściej realizowany jest pewien program, który to biuro opracowuje. Jest też galeria w Teatrze Wielkim. Przy Teatrze Wielkim w Warszawie jest podobna galeria, ale taka jest między nimi różnica, że jeżeli się idzie do galerii warszawskiej, to wiadomo, czego się tam można spodziewać. A w naszym Teatrze Wielkim wystawia się rzeczy dobre i bardzo dobre i złe. Podstawową bolączką życia plastycznego w Łodzi jest fakt, że nasze galerie nie zawsze realizują świadomym określony program artystyczny. Nie wystarczy bowiem to, że mamy w Łodzi dobrych twórców. Żeby dotrzeć z ich dziełami do odbiorców, potrzebne są galerie z określonym programem. Plastycy, ponieważ tworzą sami, wciąż muszą sobie zadawać pytanie: czy są potrzebni? W pracowniach mają wiele prac, ale co z nimi zrobić?

Albo problem krytyki artystycznej. Każde miasto ma swoich krytyków: Poznań, Wrocław, Warszawa, Kraków. W Łodzi krytyków nie ma. Nie ma ludzi, którzy mogliby pokazać innym, co się u nas dzieje. I zadaje sobie pytanie: dlaczego u nas nie ma krytyki? W zestawieniu z innymi ośrodkami uważam, że łódzkie środowisko artystyczne za mało jest związane z naukowym środowiskiem uniwersyteckim.

Myślę, że system artystycznego pośrednictwa w Łodzi jest szczególnie ważnym i trudnym momentem, który w znacznym stopniu decyduje o możliwościach prezentowania osiągnięć plastyków w Polsce i za granicą.

W OCZACH MŁODYCH...

Moim zdaniem należy zdecydowanie odrzucić tę fałszywą koncepcję, że istnieją stopnie wychowania estetycznego, że jeżeli chce się, żeby publiczność czytała „Ulissesa”, to musi poznać całą historię literatury. Nie możemy się zgodzić na odzucenie awangardy. Nie możemy się zgodzić z propozycją, że publiczność oczekuje tylko tego, co jest lekkie, łatwe i przyjemne i należy jej tego dostarczać i to jej da zadowolenie. Wydaje mi się, że ta koncepcja była fałszywa i ona już się nie sprawdziła. Teraz trzeba zacząć trochę inaczej.



które by decydowało o sztuce filmowej, natomiast istnieje olbrzymia baza produkcyjna.

GRZEGORZ KACPRZAK:

Jeżeli mamy mówić o kulturze filmowej, o występowaniu tej kultury w Łodzi, o obecnym i przyszłym jej kształcie, to musimy uściślić sobie pewne zagadnienia. Otóż w Łodzi do tej pory w kulturze filmowej występuje pewna aktywność. To znaczy, że na przykład stawiamy raz na film fabularny, a zapominamy o innych gatunkach filmowych. Łódź jest miastem szczególnym, jest to naprawdę zagłębie filmowe, ale zagłębie filmowe w sensie ludzi, którzy tu pracują, a nie w sensie twórczym. Nie ma w Łodzi środowiska takiego,

Jest to dosyć zaskakująca i niepotrzebna antynomia między olbrzymimi mocami produkcyjnymi, a ważnością i ważnością tego środowiska i spraw w Łodzi. Dlaczego tak się stało? Może dlatego, że Łódź przypadkowo została mianowana stolicą filmu polskiego. Potem wszystko zaczęło się przemieszczać do stolicy. W tej chwili zostało nam parę rzeczy, których Łódź jako miasto i społeczeństwo broni. Czy broni słusznie? Ja bym powiedział, że słusznie i niesłusznie.

Na przykład jedną z takich spraw bardziej znanych — dyskusja o Łódzkiej Szkole Filmowej — czy ta szkoła powinna być w Łodzi, czy nie? W Warszawie na każdym zebraniu jest głosowanie, czy przenieść szkołę z Łodzi, czy zostawić Grupę łódzian nigdy nie głosuje za tym, aby zostawić tę szkołę w Łodzi. Zawsze wstrzymujemy się od głosu. Dlatego, że gdybyśmy głosowali za tym, aby tę szkołę zostawić w Łodzi, spotkalibyśmy się z pytaniem środowiska warszawskiego — dlaczego? Jakie są argumenty? I tej argumentacji za szkołą w Łodzi nie ma oprócz argumentacji typowo patriotycznej czy uczuciowej. Nie ma argumentacji racjonalnej. W Warszawie mieszkają wykładowcy szkoły, szkoła pracuje w dosyć ciężkich warunkach, kontakt jej z miastem jest stosunkowo luźny, w związku z czym w zasadzie nie by się w pejzażu kulturalnym Łodzi nie zmieniło, gdyby w roku 1972 szkoła była w Warszawie.

Wiadomo w tej chwili, że sprawy te wyglądają nieco inaczej. Pewne decyzje spowodowały, że dyskusja o szkole jest praktycznie zamknięta, chociażby z uwagi na olbrzymie inwestycje, jakie były związane z profilowaniem szkoły, ze szkoły filmowej na szkołę filmową i telewizyjną. Sprawy wyposażenia szkoły zamknęły dyskusję. Ale tylko, jeśli chodzi o siedzibę, natomiast w dalszym ciągu jest otwarta sprawa szkoły jako pewnego środowiska. Każda wyższa uczelnia, tak jak politechnika, uniwersytet czy inna szkoła powinna tworzyć pewien krąg kulturalny. Ci ludzie zdobywają wiedzę, winni tworzyć tzw. środowisko ludzi, którzy łączą swoje umiejętności i wiedzę z pewnymi zagadnieniami, bądź też z pewnym terytorium. Niestety nie takiego nie dzieje się w Łodzi.

Łódzkie władze czynią np. od wielu lat starania o powołanie zespołu filmowego. Takie zespoły są w tej chwili w Warszawie i zespół na Śląsku („Silesia”). Łódź też włączyła się do walki o posiadanie własnego zespołu. Moim zdaniem chęć stworzenia takiego zespołu w Łodzi to za mało, to jest tylko sprawa prestiżu Łodzi. Bo jeśli się weźmie pod uwagę listę pełnoprawnych reżyserów filmowych, operatorów filmowych, tych z uprawnieniami i innych, którzy pracują w filmie, tworzący film jako dzieło sztuki, to okaże się, że nikogo prawie w Łodzi nie ma. To są ludzie, którzy przyjeżdżają pracować do Łodzi, oni nie żyją w Łodzi, nie mieszkają, ich związek jest związkiem bardzo luźnym. Myślę, że tutaj tylko szkoła filmowa jest jedyną instytucją, która mogłaby pozwolić, żeby w przyszłości powstał taki zespół łódzki z prawdziwego zdarzenia. Nie chodzi o zespół mający siedzibę w Łodzi, ale zespół łódzki, nie znaczy to, że łódzki zamknięty na trzy spusty, dotyczący jedynie spraw Łodzi, głuchy na wszystko inne, bo takie tendencje też występują i to jest złąbny regionalizm. Ja myślę o zespole działającym w Łodzi, ale otwartym na sprawy kraju.

Ale teraz o innych sprawach. Spotyka się tezę — wszystko dla młodych. Wytwarza ona podział, moim zdaniem niesłuszny. Jest mi wszystko jedno, gdy czytam książkę, czy jej autor — młody czy stary. Tworząc teatry młodych i dla młodych tworzymy swego rodzaju getta. Przykładem tego może być teatr studencki, który jest hermetyczny i w sensie tworzenia i jego odbioru. Uczestnictwo młodych ludzi powinno się odbywać na zasadzie partycypowania w istniejących już i do tego przeznaczonych instytucjach. Natomiast inną sprawą jest sprawa mecenatu.

Nie do końca jest prawdą, że władze zwierzchnie powinny oczekiwać inicjatyw. Tutaj powinno być sprężenie zwrotne. Naprawa klimatu i niedostatków w każdej dziedzinie sztuki powinna być kompleksowa. Ta kompleksowość wymaga również olbrzymich nakładów materialnych na powstanie bazy, w oparciu o którą można by działać. Nie jest to tylko sprawa talentu, zaangażowania, to jest również sprawa powierzenia ludziom pewnych środków.



IWONA KSIĄZEK:

Chciałabym mówić o upowszechnianiu kultury z pozycji własnej, jako odbiorcy kultury. Twórcy mówią o kulturze przez duże K, nie mówią jednak o tym, jak dotrzeć z tą kulturą do odbiorcy. Sztukę się tworzy dla określonych środowisk, zamkniętych hermetycznie. Plastyki tworzą dla siebie, filmowcy dla siebie, poeci i pisarze dla siebie. Uczono mnie, że przez uczestnictwo w kulturze człowiek staje się lepszy. A tu o tym ani słowa.

Troszczyliśmy się, jak robić coś za małe czy duże pieniądze, natomiast nie troszczyliśmy się o to, co przez to chcemy osiągnąć. Należałoby się domagać od mecenatu kultury, aby popularyzacja jej była sprawowana bardziej nowoczesnie i żeby władze szukały również nowych form tej popularyzacji. Dlaczego Warszawa może obejrzeć wystawę Picassa, a Łódź nie może? Nie ma w Łodzi absolutnie importu muzyki estradowej. Naszym obowiązkiem jest kształcenie odbiorcy. Naszym twórcom mimo, że narzekają na brak środków finansowych, nie grozi los tych, którzy umierali w nędzy za swoje nowatorstwo.

Brak nam dobrej recenzji, którą mógłby przeczytać przeciętny czytelnik. Brak nam krytyków muzycznych. Po festiwalu poezji organizuje się spotkania młodych twórców z czytelnikami, na których twórcy mówią o swojej pracy, a czytelnicy o własnych sprawach, nudząc się i czekając na koniec. Brakuje na co dzień rzeczywistego kontaktu twórcy z odbiorcą.

Chciałabym np. zobaczyć „Dziady” krakowskie, Grotowskiego, „Balladynę” i wiem, że biletów na to już nie ma. Chodzi o taką politykę, aby te wielkie spektakle mogła obejrzeć cała Polska. I to właśnie u siebie, na miejscu.



KRYSZYNA NAWROCKA:

Mnie się wydaje, że jeżeli mówimy o kulturze i rozwoju kultury w Łodzi, to trzeba rozróżnić dwie zasadnicze rzeczy. Inaczej trzeba tworzyć warunki pracy dla artystów, a inaczej rozwijać bazę dla odbiorców kultury, bazę o istnieniu której w tej chwili trudno mówić. Upowszechnianie kultury jest również pewną sztuką i kiedy przychodzi robotnik, a nawet inteligent na spotkanie z tą sztuką, okazuje się, że on jej nie rozumie.

Powinniśmy jak najwięcej upowszechniać kulturę. Ja pracuję ze środowiskiem robotniczym, organizuję kluby dyskusyjne, młodzi ludzie twierdzą, że pierwszy raz w życiu widzą film, który jest trudny, a który przecież ich interesuje. Często bywa tak, że jeżeli się pokaże film trudny, to publiczność nie chce się wypowiadać na jego temat, ale trzeba ich zachęcać i po drugim, trzecim, razie dyskusja się ożywia. To nie może być powód, żeby nie tworzyć sztuki nowej, żeby nie tworzyć awangardy, żeby nie próbować eksperymentu. Mnie się wydaje, że należy to robić. Ale potrzeba nam również ludzi, którzy umieliby tę sztukę lansować i tworzyć wokół niej atmosferę. Problem w tym, że w Łodzi takiej atmosfery nie ma.



WITOLD SULKOWSKI:

Mówiono tu o różnych środowiskach młodych twórców w Łodzi, takich jak środowisko plastyczne, muzyczne, filmowe, teatralne. Nie padło słowo o środowisku literackim. Z jednej strony może to być dziwne, bo w całym kraju czekamy na natarcie młodej literatury. Młoda literatura jest w tej chwili w centrum zainteresowania.

Z drugiej strony pominięcie tego środowiska nie może dziwić. Posłusznie się własnym przykładem: na około 70 publikowanych pozycji tekstów poetyckich i szkiców poetyckich, w Łodzi konkretnie w „Odgłosach”, wydrukowałem 11 linijek tekstu.

Jeden wiersz. Nie jest to jakaś wybitny tomik poezji Zdzisława Jaskuły, wydany, nawiasem mówiąc nie w Łodzi, docekal się sześciu już recenzji w poważnych pismach kulturalnych krajowych. Nie docekal się ten tomik żadnej wzmianki w prasie łódzkiej.

Sama atmosfera Łodzi daje szansę pewnej odrębności, samoistności w polskiej kulturze, w polskiej literaturze. Ale nie tak, żeby to było na siłę łódzkie, bo najczęściej tworzy się tandetę, żeby to było regionalne — o prządkach i kominach.

Łatwo jest powiedzieć, że nie istnieje młoda kultura i dorosła kultura, ustabilizowana, istnieją tylko rzeczy dobre i złe. W tej chwili mamy przecież do czynienia ze zjawiskiem, które nazywa się młoda kultura, odrębna, nowa, na mniejszą skalę, coś w rodzaju rewolucji romantycznej, która też była niewątpliwie tworem młodych. Nie są to rzeczy przyległe do siebie: np: teatr studencki i teatr profesjonalny. Ten pierwszy — to sygnał, że młoda kultura istnieje. We wszelkich zjawiskach kulturalnych — nieprofesjonalnych — jest o wiele ważniejszy ten, kto uczestniczy od tego kto odbiera.



PIOTR KRUKOWSKI:

Jeżeli mówimy o kulturze to związana jest ona z ludźmi i tworzą ją przeciw ludzie. Myślę, że nie można tworzyć kultury poprzez dyskusje i manifestacje. Do tworzenia kultury będą również potrzebni ludzie, którzy dziś studują w łódzkich uczelniach artystycznych. Należy zatem zwrócić baczną uwagę na to, jacy to są ludzie, co będą reprezentowali sobą po wyjściu z tej szkoły. To jest jedyną zagadnienie.

Mnie się wydaje, że w momencie ukończenia szkoły i pójścia do pracy, człowiek jest przede wszystkim zafascynowany środowiskiem i pracą. Jeśli pozostaje mu trochę siły, że może patrzeć obiektywnie i stwierdzić pewne zjawiska krytyczne, to niestety sam nie jest w stanie im zapobiec. Muszą też być ludzie, którzy mu pomogą.

Jeśli chodzi o teatr, to moja propozycja jest taka, żeby stworzyć na terenie Łodzi teatr młodych. Nie wiem, czy taki teatr może powstać? Jest jednak w teatrach łódzkich sporo młodych aktorów, którzy chętnie oprócz tego co robią w teatrze zawodowym realizować własne marzenia.

ANDRZEJ MIKOŁAJCZYK: — W muzealnictwie istnieje stara, tradycyjna hierarchia, która młodemu człowiekowi pozwala dość do głosu dopiero po dziesięciu latach, do dopiero po tym okresie staje się kustoszem, kierownikiem działu i może o czymkolwiek decydować, jeśli chodzi o działalność kulturalną, naukową, czy popularyzatorską.

O wiele przyjemniej jest pójść do teatru czy kina niż do muzeum, które jest powszechnie używane za magazyn starych, pięknych rzeczy, których nawet dotknąć nie można. Do nas najczęściej przychodzi tylko wycieczki szkolne.

Chcemy szerszych możliwości popularyzacji tej formy działalności, bo kontakt z jakimś zabytkiem, nawet archeologicznym, czy innym, jaki w muzeum się znajduje, podnosi poziom estetyczny, wpływa na wychowanie estetyczne społeczeństwa.

W Warszawie są wspaniałe wystawy sprowadzane z zagranicy, ale one do Łodzi nie docierają, bo po prostu nie ma ich gdzie eksponować. Tak zwane wystawy czasowe, które mogłyby się pojawiać w naszych muzeach łódzkich, nie docierają do nas, po prostu nie ma gdzie wystawiać, nawet nie mamy dobrego oświetlenia.

Jeśli mimo to wiele ciekawych rzeczy, które się dzieją w świecie muzealnym, nowe, ciekawe wystawy, które kwitowane są w gazetach dwoma wierszami. Najczęściej czytelnik nawet nie wie, o co chodzi, i to go nie zachęca do kontaktu z muzeum.

WŁODZIMIERZ POŚPIECH: Obecnie przygotowuje się materiały na plenum KL PZPR. Będzie to plenum poświęcone sprawom kultury, ocenie tego co było i nakreśleniu planów na przyszłość, do lat 90-tych naszego stulecia. Mamy w Łodzi duże osiągnięcia. Są one trudno porównywalne z osiągnięciami innych miast, ponieważ inne były warunki startu. Byliśmy niejako w pozycji nieuprzywilejowanej, byliśmy miastem ze złymi tradycjami, które narzucił nam wiek XIX i do tego musieliśmy w nowej rzeczywistości przystąpić, budować na takich podstawach, jakie zastaaliśmy. To, co zrobiliśmy w tych warunkach, jest ogromnym sukcesem. Niemniej jednak na pewno nas nie zadowala.

A więc jak będzie wyglądała przyszłość kultury w Łodzi, a więc pytanie: jakie jest nasze miejsce i rola w tworzeniu tej przyszłości? Chcemy wszyscy, żeby było lepiej i dlatego postanowiliśmy zasięgnąć waszej opinii, waszej rady, gdyż w wielu wypadkach może właśnie one wskazać nam właściwą drogę. W tej chwili każdy z was pracuje w jakiejś instytucji, działa w określonym środowisku, ale kiedyś, w przyszłości będziecie kierować kulturą. Chodzi więc o to, aby naszą wspólną działalnością stworzyć dziś takie warunki, abyście w przyszłości mieli pełną satysfakcję z waszej pracy.

Zwracając się do was o radę i propozycję kierowaliśmy się waszą aktywnością, waszą żarliwością w pracy zawodowej i polityczno-społecznej. Liczyliśmy bowiem, że ta żarliwość pozwoli wam na zgłoszenie takich propozycji, które pomogą nam wszystkim znaleźć właściwą drogę i przyczynią się do dalszego rozwoju kultury w Łodzi.

Chciałbym podziękować za masę ciekawych propozycji, które niewątpliwie posłużą pomocą naszej codziennej działalności. Padło tutaj wiele krytycznych uwag, odnoszących się do pracy niektórych środowisk twórczych i instytucji upowszechniających kulturę. Będą one niewątpliwie przydatne przy formułowaniu ocen i programów rozwojów tych środowisk i instytucji. Padło tutaj również wiele interesujących postulatów, które też należy wziąć pod uwagę przy formułowaniu tych programów. Myślę jednak, że nie wszystko, co jest słuszne i potrzebne, a co wynika także z waszej niecierpliwości można będzie szybko zrealizować. Chciałbym jednak zapewnić, że będziemy starali się stworzyć takie warunki, aby te wszystkie cenne i interesujące postulaty, jak zresztą wszystkie cenne inicjatywy, mogły być realizowane. Drzwi Wydziału Kultury i Sztuki są zawsze otwarte dla tych, którzy chcieliby takie inicjatywy podejmować i realizować. A nasza rola sprowadza się do popierania wszystkich dobrych pomysłów.

Dyskusja młodych twórców i popularyzatorów kultury trwała około pięciu godzin. Zaprezentowaliśmy czytelnikom tylko jej fragmenty, nie ustosunkowując się do poruszonych problemów. Do spraw tych powrócimy w najbliższych numerach „Odgłosów”

Z przeprowadzonej dyskusji wyciągnęliśmy pierwszy wniosek — potrzebę stworzenia młodym forum dla prezentowania swoich poglądów i propozycji. Redakcja „Odgłosów”, wspólnie z Federacją Socjalistycznych Związków Młodzieży postanowiły częściej organizować podobne spotkania, dając tym możliwość wypowiedzenia się młodym.

Jak daleko wstecz sięga ludzka pamięć? A moja? Coraz częściej jawi mi się zdarzenia i twarze, o których dotąd nie pamiętałem czy nie usiłowałem pamiętać. Przypływają fragmenty krajobrazów, wieczory zaciągnięte dymem z ognisk, z kominów chat, czerwone blaski zachodu przedzierające się przez sad, pył falujący nad drogą. Nie widzę całości, nie potrafię stworzyć obrazu ulic, domów, jak nie dostrzegam twarzy, które kiedyś pochylały się nade mną. Natomiast doskonale pamiętam szczydła, cienkie drągi z przymocowanymi podpórkami, na które stawiałem bosa, zakurzone stopy i kołysząc się wysoko ponad drogą wędrowałem od domu do domu. Wielka frajda dla pięcioletniego szkraba, kiedy posuwa się wyniesiony ponad innych, kiedy może widać poszerzony horyzont, łąki za ogrodem i strużkę wody wijącą się zygzakami obok starych olszyn. Z innych rzeczy pamiętam szewską pracownię Ojca i mężczyzn pochylonych nad drewnianymi kopytami, rozsypane drewniane ćwieki, zapach wosku, którym pociągano dratwy, słońce na meblach i małego chłopca wbijającego ćwieki w deski podłogi. Nie mogę uwierzyć, że to byłam ja, choć nie mogę się mylić. Moja pamięć podsuwa mi mój wizerunek z tamtych lat. Gorzej natomiast pamiętam Rodziców: Matka — to było zawsze

ludzi, na dziedzińcu stoma, jakiś mężczyzna z karabinem dokonuje egzekucji dworskich psów. Chodzi, w otoczeniu gromady dzieciarni, od budy do budy i strzela. „Koniec z panami!” — mówi ze złym uśmiechem.

A gdzieś daleko, właściwie dookoła, dudnią detonacje potężniejsze od grzmotów, niepokojące.

Wracam do domu dźwigając narecze ksiąg, których nie znam znaczenia ani treści. Z wydartych kart narobię papierowych portfeli, gołębi. W piekle wojny moja radość z posiadania na własność foliów o sztywnym, gładkim papierze będzie radością barbarzyńcy. Ale przecież moja wiedza o ówczesnym świecie sięgała zaledwie do ostatnich domów, do rzeki, do pobliskiego lasu.

Wspominając siebie z tamtych lat nie znam właściwie kolejności zdarzeń ani chronologii pojawiających się strzępów dzieciństwa. Co było przedtem, co potem? Które ze wspomnień jest wcześniejsze? Dopiero jakaś granica tego wszystkiego jest wojna, od niej czas zaczął się liczyć dokładnie i pewnie. Oczywiście łatwiej mi przychodzi segregować to, co zdarzyło się później, gdyż znam tę decydującą datę, jest ona pierwszą zapamiętaną przeze mnie datą historyczną. Natomiast takie obrazy jak ten: leżę, wiem, że przeżyłem jakąś poważną chorobę, pamiętam biel pościeli, ludzi wchodzą-

ta zmiana dotyczy i mnie. Zapewne, ci, którzy pamiętają mnie sprzed lat, widzą zupełnie innego człowieka. Takie nagłe zaskoczenie bywa kłopotliwe. To, o czym mogłem rozmawiać z szesnastoletnim chłopcem, dawno stało się nieważne, straciło sens i znaczenie. Nie mogę mówić tego samego czterdziestoletniemu dziś mężczyźnie, który nie dość, że zmienił twarz, ale nie jest przeciętnym uczniem gimnazjalnym, jest docentem doktorem czegoś tam i rozmawiając ze mną używa takich słów o jakich kiedyś obaj nie mieliśmy pojęcia.

A więc twarze: z dzieciństwa zapamiętałem śmiejące się usta, duże oczy, radość. Wszystkie twarze, które znajdowały się w obrębie mego świata, były radosne i wesołe. Do dzieci przychodził się z uśmiechem. Uczy się je tej trudnej sztuki, o której potem szybko zapominają. Smutek, zwątpienie, lzy — to nie leży w programie edukacji, to przychodzi samo. Natomiast nauczyć kogoś radości jest nie lada wysiłkiem. Dlatego dzieciom ofiarowuje się radość. Odkrywanie świata winno sprawiać przyjemność. Dopiero walka o miejsce na tym świecie nauczy reszty. Stąd w mojej pamięci tak mało spraw związanych z cierpieniem. Nawet choroby, które wyjątkowo upodobały mój organizm, w owym czasie widocznie nie były aż tak doku-

POLSKA

Przedemną i za mną i wokół mnie
jak okiem sięgnąć
jest kraj rozległy
biało-czerwony
Polska
rozpiewana ziemia
rozdzwoniona pieśnią skowronka
na cztery światy strony
od wiosny aż do odlotu

tu bocian brodzi po łąkach
tu koncertuje w zarosłach
słowik majowy artysta
tu moje miasto
tu moja wioska
i ludzie
zagrzebani w radościach
nadziejach
i troskach
a nad głową niebo jak Biały Orzeł
a pod nogami jak morze
sercu bliska
ziemia ojczysta
tu jest mój dom rodzinny — Polska.

WALENTY JARECKI

Wiersz ludowego poety ze wsi Staw (pow. Wieluń).

EUGENIUSZ IWANICKI

INTYMNOŚĆ (FRAGMENTY)

coś ciepłego. Ojciec — to przede wszystkim uśmiech i wesołość, podzucanie chłopczyka na górę, wędrowki po lesie lub pływanie czółnem, do którego wrzucił migotliwe ryby z wyciąganych węćlerzy. A najwyraźniej pamiętam Ojca jak stoi z rękami uniesionymi nad głową, w zielonych kamgarnowych spodniach typu galife i w brązowej kurtce. Obok leży rower, jeszcze obracają się koła, słońce łamie się w szprychach, ktoś krzyczy przeraźliwie. Zamazały mi się twarze ludzi, widzę jedynie ich sylwetki, natomiast bardzo wyraźnie jawi mi się wyciągnięta ręka trzymająca rewolwer skierowany w twarz mego Ojca. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że był to początek nowej epoki w naszym życiu.

Natomiast bardzo dobrze pamiętam Babcię. Jej twarz także uległa zatarciu, lecz widzę skurczoną, chudą sylwetkę jak z płazem rzucaną do samochodu, którym nas zabierają. Wiem, że to placz, placzą zresztą wszyscy, i ci co zostają, i ci, których załadowano na samochody. Tylko ja dzwuję się i mam im za złe, że chcą nas zatrzymać. Przecież będziemy jechać, czeka nas podróż pociągami! Aż podskakuję z radości i wołam do kierowcy żeby ruszał.

Potem, już pod wieczór, po raz pierwszy odkrywam zapach poćwiartego, specyficzną woń parowych lokomotyw, gryzący dym, cierokki odor bydlęcych wagonów, nawoływania kolejarzy i usypiający turkot kół stukających o szyny.

W dzieciństwie ubierano mnie w ulański mundur: wysokie buty, na czapce-rogatywce gwiazdki. Nikt w okolicy nie nosił takiego munduru. Co roku krawiec brał miarę, a chłopcy z warsztatu Ojca szły mi nowe buty.

Nagle przypominam las. Idziemy z Matką od Dziadków Ojca, moja Siostra ma dopiero cztery lata i szybko się męczy, więc trzeba ją nieść. Grymasi. Matka pokrzykuje na nią, śpieszy się. „Akurat w takiej chwili!” — mówi. — „Nie możesz wytrzymać? A ty też się pospiesz, przedziej. Zerwij te gwiazdki, orzelka, zresztą najlepiej wyrzucić czapkę w krzaki, po co mają widzieć”. „Ale to moja czapka!” — Bronię się, protestuję. „Przecież jest wojna!” — mówi spokojnie Matka. — „Nikt nie wie co się przyda a co zaszkodzi!”.

Z płazem zakupujemy czapkę, gwiazdki, biało-czerwone baretki, robię na drzewie znak, po którym trzeba będzie tu trafić i podobni do deszczowej chmury wracamy do domu. Lzy są tuż tuż, wystarczy zamruć powiekami, a popłyną po pyzatkach polkach. Przyrzekam, że jak tylko trafi się okazja, wrócę po swoją własność.

Przeliczyłem się. Mija trzydzieści trzy lata, a ja nawet nie wiem, czy ów las jeszcze jest. Nie wiem zresztą wielu rzeczy, nie zapuszczałem się przecież w owe regiony dzieciństwa, nie wracałem zbyt często ani do owych lat, ani do chłopca niosącego oczy pełne łez i usiłującego zapamiętać drzewo, pod którym zakopał rogatywkę i błyszczące oficerskie gwiazdki.

„A oficerem zostanę?” — pyta chłopiec. „Zostaniesz, zostaniesz” — odpowiada Matka. „A teraz pospiesz się, może już wrócił ojciec!”.

W domu dowiaduję się, że z majątku dziedzica można brać książki, gdyż dziedzic z rodziną został wywieziony. Szybko zapominam o leśnej kryjówce i pędzę do dworu. Pełno

cych i wychodzących z pokoju, farby akwarelowe i karton, na którym maluję domy o dachach czarnych i stromych. „Będzie malarzem — mówi ktoś obok. Popatrzcie jak mu to wychodzi, prawie jak w rzeczywistości”. Na szczęście owa przepowiednia nie spełniła się, choć był czas w moim późniejszym życiu, kiedy malowaniem obrazków zarabiałem na chleb. Dawne to dzieje. Miniłone.

Inny z obrazów, także związany z moją chorobą, bowiem zawsze czepiali się mnie najmniejszych dolegliwości, co niestety pozostało do dziś. Otóż leżę i przyglądam się jak Ojciec usiłuje dobrać denaturatu do prymusa, jak przybliży butelkę i nagle ogarbia Ojca ogniem, głowa niby płomienna kula miotła się po mieszkaniu, pała się firanki, obrus, jest bardzo widno, cały pokój jest wypełniony jaskrawożółtym blaskiem! Lecz nie pamiętam co było potem, nie pamiętam chorego Ojca ani jego długotrwałej ślepoty, sparzonej skóry na twarzy. Wtem o tym z późniejszych relacji, ze wspomnień rodziców.

Dziwną właściwością mej pamięci jest przechowywanie barw. Stąd obok zdarzeń, ludzi, dość wyraźnie jawi mi się strzępki krajobrazów, wycinki zielonych łąk, nasze podwórko pełne białych kwiatów dziko rosnącego rumianku, tuż za domem sad, gdzie mieszkali wszystkie dobre i złe duchy stojące na straży niedojrzałych owoców. Lecz ściany domu były białe. Nie pamiętam wyglądu samego budynku, lecz wiem na pewno, że był biały, nawet jaskrawo biały, bowiem jeszcze teraz dość wyraźnie odbijają się jego ściany na tle zieleni podwórka i gestych krzaków jaśminu. Tego jaśminu musiało być sporo, bo wiem, że chowaliśmy się tam w czasie zabaw. A może to tylko dlatego, że ja byłem taki mały i ten krzak wydawał mi się nieprzebytą puszcza podzwrotnikową?

Mniej natomiast pamiętam złme. Właściwie śnieg kojarzy mi się z innym okresem mego życia, natomiast tamten, najodleglejszy czas jest jakiś cały w letnich barwach, nie ma w nim żadnych mrozów i zadynek. Jedyne zdarzenie związane z zimą dotyczy przykrego wypadku z moją Siostrą. Widzę wyraźnie jak stoimy na progu i namawiam czteroletnią Siostrę aby językiem dotknęła namarznętego metalowego skobla. Siostra nie chce. Więc mówię, może dotkniesz tego drugiego? Drugiego mogę — mówi i przymarza do metalu. Krzyki, polewanie ciepłą wodą, niebyswały rejdach, biegania...

Lecz wszystkie te nieuporządkowane wspomnienia zamykają potężne wybuchy, które nagle zaczynają wstrząsać ziemią. Od owego momentu przestałem być dzieckiem.

II

A jak jest właściwie z zapamiętywaniem twarzy? Jest to przecież wizerunek człowieka w pewnym, bardzo określonym czasie, wizerunek zmieniający się, coraz to inny. W końcu nie zawsze człowiek noszący twarz dwadzieścia lat temu zachował ją do dziś. Często spotykam ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z tymi, których kiedyś znałem. Nie tylko zmienili się wewnątrz, zmienili swój stosunek do wielu spraw, lecz do tego stopnia zdeformowali swoje mi rysy i sylwetki, że stali się zupełnie innymi ludźmi. Prawdopodobnie

czliwie skoro o nich nic bliższego nie pamiętam. Z opowiadań Rodziców wiem, że chorowałem bardzo poważnie, że były chwile, kiedy lekarz rozkładał bezradnie ręce i wiem, że wiele nocy i dni czuwałem przy mnie bojąc się abym nie odszedł nagłe jak to zdarzyło się z moją starszą siostrą Ireną. Zyla krótko, zaledwie kilka tygodni. Umarła na zapalenie opon mózgowych. Oczywiście, nie mogę jej pamiętać, lecz dość dokładnie przypominam sobie jej grób na cmentarzu, małą pagórkę obity deszczulkami i dziko rosnące na wierzchu poziomki. Był to biedny cmentarz, zapewne zaniedbany, lecz te poziomki nawet dzisiaj wywołują we mnie rozczulenie. Jest coś symbolicznego w tych drobnych czerwonych jagodach wyrosłych na grobie mojej małej siostrzyczki. Wątpię, czy do dziś zachowało się miejsce gdzie ją pochowano, nie wiem czy zachował się tamten cmentarz, przecież przez ziemię mego dzieciństwa przetoczył się wszystkoniszczący ogień. I gdzie szukać małego grobu, skoro nie znamy wszystkich innych miejsc, w których leżą tysiące ciał?

Twarze bliskich, szczególnie tych, z którymi żyje się przez długie lata, pozornie pozostają bez zmian. Czas, modulujący rysy, dokonuje swego dzieła pomalą, niedostrzegalnie i mamy możliwość przystosować się do tych zmian. Nie dostrzegamy ich. Dopiero kiedy zastanowimy się nad tym, że twarz Matki upodobniła się

to lepiej ją poznaję? Rozumiałem ją doskonale kiedy nie znała tych grymasów, kiedy reakcją na otoczenie był płacz lub śmiech. No tak, ale znam ją przecież od jej początku, pamiętam ją jak miała zaledwie parę dni, jak rosła, rozwijała się, jak niecierpliwie wehłaniała (i wehłania nadal) życie. Jest to moja pamięć, pamięć człowieka dorosłego. A jej pamięć? Co zapamięta z obecnego okresu? Niekiedy pytam ją o sprawy nie tak znów odległe, pytam czy pamięta jak otrzymała na gwiazdkę rower albo sanki. W jej oczach pojawia się zdziwienie, kręci głową, wrusza ramionami. Jej dwanaście lat — to jeden dzień mający świt i południe. Żyje ciągle w słońcu, przepelnia ją radość z byle powodu. Śmieje się szczerze i głośno. Jeszcze nie dostrzegła tej innej strony życia, ciągle pozostaje na słonecznym brzegu. Powiedziałem, że jej dotychczasowe życie to jeden dzień, właściwie pół i nie ma powodu aby troszczyć się co będzie potem. Przypomniał mi się w związku z tym Ojciec, który mówił, że przeszłość, to jakby bardzo krótki odcinek czasu, nawet trudno byłoby go zmierzyć, w którym zdarzyło się zarazem tak wiele i tak mało. Długo się tylko przyszłości, wyczekiwania, a nigdy to co pozostało za nami. Czas przeszedł nie ma żadnych wymiarów.

Zdarza się, że w mojej pamięci pojawi się jakaś twarz, której nie znam, nie mogę jej skojarzyć z nikim, z żadnym konkretnym zdarzeniem, nie potrafię umiejscowić w czasie. Długo szukam miejsca, z którego ją zabrałem i umieściłem w jakimś zakamarku mojej pamięci. Bo skoro jest, skoro widzę jej rysy, słyszę głos, musiała zjawić się w moim życiu. Tak było z twarzami dwóch sąsiadów, których imionami nazwałem parę szwelskich obcęgów. Jeden, Andrzej, mały, o nogach krzywych i krótkich, drugi, Marcin, wysoki, zawsze smutny, młeczawy. Ich twarze zlały się któregoś dnia bez powodu i długo męczyłem się,

czasie manewrów biwakowali pod lasem. Otóż przed sklepem zajeżdżał wojskowy motocykl, pierwszy jaki widzieliśmy w życiu. Tłum zebrał się solidny, dziewczynki w ogóle nie były dopuszczane w pobliże. Siedzący na motocyklu żołnierze śmiali się i żartowali. W mojej pamięci pozostała jakaś opalona twarz i zieleni munduru. Nie pamiętam natomiast motocykla: jaki był? Z kosem? Zielony? W pewnym momencie żołnierz wyciągnął reke. Nikt z nas nie chciał podać swojej, baliliśmy się. Być może ratując prestiż dowódcy, a może rzeczywiście byłem najodważniejszy spośród rówieśników, dość że podszedłem, podałem swoją umorusaną dłoń i, jak mnie uczono w domu, przedstawiłem się. Ubawieni żołnierze, a może chce zrobić przyjemność maluchowi, posiadali mnie na motocykl i powieźli. I tu nastąpiła tragedia. Z wrażenia posikałem się. Kiedy piszę o tym, uśmiecham się z sentymentem nad owym sobą, który tak odwdzięczył się żołnierzom. Jednocześnie rozumiem, że było to nie lada przeżycie. Dziś motocykl jest nieczym nadzwyczajnym, zresztą dziś prawie nie może zaskoczyć sześćdziesiętnego szkraba, który w telewizji oglądał lądowania człowieka na księżycu. Ale w tamtych czasach? Trzydzieści trzy lata temu?

„Czym chcesz być?” — Pytali znajomi Rodziców, przechodząc do nas do domu. „Generałem!” — Mówiłem pokazując na gwiazdki naszyte na pagonach. Było to ukryte marzenie Ojca. Stąd te moje uniformy, zabawa w wojenkę, wysokie oficerskie buty. Nie spełniłem jednak pokładanych we mnie nadziei. Dużo później, kiedy służyłem przez trzy lata w prawdziwym wojsku, otrzymałem zaledwie stopień starszego szeregowego. Moi koledzy opuścili koszarę w szlifach oficerskich, lecz ja problemem wszystko aby nie awansować. Już wtedy wiedziałem, że moje miejsce jest zupełnie gdzieś indziej, że te trzy lata służby są poważną przeszkodą w spełnieniu moich zamierzeń, że



Rys. A. Grun

do spekanej zoranej ziemi, że jej włosy stały się białe, że objętych babiego lata, wówczas pojawia się gorzka refleksja, że czas zabrał człowiekowi to co miał najpiękniejszego. Kiedyś, kiedy pisałem wiersze, ludzkie twarze nazwałem zegarami odmierzającymi przemijanie z większą dokładnością niż wszystkie najbardziej precyzyjne czasomierze. Tylko nie mamy możliwości zauważyć tego okrutnego ruchu, nie ma możliwości cofnięcia wskazówek. Ta doskonałość jest przeciwko nam. Często obserwuję jak zmienia się wygląd mojej córki, jak jej twarzyczka staje się bardziej dziewczęcą, jak wypracowuje, przyswaja sobie mimikę służącą do wyrażania uczuć. Czy przez

zanim skojarzyłem ich z obcęgami z warsztatu mego Ojca.

Nie pamiętam natomiast nikogo z kolegów. Było ich wielu, pamiętam przecież, że bawiliśmy się w wojsko i byłem ich dowódcą. Ustawiałem w szeregu i idąc od jednego do drugiego waliłem każdego pięścią w żołądek. Była to próba męskości i wytrzymałości. Moje wojsko musiało być odporne na ból. Zresztą sprawdziło się to w czasie bójek z innymi, kiedy posiniaczeni wracaliśmy do domów. Nikt nie płakał. W swojej karierze dowódcy przeżyłem także kompromitujący wypadek, który mało nie pogrzebał moich szans jako wodza. Że tak się nie stało, zawdzięczał dyskrecji żołnierzy, którzy w

upłynię długo czasu zanim odnajdę swoją prawdziwą drogę. „Będę generałem!” — Mówiłem mając sześć lat. — „Będę wygrał wszystkie bitwy!” Sąsiedzi śmiali się. Ktoś powiedział, że teraz wojsko ćwiczy, bitwy są na niby, a strzela się ze ślepych naboń. „Więc zrobię wojnę!” — Krzychałem. — „Największą wojnę na świecie!”.

Na szczęście były to nieodpowiedzialne słowa małego szkraba, który popisywał się przed dorosłymi, nie wiedząc nawet, że jest ktoś taki, kto za kilkanaście miesięcy zrealizuje jego marzenia. Ciekawe, czy zakupując w lesie oficerskie gwiazdki myślałem jeszcze o wygraniu wszystkich bitew?

melpomena w ogrodku

W życiu kulturalnym dziewiętnastowiecznej Łodzi niepoślednią rolę odegrały teatrzyki ogródkowe. One zapoczątkowały dzieje teatru w naszym mieście, one pierwsze wzięły na siebie trud zdobycia widza teatralnego w łódzkim środowisku, niezbyt dotąd podatnym na uroki Melpomeny.

Teatrzyki wśród zieleni wywodzą się z ogródków „piwnych”, szeroko rozpowszechnionych w Łodzi w pierwszej połowie zeszłego stulecia. Urządzenie takiego ogródka było bardzo proste, gdyż składało się przeważnie z paru stolików i krzesel, rozstawionych pod koronami drzew, z kręgielną oraz z podłogi do tańca. Tańczącym przygrywał skrzypek lub harmonista, a czasem... katarzynka. Zwyczaj przesiadywania w ogródkach przy kufku piwa wprowadzili do Łodzi Niemcy przybywający.

Z czasem wymagania ogródkowej publiczności wzrosły. Nie wystarczało jej już piwo, sąsiadka pogawędka, czy też gra w kręgle. Zwłaszcza białego ogródków pochodzenia niemieckiego, przyzwyczajeni w swojej dawnej ojczyźnie do muzyki i śpiewu, wołali o koncerty i piosenkę. Pojawia się więc w ogródkach „piwnych” harfarka, skrzypek, klarncista. Bardziej przedsiębiorczy właściciele ogródków organizowali koncerty muzyki lekkiej oraz występy „artystów”. Zazwyczaj były to popisy żonglerów i iluzjonistów, zdarzało się jednak, że na zaimprovizowanej scenie w ogródku występował również aktorzy z prawdziwego zdarzenia.

Dzieje teatrzyków ogródkowych w Łodzi poczynają się od 1846 roku. W tym czasie przemysłowiec łódzki, Ludwik Geyer, zbudował na posesji domu zajęzdnego „Paradyz” pierwszą w mieście salę widowiskową. Budynek teatralny mieścił się w obszernym ogrodzie spacerowym, sięgającym aż do ul. Wólczańskiej, a będącym pozostałością po dawnym lesie. Owczesny opis „Paradyzu” zaznacza, że teatr zbudowany był „z jednej strony w pruski mur, z innych — z balii”. Budynek zdobila imitacja arkad. Obok teatrzyku znajdował się drewniany domek przeznaczony na bufet.

Przez scenkę „Paradyzu” przewinęło się wiele zespołów i wielu aktorów, częstokroć o znanych, nazwiskach. Teatrzyki na Wólce — bo tak zwała się południowa dzielnica miasta — gościł w swoich progach towarzystwo dramatyczne Feliksa Piętrzykowskiego, Wincenego Raszewskiego, Ludwika Rembeckiego, Józefa Barańskiego, Juliusza Pfeiffra i innych. W zespole Pfeiffra grali znani aktorzy: Marcelina Borkowska z Teatru Rozmaitości w Warszawie, Fryderyka Ptaszyńska, Karol Królikowski, Józef i Feliks Bendowie — bracia przyrodni Heleny Modrzejewskiej. Trupa ta dała w „Paradyzie” pięćdziesiąt przedstawień przy zapelnionej widowni. Spora była to zasługa ówczesnego prezydenta Łodzi, Franciszka Traegera, który rozsyłał policjantów z biletami do zamieszniejszych mieszkańców, tak po-

laków jak i Niemców. Kiedy grano sztukę Korzeniowskiego „Karpaccy Górale” obecni na niej Niemcy, choć nie rozumieli polskiego języka — płakali ze wzruszenia, zachwyceni świetną grą aktorów.

Repertuar zespołów występujących w „Paradyzie” przystosowany był do wymogów publiczności ogródkowej. Grano takie sztuki, jak „Trzydzieści lat życia szulera”, „Adam i Ewa”, „Don Juan czyli ukarany libertyn” itp.



Fot. Włodzimierz Parys

Znacznym powodzeniem cieszyła się sztuka przerobiona z powieści „Rinaldo Rinaldini”. Epizodyczne role zbrojców i żołnierzy grali w niej łódzcy robotnicy i rzemieślnicy.

Z długoletniej historii teatrzyku ogródkowego na Wólce warto odnotować, że w 1873 roku odbyła się tu premiera operetki J. Offenbacha „Piękna Helena”, wystawionej przez zespół Anastazego Trapszy w niecodziennej obsadzie z Lucją Micińską, Adolfina Zimajer i Rufinem Morozowiczem. Przedstawienia odbywały się przy wypełnionej widowni, która mieściła ponad 400 osób. Baletnicę wystąpiły w różowych trykotach, ku niekłótnemu zgrozzeniu naszych prababek. Również Micińska, grająca tytułową

rolę, pod tuniką nosiła obcisłe trykoty.

Zarówno Micińska jak i Zimajer, występująca w chłopczej roli Orestesa, znane były po trosze łódzkiej publiczności, gdyż grały tu już w 1871 roku. Szczególnie Adolfina Zimajer, zwana potocznie „Zimajerką” — ścigała jak magnes publiczność do teatru. Swoim filuternym, szelmowskim uśmiechem aktorka czarowała widownię. Każde jej pojawienie się na scenie przyjmowane było gorącym oklaskami setek wielbicieli. Dużą popularnością cieszył się także Morozowicz w roli Menelausa. Współcześni stwierdzali, że już jego wygląd zewnętrzny usposabiał widownię do śmiechu.

Drugi teatrzyk ogródkowy w Łodzi powstał z inicjatywy kupca Frydery-

włatrak, należącego do młynarza Ignacego Kopczyńskiego. W zaimprovizowanym teatrzyku „pod wiatrakami” występował zespół amatorski pod kierownictwem Sellina. Reżyserem przedstawień był nauczyciel Powiatowej Szkoły Realnej, Franciszek Rybka. Dochód z występów przeznaczano na cele dobroczynne. Zespół Sellina istniał z małymi przerwami przez sześć lat.

W 1864 rok Fryderyk Sellin nabył zadrzewioną parcelę przy ul. Konstantynowskiej nr 14/16 (Obrońców Stalingradu), na której dotąd znajdowała się drewniana ujeżdżalnia wojskowa i wystawił tu (a właściwie przebudował z ujeżdżalni) teatrzyk, nazwany „Arkadią”. Występowała w nim przez dwa lata jego własna trupa licząca około dwudziestu osób. W zespole Sellina wyróżniali się aktorzy: Józef Cybulski, Czesława Czapska, Adolf Deichau, Stanisław Konopka, Lucjan i Maria Ortyński, Aleksander Podwyszynski i Karol Rychter. W „Arkadii” wystawiano dramaty i komedie: „Krawcówki i Górale”, „Zebra”, „Esmeralda” i inne. Przedstawienia odbywały się trzy razy w tygodniu: we wtorki, czwartki i niedziele.

W latach późniejszych na scenie „Arkadii” występowały prowincjonalne trupy aktorskie Anastazego Trapszy, Józefa Tekla Juliana Grabińskiego, Józefa Puchniewskiego, Jana Luby, Lucjana Kościeleckiego, Karola Kopczyńskiego. W zespole Tekla furorę czyniła Czesława Czapska, bo nosiła „kieckę z dwoma od pasa do ziemi rozporami”.

W 1873 roku Sellin założył na Konstantynowskiej drugą scenę, Teatr Letni, w którym dawano przedstawienia od maja do września. Grywano tu głównie operetki, komedie, farsy. „Ciotka Karola”, „Ciepła wdówka”, „Podróż po Warszawie” — oto kilka tytułów z repertuaru teatrzyku letniego Sellina. Na scenie tej wystąpiła czterokrotnie w lipcu 1888 roku Gabriela Zapolska w swojej własnej sztuce „Malaszka”. Do Łodzi przybyła na zaproszenie Juliana Grabińskiego.

Poziom artystyczny wystawianych w teatrzykach ogródkowych sztuk, pomimo niejednokrotnie znakomitej obsady, nie był wysoki z tej przyczyny, że aktorzy nie mieli czasu na właściwe opracowanie ról. W ciągu jednego sezonu letniego dawano kilkadziesiąt sztuk, przy czym zmiana repertuaru następowała prawie codziennie, gdyż inacej widownia świeciła pustkami. W takich warunkach sufler miał niewielką rolę do spełnienia.

Praca aktorów na scenach ogródkowych była niezmiernie uciążliwa. Ciąsnota, brak wygodnych garderób, a przede wszystkim dotkliwie zimno dokuczalo aktorom grającym często w letnich kostiumach. Mimo tych niedogodności, teatrzyki wśród zieleni były jednak doskonałym warsztatem dla wielu adeptów sztuki dramatycznej. Niejedną gwiazdą aktorską po raz pierwszy zabyła talentem własnym na scenie ogródkowej.

Zmierzch teatrów ogródkowych nastąpił w początkach bieżącego stulecia. Główną przyczyną ich upadku były kinematografy, które zagarnęły znaczną część publiczności ogródkowej. Ostatecznego spustoszenia dokonała pierwsza wojna światowa. Budynek „Paradyzu” przeznaczono na skład używanych mebli. Zamknął także swoje podwoje Teatr Letni na Konstantynowskiej.

WACŁAW PAWLAK

MŁODOŚĆ DAŁA IM SZANSĘ

„Prawdopodobnie nim jeszcze doszło do rozszepienia na homo ludens i homo faber, na aktywność, która jest obowiązkiem i źródłem utrzymania i na aktywność, która jest źródłem zabawy i przyjemności, obie zespalały się w jedną całość tak, jak to widać w sztuce ludów tzw. pierwotnych, w sztuce dziecka” — pisał w jednym ze swoich esejów zytułowanym „Kochać i łepić swój świat”, zmarły niedawno, wybitny humanista — profesor Antoni Kepiński.

Rozszepienie na homo ludens i homo faber powoduje, według Kepińskiego, zamianie artysty w rzemieślnika. Sądze, że żaden zawód nie daży w swej istocie do scelenia owych aktywności w takim stopniu jak profesja aktora. Jeśli za aktywnością artysty kryje się swoboda twórcza, a za aktywnością rzemieślnika (w dobrym tego słowa znaczeniu) rygory tworzenia, to stopniem ducha artysty z umiejętnościami rzemieślnika jest cechą najsłabszą. Aktorowi potrafi wygrać owa poetyckość, podać ją szczerze, bez patosu, ba, zrobić z niej motoryczną siłę spektaklu. I tak się właśnie stało. Ten teatr nie kłamał, nie tuszował, ani wieku, ani niepełnego jeszcze opanowania sztuki aktorskiej. Nawet, gdy ktoś zrobił gest, ruch, krok za dużo, gdy w głosie aktora wyczuwano się zdenerwowanie czy niepewność, to nie miało ujemnego znaczenia. Otwartość i wdzięk młodości wybaczaly te błędy.

Reżyser spektaklu — Alina Obidniak — pozostawiała swoim podopiecznym dużo swobody, podkreślając przy tym w pełni umowność teatru. Aktorom nie przeszkadzała także scenografia w opracowaniu Elżbiety Dietrich-Różyckiej. Skromna, wyznaczająca tylko miejsca gry — wydarzeń; mieszkanie Perockiego, suterenu Nastii, poddasze Poety. Najciekawszą postacią spektaklu stworzyła, według mnie, Barbara Dziekan jako Nastia. Ona chyba jest najwłaściwszym przykładem jak można grać i być sobą

zarazem. Nie popadała w fałszywy ton, przesyadła gest, w scenie oczekiwania na męża jest pełna napięcia i miłości, w chwili jego powrotu — przerażenia (Owram wraca z wojny bez nóg), w scenie obłędu popartej niezwykle ekspresywnym krzykiem potrafiła wywołać w sobie, i jak sądzę, w widzach tragiczne przeżycie. Dobrze panuje nad modulowaniem melodyki zdań, gestem, mimiką.

Postać bezwonnego Owrama kreował Leon Charewicz. Mąż Nastii porusza się na wózku — stwarza to wiele ograniczeń dla aktora. Leon Charewicz kompensuje je głosem, mimiką twarzy. Robi to sugestywnie, szczególnie w scenie sądu. W jego odpowiedziach na pytania kontrrewolucjonistów wyczuwa się nutę tragizmu, odwagi i ironii człowieka przekonanego o nieuchronności wyroku śmierci i zarazem zwycięstwa sprawy o którą walczy. W tej scenie ciekawie zaprezentowała się Irena Szewczyk — jeszcze studentka. II roku — jako Zinka. Prostytutka Zinka jest w posiadaniu dokumentu ośmiestającego przedstawicieli sądu „białych” i postanawia wykorzystać te pseudo-rozprawę nad Owramem, by dokument był ogłoszony. Ten moment pozwolił Irene Szewczyk w pełni ukazać natężenie, ale także dumną zemstę Zinki za swój los, za niechybną śmierć Owrama.

Wspomniana nieco banalna poetyckość zaważyła szczególnie na konstrukcji postaci Maryny. Córka nauczyciela Stupaja-Stupaniuki wielbi muzykę — „Sonata patetyczna” wypełnia dom, w którym mieszkała wszyscy bohaterowie dramatu. Duszę ponadto oddała, jak jej zinfantylizowała, nacjonalistycznym tendencjom secesji Ukrainy. Pomaga kontrrewolucji. Jakże łatwo więc ukazać

te postać jako egzaltowaną patriotkę. Halina Rasiakówna, jak mi się wydaje, starała się natomiast uspokoić prostotą i szczerością owe przepoetyzowanie Maryny. Ożywiła postać niezwykle papierową.

Janusz Grenada jako Stupaj-Stupanienko był może zbyt groteskowy. Ważne wydaje mi się w jego grze to, że nie starał się zagrac starca (jakim jest ojciec Maryny) lecz był po prostu młodym człowiekiem, któremu przypadła w udziale taka, a nie inna rola.

Z racji „wieku” skorzystał także Krzysztof Janeczka jako Poeta. Poeta jest narratorem przedstawianych wydarzeń, młodym chłopakiem, którego wydana jako rewolucjonisty komplikuje miłość do Maryny. Wydaje mi się jednak, że młodośćczy z natury Janeczka starał się być jeszcze bardziej młodzieńczy i wtedy zaczynała się gra. Na ową młodość można było sobie pozwolić w pierwszych scenach dramatu. Kiedy zaś Poeta uświadamia sobie, że współpracował z kontrrewolucjonistami można komponować te postacie bardziej męsko. Wtedy również jaskrawiej zarysowałyby się kontrast dwóch przyjaciół: Łuki i Poety.

Marek Frąckowiak jako Łuka sygnałizował często w grze wobec Poety swoją „dorosłość” — aktywne i zdecydowane zaangażowanie się w rewolucyjną walkę.

Tyle refleksji o grze niektórych aktorów dyplomowego spektaklu ostatniego roku wydziału aktorskiego PWSFTvT w Łodzi. Już wkrótce absolwenci rozjadą się do naszych w większości dziewiętnastowiecznych teatrów „przedstawiających” i „ogładających”. Zostaną „przypisani do teatru”. Trafia może na złe spektakle, złe role. Ale zdarzy się też, że trafią na wybitnych reżyserów, do interesujących zespołów. Wtedy, jak wskazuje praktyka kilku ostatnich lat, zaobserwujemy nowe gwiazdy lub co najmniej cenni aktorzy. I tego wypadka życzyć im wszystkim.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

Niegdyś traktowano propagandę jako coś jakby wstydlivego. Wprawdzie nie mówiono tego wprost ale jakże często powiadano, że to „co głoszą „oni” to właśnie jest „propaganda”, zaś to co mówimy „my”, to nie innego jak najszczerza i najczystsza prawda. Dziś tego rodzaju poglądy odłożono do lamusa w przekonaniu, że działanie perswazyjne nie musi być oparte na błędzie a przeciwnie, jest tym skuteczniejsze, im bardziej opiera się na prawdzie. Stało się tak nie pod wpływem jakiejś naukowej teorii, ale pod naciskiem codziennego życia, które ustawicznie zaświadcza o obecności i doniosłości działania propagandowego w naszej nadmierne nasyczonej informacjami cywilizacji. Anglosascy teoretycy propagandy, tesknąc do znalezienia sposobów, które by pozwoliły dowolnie manipulować postawami ludzkimi, niekiedy wrodo określają propagandę jako środek produkcji różnych legend i mitów. Refleksja marksistowska proponuje nie równie szerszą i bardziej adekwatną formułę, rozumiejąc propagandę jako celowe i umotywowane politycznie działanie perswazyjne na ludzkie zbiorowości, które droga uprzywilejowania masowemu odbiorcy informacji zmierzają do „kształtowania odpowiednich postaw”, wyrażających się w pożądanych zachowaniach.

Socjalistyczny model propagandy różni się zasadniczo od tego, który obowiązuje w innych formacjach ustrojowych.

„Propaganda typu socjalistycznego — powiada polski teoretyk propagandy Lesław Wojtasik — traktuje prawdę jako podstawowe i nienaruszalne kryterium, jako elementarny warunek skuteczności działania. Teoretycy marksizmu-leninizmu zawsze stali na tym stanowisku. Lenin pisał: „Skoro nasi przeciwnicy mówili i przyznawali, że dokonaliśmy cudów, jeśli idzie o rozwój agitacji i propagandy, to nie należy przez to rozumieć, że mowa tu o zewnętrznych przejawach, że mieliśmy dużo agitatorów i zużyliśmy wiele papieru; należy przez to rozumieć istotę sprawy, tzn. mianowicie, że zawarta w naszej agitacji prawda docierała do świadomości wszystkich. A od tej prawdy nie można się uchylać”.

M. Kalinin zwracając się do agitatorów powiedział, że muszą oni mówić prawdę, że nie wolno im malować wszystkiego „w różowych kolorach”, zaś winni ukazywać „rzeczywistość taką, jaka jest” i nie mogą się bać odsłaniania trudności.

„Sztuka propagandy i agitacji polega na tym, aby najsukcesyjniej wpłynąć na dane audytorium, czyniąc dlań pewną prawdę możliwie najbardziej przekonującą, najłatwiejszą do przyswojenia, możliwie wyraziście i trwale wbijającą się w pamięć”.

„Najważniejsza jest prawda i prawdziwa informacja. A prawda nie może zależeć od tego, komu ma służyć”.

Dwa cytaty, które powinny zapobiec złym propagandystom. Również tych, którzy dysponują środkami masowego przekazu. Ktożby uciekał od realiów życia wliczając do głów odbiorców niekomunikatywność, tajemnicowość, niemówliwość do wstrząsania w całości czy przeczytania elaboracji. Ktożby występując przed publicznością wolał odczytywać grube maszynopisy, niż podjąć z nią dyskusję. Ktożby zamiast interpretować rzeczywistość, zadawałaby się smarowaniem jej lakierem lub wazeliną, na wszelki wypadek, aby uniknąć kłopotu mówienia o sprawach trudnych, z których składa się życie społeczne i polityczne. Fatalne cytaty — z... Lenina. Często należałoby je nowtwarzać.

Czytam książkę L. Wojtasika „Zarys psychologii propagandy”, święte odłożoną przez Redakcję Nauk Politycznych warszawskiego PWN, a już niedostępna w księgarniach. Mimo nakładu liczącego sobie 10.000, słownie dziesięć tysięcy egzemplarzy. Czytam i nie mogę się oprzeć radości, że skoro rzecz zniknęła z witraży i półek księgarskich jak sen jaki złoty (czy inna kapitalna praca zbiorowa z zakresu marksistowskiej metodologii humanistyki, wydana przez Wydawnictwo Poznańskie), to pewnie sporo osób zadanie do środka dzieła i zapozna się, choćby z grubsza, z jego treścią. A jeśli beda to ludzie, dla których problemy dobrej propagandy, funkcjonalnej do podstawowych założen ideowo-politycznych naszej rzeczywistości, a zarazem skutecznej, są bliskie, może i ta propaganda — w radio, prasie, telewizji, na ulicy i w domu — będzie kiedyś po prostu... lepsza. Przecież nie tak łatwo zapadła uchwała, akcentująca szczególnie ważne zadania prasy, radia i telewizji w zwiększeniu „intensywności oddziaływania ideowo-wychowawczego i politycznego na najszerze kręgi odbiorców”. To z uchwały VI Zjazdu PZPR. Nie wolno jednak z niej wyliczać wniosków o potrzebie zintensyfikowania serwowania słozanów i dretwej mowy. A mimo pewnej poprawy w tym zakresie — przynajmniej w ostatnich latach — nie wszystko przecież jest dobrze. Gdzie? Wszyscy o tym wiemy.

Kiedy piszę te słowa, z radiowego głośnika leci piosenka Georgesa Guetary „La vie est un carnaval” — „Życie to karnawał”. Dobrze to w piosenke, gorzej w życiu, jeszcze gorzej w propagandzie. Trudności mają to do siebie, że należy je przezwyciężać. Również w dziedzinie propagandy. I dlatego dobrze, że rozwijają się u nas badania naukowe, które mogą tu być pomocą. Bowiem w dziedzinie propagandy uczenie się na błędach jest związane z zbyt kosztownymi stratami. Takie są bowiem straty w dziedzinie społecznej świadomości, tak jak najciężniejszą są odnośne tu sukcesy. Świadomość społeczna jest bowiem ta sfera rzeczywistości, przez którą realizuje się świadoma i celowa działalność człowieka, zmieniającego świat. Bo to nie anonimowe sily rządu światem i budują przyszłość — czynią to ludzie.

LEKTOR

TAJEMNICA ŚMIERCI MUSSOLINIEGO

Kilka tygodni temu na półkach księgarskich pojawiła się książka, która natychmiast stała się bestsellerem. Mam na myśli pracę włoskiego historyka Paolo Monelli z tytułowaną „Mussolini”. Obok przelotnych dotychczas na język polski biografii Hitlera, Goebbelsa, Himmlera, wspomniana wyżej książka stanowi niejako kontynuację tej serii. O atrakcyjności pracy, której nakład nie był bynajmniej mały, najlepiej świadczy fakt, że zniknęła ona z księgarń w przeciągu zaledwie kilku dni.

Owo szczególne zainteresowanie nią ze strony czytelników, w pewnym stopniu należy tłumaczyć tym, iż książka ta jest pierwszą w języku polskim, która tak szeroko traktuje o „słynnym” dyktatorze faszystowskich Włoch. Niebagatelne znaczenie miał również sposób i styl, w jakim została napisana. Autor — historyk i dziennikarz, znał Mussoliniego osobiście, a po raz pierwszy zetknął się z nim jeszcze przed marszem na Rzym. Poza tym Monelli należał do czołowych dziennikarzy reżimu faszystowskiego — nim w ostatnich latach drugiej wojny dołączył do partyzantki antyfaszystowskiej.

Omawiana książka ma być — według jego słów — próba obrachunku z przeszłością, a celem jej jest ukazanie postaci Duce odrzuconej przez historię, pokazanie go takim jakim był w rzeczywistości, tj. bezwzględny, bezlitosny, okrutny. Czy autorowi udało się to osiągnąć, najlepiej ocenią sami czytelnicy. Niewątpliwym walorem pracy jest wykorzystanie w niej przez autora bogatej literatury dotyczącej osoby Mussoliniego. Bibliografia zawiera ok. 140 pozycji. Przez tego przelotną strukturą i zrozumiałym językiem sprawiają, że jej treść jest łatwo odbierana przez każdego czytelnika. Oczywiście, jak wszystkie prace ma ona swoje błędy i cienie. Tych ostatnich jest jednak niewiele, co w sumie czyni z książki pozycję niezwykle wartościową. Nie jest naszym celem dokładne analizowanie treści książki, podkreślanie jej zalet czy wykazywanie błędów. Jest jednak fakt, który musi budzić poważne wątpliwości czytelników, a mianowicie — niejasne okoliczności śmierci Mussoliniego.

W świetle niedawno ujawnionych, a dotąd nieznanych materiałów dotyczących tej sprawy okazuje się, że wersja śmierci Duce, zaprezentowana przez Monelli, pozostaje z nimi w całkowitej sprzeczności. Według tych źródeł Mussolini nie został rozstrzelany przed ogrodzeniem w Villa Belmonte o godzinie 16.10, 28 kwietnia 1945 r., a oczekiwano wcale nie kierował pułkownik „Valerio”. Pojawiają się więc znaki zapytania — gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach? Czy autorowi nie było o tym wiadomo? Pewnym usprawiedliwieniem może być tutaj fakt, że książka wydana była we Włoszech kilka lat temu, zaś materiały obalające dawną wersję, pojawiły się dopiero na przełomie lat 1972/1973. Zatem jak było w rzeczywistości? I czy to właśnie jest rzeczywista wersja?

Na początku 1973 r. w dwóch włoskich periodykach — w miesięczniku „Storia Illustrata” nr 183 oraz w tygodniku „Epoca” nr 1165 pojawiły się artykuły historyka Franco Bandiniego, który przedstawia nową wersję śmierci

Duce i Clary Petacchi, wersję całkowicie różną od uważanej dotychczas za oficjalną. Franco Bandini, autor książki „Le ultime 95 ore di Mussolini” („Ostatnie 95 godzin Mussoliniego”) zrewidował obecnie w świetle nowych faktów, poprzednią — zawartą we wspomnianej pracy — wersję śmierci Duce. W okresie minionych kilkunastu lat usiłował on znaleźć odpowiedź na szereg niejasności, jakie występowały w wersji oficjalnej. Wiele z nich udało mu się rozwikłać, niektóre zaś nadal pozostają okryte mgiełką tajemniczości. Tak więc wyłożył się obraz nowy, całkowicie odmienny od wszystkich dotychczasowych opisów ostatnich chwil Mussoliniego. Oferując się na wywodach autora oraz na materiałach fotograficznych zawartych w innych pracach*) srobowaliśmy zrekonstruować obraz wydarzeń ostatnich godzin życia włoskiego dyktatora i jego haniebnej kości.

Na początku kilka faktów:

● 28 kwietnia 1945 r., godzina 15.59 — generał Boite, dowódca 1 dywizji pancernych wojsk amerykańskich, mającej pierwotnie nacierać na Trento i Bolzano, zmienił nagłe kierunek uderzenia — na Como, przekazując drogą radiową dowództwu IV Korpusu Armijnego, meldunek: „Dzisiejszego popołudnia dostarczą nam „gruba ryba”. Ta „gruba ryba” to Mussolini. Ale general się przeliczył. Nie dostarczył Mussoliniego. Było to bowiem niemożliwe.

● 28 kwietnia 1945 r., około godziny 13 — Kwatera Główna V Armii USA w Sienie, otrzymała z Mediolanu depesze radiową wysłaną przez CLNAI (Komitet Wyzwolenia Narodowego Północnych Włoch), o następującej treści: „Przykro nam, że nie możemy zgodnie z umową dostarczyć Mussoliniego, bowiem zaraz po zakończeniu procesu Trybunału Ludowego, został rozstrzelany w tym samym miejscu, gdzie zamordowano piętnastu męczenników”.

Również ta depesza nie mówiła prawdy. ● 28 kwietnia 1945 r., godzina 16.10 — według drugiej wersji oficjalnej, Mussolini został rozstrzelany z rozkazu pułkownika „Valerio” w miejscowości Giulino di Mezzegra, przed ogrodzeniem, Villa Belmonte. Ale także i ta „oficjalna prawda” była fałszywa. A jak było naprawdę?

W rzeczywistości Mussolini nie został rozstrzelany o godzinie 16.10, lecz około południa i nie pod murem ogrodzenia Villa Belmonte, ale opodal domu właściciela Giacomo de Maria w Bonzani-go, gdzie został ukryty na noc przez kapitana „Neri” (Przybycie i pobyt Mussoliniego w domu De Maria dokładnie opisuje Paolo Monelli). Rozstrzelano go dwóch ludzi, którzy przybyli w tym celu z Mediolanu. Kim byli? Dlaczego relacja pułkownika „Valerio” z przeprowadzonej egzekucji była nieprawdziwa? Dlaczego musiano minąć aż 28 lat, aby prawda o śmierci Mussoliniego wyszła na jaw? Nie na wszystkie z tych pytań odpowiedział są prości i natychmiastowe. Niektóre sprawy nadal pozostają niejasne. Uporządkujemy zatem dotychczas wyjaśnione.

Jest wieczór, 25 kwietnia 1945 r. Przed pałacem prefektury w Mediolanie stoi długi rząd samochodów. Jest ich około trzydziestu. Wśród nich samochod z Benito Mussolinim. Pozostałe są w większości zajęte przez jego ministrów i hi-rarchów oraz niemiecką obsławę. Około godziny 19 kolumna rusza autostradą w kierunku Como. Tutaj Mussolini jest jeszcze nadal niezdecydowany, co ma robić, dokąd się udać. Pavolini obiecuje nadzieję 5 tysięcy „czarnych koszul”, z którymi można by się bronić w górach. Buffarini-Guidi — sugeruje mu podjęcie próby samotnego przekroczenia granicy szwajcarskiej, opodal miejscowości Grandola. Nie podejmując jeszcze ostatecznej decyzji Duce opuszcza późną nocą z 25 na 26 kwietnia Como, pozostawiając tam całą swoją świtę i w towarzystwie zaledwie kilku ludzi z ochrony udaje się w kierunku Menaggio-Grandola. W Menaggio zatrzymuje się na kilka godzin, które spędza nocując w domu tamtejszego burmistrza. Około godziny 10 rusza w kierunku Grandoli, lecz tu przechwytyje go orszak hierarchów i obstwa z SS, której bezskutecznie próbował się pozbyć w nocy. Próba przejścia granicy szwajcarskiej kończy się fiaskiem, gdyż oficer SS z jego niemieckiej eskorty ma wyraźne instrukcje przeciwstawić się temu wszelkimi możliwymi środkami.

Duce nerwowo słucha komunikatów radiowych. Już wie, że jest ścigany. Słyszał rozkaz generała Cadorny skierowany do partyzantów, aby za wszelką cenę schwytali dyktatora. Co robić? W międzyczasie otrzymuje wiadomość o schwytaniu przez straż graniczną, która przeszła pod rozkazy CLN — Buffarini-go, Duce robi się bliady z wściekłości. Wiec to już koniec. Nie pozostaje mu nic innego, jak zdać się na łaskę (lub niełaskę) niemieckiej eskorty.

Próbuje jeszcze przekonać jej dowódcę, że należy natychmiast powrócić do Menaggio i skierować się na drogę okalającą jezioro. Niemiec jednak odmawia, tłumacząc się zmęczeniem żołnierzy. Uważa, że należy zacząć od rana. W ten sposób ostatnia szansa ratunku zostaje bezpowrotnie stracona. Postój w Menaggio przeciąga się. Wszyscy oczekują obliczeni „czarnych koszul” Pavolini-go. Nikt jednak się nie zjawia. Zamiast nich w nocy pojawiają się Niemcy. Trzydziestu samochodów ciężarowych z 170 żołnierzami z oddziału artylerii przeciwlotniczej. Niemiecka eskorta Mussoliniego jest zdania, że bezpieczniej będzie przyłączyć do owej jednostki, Mussolini jak gdyby znowu odzyskał nadzieję.

Rankiem 27 kwietnia wzmożona kolumna samochodów opuszcza Menaggio, udając się w kierunku Alto Lago, aby następnie dotrzeć do Valtellina i Bolzano. Około godziny ósmej osiąga miejscowość Musso. Tu czeka ich nieprzyjemna niespodzianka. Zasadzka — droga zablokowana drewnianymi kłodami. Wszystko staje się jasne — to partyzanci. Rozlegają się strzały, lecz krótkie cichną. Między oficerem delegowanym z kolumny artylerzystów, a partyzantami rozpoczyna się pertraktacje co do swobodnego przejścia całego orszaku.

Partyzanci należą do 52 brygady Im. Garibaldi-go. Jej dowódcą „Pedro” (Pier Bellini delle Stelle — młody adwokat z Florencji) zgadza się na swobodny przejazd, lecz wyłącznie Niemców. Włosi muszą pozostać. Oficer SS odpowiedzialny za ochronę Mussoliniego doradza mu przebrać się w



Fot. Archiwum

mundur niemieckiego żołnierza i ukryć się wśród artylerzystów. Duce nie ma wyboru. Kolumna rusza, wraz z eskortą partyzantów. Około godziny 13 (Monelli podaje, że była to 17) samochody zostają zatrzymane na placu miasteczka Dongo nad wschodnią odnogą jeziora Como.

Mussolini nie ma jednak szczęścia. Mimo niemieckiego helmu i płaszcza zupełnie przypadkowo zostaje rozpoznany przez jednego z partyzantów o pseudonimie „Bill” (Urbano Lazzaro). Wśród niemieckiej ochrony Mussoliniego — konsternacja. Tymczasem samemu dyktatorowi jest już wszystko obojętne. Bez oporu oddaje broń i pozwala się aresztować. Niemcy są bezsilni zaś Duce zostaje odprędzony przez partyzantów do dowództwa 52 brygady mieszczącej się w ratuszu miasteczka. Wiadomość o schwytaniu Mussoliniego rozchodzi się lotem błyskawicy. Do Mediolanu, do kwatery głównej generała Cadorny dociera ona późnym popołudniem. Powstaje dylemat — czy przekazać go aliantom, czy też nie. Problem jest skomplikowany.

Amerycanie i Anglie, wciąż bowiem przypominali dowódcem ruchu oporu tzw. „protokoły rzymskie” z marca 1945 roku, które stały się podstawą wzajemnych stosunków między aliantami, a CLN, czyli Komitetem Wyzwolenia Narodowego. Protokoły te przewidywały między innymi przekazanie „żywego” Mussoliniego w ręce sojuszników zaraz po jego schwytaniu. Wszyscy przywoźcy łączni z generałem Cadorną byli tego świadomi, ale nie bardzo wiedzieli, co w tej sytuacji należy robić.

Tymczasem już tego samego dnia wieczorem alianty dostali wiadomość o aresztowaniu Mussoliniego. Natychmiast wysłali drogą radiową dwa meldunki w tej sprawie do naczelnego dowództwa włoskich oddziałów partyzanckich, przy czym w drugim z nich wyraźnie żądali przekazania im Mussoliniego. W związku z tym zaproponowali, że 28 kwietnia około godziny 17 w miejscowości Bresso wylądowałby w tym celu specjalny samolot amerykański, który przetransportowałby Mussoliniego do kwatery dowództwa wojsk USA we Włoszech. Sprawa była dla Amerykanów iak dalece ważna, że oprócz wspomnianych meldunków, wysłali rozkaz do 26 misji OSS (Office of Strategic Services — Biuro Służb Strategicznych, amerykańska tajna służba wywiadowcza w czasie wojny) — aby przypomnieli wszystkim rejonowym komendantom partyzanckim o obowiązku

skrupulatnego przestrzegania porozumienia. Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało u neoprefekta Como — Virginio Bertinelli, 27 kwietnia wieczorem zjawila się wysoka osobistość amerykańska, która przekazała mu tekst „klauszuli 29” porozumienia o zawieszeniu broni. Jednakże Bertinelli (późniejszy minister) nie ma właściwie żadnej władzy tak w prefekturze, jak i poza nią. Niemniej od tego momentu kwatiera CLN w Como już zdecydowała podporządkować się zaleceniom Amerykanów. Dla aliantów każda chwila jest droga, gdyż mają świadomość, że Włosi mogą chcieć sami wymierzyć sprawiedliwość zniechęconemu dyktatorowi. O pośpiechu sojuszników świadczy chociażby fakt, że już 28 kwietnia, w Como, zjawiają się dwie misje angielskie i cztery amerykańskie z zamiarem odzyskania Mussoliniego, zaś następnego dnia, niezidentyfikowany samolot — prawdopodobnie angielski — zbombardował Tremezzo (miejscowość, w której według Anglików, miał wówczas przebywać Duce) — zabijając 17 osób.

Tymczasem w kwatrze głównej w Mediolanie, wśród dowódców jednostek partyzanckich i członków CLN nadal panuje niezdecydowanie. Atmosfera narady jest napięta. Mnogo się gorączkowo pyta. Jakie podjąć kroki? Zgodzić się na żądania aliantów, czy nie? Decyzja w tej sprawie należy do generała Cadorny — komendanta C.V.L. (Corpo Volontari della Libertá — Korpus Ochotników Wolności, organizacja zrzeszająca wszystkie formacje partyzanckie działające na terenie północnych Włoch). Jednakże Cadorna zwraca się do swoich współtowarzyszy z zapytaniem: — Co panowie w tej sytuacji proponujecie? O tym co postanowili — za tydzień.

*) Paul Guichonnet: „Mussolini et le fascisme”, Paris 1968; Yvonne Kirkpatrick: „Mussolini. Portrait d'un demagogue”, Paris 1967 (przekład z ang.), Antonio Trizzino: „Mussolini ultimo”, Milano 1968; Pier Luigi Belloni delle Stelle i Urbano Lazzaro: „La fine di Mussolini”, „Epoca”, 4, 11, 18, 25 grudnia 1960 r.

ANDRZEJ BLAJER

FELIKS BĄBOL

SPRAWY NIBY DROBNE

Sprawy to niby drobne, ale przecież nieraz irytujące, ale przecież od spraw drobnych bardzo blisko do zasadniczych, pryncypialnych. Taką drobną sprawą jest dla niejednego obserwatora zwyczaj zastępowania fachowców i ludzi odpowiedzialnych za powierzone im zadania przez laików, amatorów i teoretyków. Problem ten ożył niedawno. Oto w jednym z łódzkich dzienników ukazała się bardzo poważnie napisana informacja o tym, że naukowcy starają się odpowiedzieć na pytanie: „dlaczego ADM pracują źle”? Odpowiedzi na to pytanie udzielił naukowiec-teoretyk, chociaż wystarczały by tu chyba opinie odpowiedniego wydziału odpowiedzialnego urzędu miasta czy dzielnicy, czy wreszcie urzędu wojewódzkiego.

Wydawało by się, że tak byłoby najprościej. Ale, nie — naukowcy odkrywają zupełnie nowe rzeczy i na pytanie, dlaczego ADM pracują źle, dają niemal genialne odpowiedzi. Oto ich zdaniem — dla poprawy stylu pracy ADM i jej skuteczności — ADM „powinny być bardziej samodzielne w działaniu, lepiej zaopatrzo-

ne technicznie, dysponować wystarczającą kadrą fachowców...”. Nie jestem naukowcem ani teoretykiem od spraw ADM ale w tym stylu gotów jestem wydać „fachową” ekspertyzę na temat pracy i dróg jej poprawy większości przedsiębiorstw i to różnych gałęzi i branż.

ZMORA HANDLOWYCH WYWIESZEK

Nawet przeciętny konsument, klient naszych sklepów dostrzega łatwo, ile jest jeszcze możliwości udoskonalenia pracy z tamtej strony lady sklepowej. Tak np. mimo wielokrotnych zapewnień o wprowadzeniu racjonalnych zasad zaopatrywania sklepów w towar, zasad nie kolidujących z normalnym i niezbędnym rytmem obsługi kupujących — nadal straszny zamora wywieszek „przyjęcie towaru”, usprawiedliwiających detal — zdaniem jednak tylko handlu — i sankcjonujących zwykłą pogardę dla klienta.

A czas jest drogi. Również zwykłe-

go klienta. Załogi nawet dużych fabryk potrafią produkować towary milionowej wartości na tzw. biegu, czyli jednocześnie z szeroko nierzaz zakrojona modernizacją i pracami inwestycyjnymi, ale w sklepie z powodu „przyjęcia towaru”, nie jesteś w stanie kupić lalki dla dziecka, bułki czy paczki papierosów. Obserwatorzy twierdzą, że placja postojów w pracy handlowców z racji remanentów, nieco się zmniejsza w ostatnim okresie, czas więc może dobrać się skutecznie także do zmyru „przyjęcia towaru”.

KOLEJKI, KOLEJKI...

Jeśli już jesteśmy w sklepie, to jeszcze inna, na pozór drobna sprawa. Bez istotnej przyczyny handel detaliczny wprowadził system kolejek przed każdym stoiskiem osobno. Żeby nie wiem co, nie dostaniemy wszystkiego u jednej sprzedawczyni, bo ta, na której obsłudze czekałeś pół godziny w kolejkę, sprzedaje tylko owoce i czekoladę, za nie w świecie nie sprzeda ci bochenka chleba, chociaż ten chleb często leży na półce w zasięgu jej ręki. Nasz handel dużo mówi o nowoczesnej organizacji pracy, ale zmyru kolejek przed poszczególnymi stoiskami jakoś nie potrafi zlikwidować. Nie wiem dokładnie, jak — dla jej likwidacji — uregulować problem finansowej odpowiedzialności ekspedientek, ale przecież wyjście musi się znaleźć, gdyż jedynie racje klienta, a nie księgowych z handlu liczą się społecznie.

O RACJONALIZACJĘ GADANIA

Piszemy o potrzebie wprowadzenia postępowych form organizacji pracy w sferze produkcji i usług, ale przecież ten postępn niezbędny jest także

w sferze... gadania. Świeżo mam w pamięci taki przykład. Świeżo mam w pamięci taki przykład. Ponad 100 osób uczestniczących w plenarnych obradach pewnej organizacji społecznej straciło łącznie — na wysłuchiwanie referatu wprowadzającego do dyskusji — około 120 godzin, czyli 15 dniówek roboczych. Gdyby ten referat doręczono przed naradą kosztowałoby to zaledwie 2 godziny czasu pracy maszynistki przygotowującej tekst referatu do powielenia.

Na tej naradzie wiele mówilo się o potrzebie spożytkowania rezerw. Ale tylko mówilo. Bo wielu uczestników narady walczyło jak mogło ze skutkami monotonii towarzyszącej odczytaniu referatu. Część z nich wybiegła daleko poza salę obrad, niektórzy wypelniali delegacje służbowe wystawione w związku z przyjazdem na naradę, niektórzy wypelniali kupony małego lotka. Ci — ostatecznie — traciłi część roboczej dniówki, ale przecież tymi krzyżkami na kuponach kreśliłi własną złądną przyszłość. Złuda jednodniowych milionerów — od wypelniania kuponu do ogłoszenia wyników losowania. A za tydzień to samo.

W STRONĘ PROJEKTANTÓW ZIELENI

Klasyczną już chyba sprawą są coroczne konflikty przechodniów z projektantami zieleni miejskiej. Można powiedzieć, że projektanci nieraz z uporem maniaków projektują trawniki i zieleńce, chociaż wiedzą, że wymyślone przez nich esy i floresy, zarysy rabat i trawników o ostrych kątach i różnych „wygibasach” — nie zostaną zaakceptowane przez przechodniów na konkretnej ulicy osiedla czy alejce parkowej. Nie kierują się rozsądkiem i praktycznymi skutkami wydumanych przez siebie projektów, a jedynie oderwaną od życia teorią.

Co roku te esy i floresy, te wszystkie ostre kąty są korygowane przez mieszkańców. Szanujmy ludzi czas i nie żądajmy od ludzi, aby dia uszanowania myśli projektanta obchodzili wymyślone „szpice”, trójkąty i inne łamane. Ale może autorzy projektów wyciągnęli już praktyczne wnioski i zrezygnują z uporu i nieantagonistycznych sprzeczności.

PISMA PEŁNE TAJEMNIC

Ostatnio jesteśmy świadkami niebywałego upowszechniania się intymności w działaniu różnego rodzaju organizacji, przedsiębiorstw i instytucji. Coraz częściej tam, gdzie dotychczas mogliśmy swobodnie korzystać z informacji, widzimy ostrzeżenia: „tylko do użytku wewnętrznego”, „tylko do użytku służbowego”. W jednym z takich materiałów opracowanych z okazji jakiejś narady czy zebrania i opatrzonej wspomnianym ostrzeżeniem ograniczającym tzw. przepływ zawartych w nich „tajemnic” przeczytaliśmy, że „...usuwanie nieczystości stałych z terenu miasta odbywa się w sposób nieprawidłowy”, i że „dla podniesienia kwalifikacji lekarzy zatrudnionych w lecznictwie podstawowym należy stwarzać im możliwości zatrudnienia w szpitalach rejonizowanych”. Po przeczytaniu tych rewelacji dość długo walczyłem z własnym sumieniem i nawet dziś jeszcze nie jestem pewien czy ujawniając te szczegóły, nie ujawniam tajemnic stanu...

Z innej broszury, mimo, że były to informacje wyraźnie „zastrzeżone dla użytku wewnętrznego”, dowiedziałem się, że „w latach 1974—75 pracownicy spółdzielczości pracy w Łodzi podnoszą będą kwalifikacje zawodowe i ogólne”. Po przeczytaniu tych szokujących informacji odetchnąłem — jestem już spokojny o poziom fachowy spółdzielców. Jeszcze rok, jeszcze dwa...

„AURORE” — PARYŻ

Pentagon, nie bacząc na nauki wyniesione z Wietnamu, nie zmienił dotąd, i nie chce zmienić, swego punktu widzenia na charakter wojny w Kambodży. Obecnie „czerwoni” Khmerowie — siły patriotyczne Kambodży, opanowali trzy, spośród pięciu, kluczowe punkty oporu wojsk rządowych i zajmują dziś umocnione pozycje w odległości 7—18 kilometrów od stolicy. Oznacza to, iż główna strefa obronna wojsk rządowych istnieje odtąd tylko na papierku. Opanowanie miasta przez siły patriotyczne przestało być mitem. Oto dialektyczny gotowy do startu śmigłowiec nieustannie „dyżuruje” w ogrodzie domu prezydenta Lon Nola. Dom ów jest równocześnie rezydencją rządu i siedzibą sztabu generalnego wojsk rządowych. Z dachu „rezydencji” rządu, poprzez drzewa migdałowe, widzi Lon Nol szeroki pas pól ryżowych. Jeśli by ktoś zaryzykował je przejść, po paru kilometrach natknąłby się na pozycje „czerwonych” Khmerów. Strefa ta jest gęsto zamieszkała. A Lon Nol? Po wylewie krwi do mózgu w lutym 1971 roku — o powiadają jego bliscy współpracownicy, nie jest w stanie zachować jasnego spojrzenia na sprawy państwa dłużej niż dwie godziny w ciągu dnia. W momentach przebiegów świadomości prowadzi narady z ambasadorami USA lub jego doradcami. Stany Zjednoczone bardzo często stawiają na marginesie. Można by podać długi wykaz tych protegowanych — od Czang Kai-szeka do Lon Nola.

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

Na kwietniowym posiedzeniu, parlament Etiopii nie chciał wysłuchać przemówienia premiera Makonnena, który zamierzał na wspólnej konferencji obu izb wyznać pewne kwestie dotyczące „Białej Księgi”, opublikowanej przez rząd. W sali parlamentu było już wszystko przygotowane do wystąpienia premiera: ustawiono kamery telewizyjne, głośniki, zaproszono wielu miejscowych i zagranicznych korespondentów, którzy szczególnie zapelnili galerię dla publiczności. Gdy członek senatu wypowiedział wystąpienie Makonnena, rozległy się gwałtowne protesty członków izby poselskiej. Żądali oni, żeby premier mówił wyłącznie o tych sprawach, które „mają przynieść korzyści narodowi etiopskiemu”, a więc o suszy i korupcji. Przez trzy godziny na sali panował nieopisany chaos. Postawie uderzył pięściami w stół, wykrzykiwał wzajemne oskarżenia. Wreszcie postanowiono wyłonić 7-osobową komisję: trzech przedstawicieli senatu i czterech przedstawicieli izby poselskiej. Komisji zlecono opracowanie spisu pytań, na które odpowie Prezes Rady Ministrów.

„DER SPIEGEL” — HAMBURG

Najbardziej tajna instytucja w NRF postanowiła wyjść z cienia: po raz pierwszy zachodniemiecka służba wywiadowcza publicznie rekrutuje pracowników, zwracając się do biur pośrednictwa pracy. Osmiostronicowa broszura wymienia 40 najbardziej poszukiwanych zawodów, a między innymi: farmaceutów, etnologów, prawników, socjologów, urzędników biurowych, rzemieślników, wykwalifikowanych robotników i in. Kampania rekrutacyjna nie do pomysłowości w czasach gen. Reinhardta Gehlena, twórcy służb wywiadowczych w Zachodnich Niemczech organizowanych naziemnie po wojnie. Gehlen stosował metody rekrutacji; najbardziej tajne. Kompletował swój personel przede wszystkim spośród starych wywiadowców III Rzeszy, a później spośród różnego autoramentu uciekinierów ze Wschodu. Jego sukcesor, Gerhard Wessel, próbuje już od kilku lat zaradzić deficytowi współpracowników, publikując w gazetach anonsy w stylu: „Firma międzynarodowa operująca we wszystkich krajach poszukuje kadry pracowniczej, władającej wieloma językami i rozmówianej w podróży”.

„NIHON KEIZAI” — TOKIO

W dążeniu do uzupełnienia braków kadrowych, armia japońska angażuje coraz więcej kobiet. Atrakcyjne wynagrodzenie przyciąga mnóstwo kandydatek ubiegających się o przyjęcie do służby wojskowej. Poziom intelektualny i kulturalny kobiet-żołnierzy jest bardzo wysoki i do wódzów wojskowe wyraża się o nich z najwyższym uznaniem. Istnieje tylko jedno zastrzeżenie: koszt utrzymania jednego rekruta w krótkiej spódnicy jest trzykrotnie wyższy do kosztów utrzymania rekruta płci brzydkiej, sięgając około 6 milionów jenów rocznie. Główną przyczyną tych wyjątkowo wysokich kosztów jest konieczność budowania specjalnych, komfortowych budynków koszarowych, wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia, czego nie można powiedzieć o koszarach dla mężczyzn.

Doniesienia prasowe z dnia 24 kwietnia br.: „Na mocy porozumienia tajlandzko-amerykańskiego o redukcji wojsk USA w Tajlandzku, dnia 22 kwietnia br. pierwsze jednostki amerykańskie opuściły ten kraj”.

W miarę eskalacji działań wojennych w Wietnamie, zwiększyła się systematycznie liczba wojsk amerykańskich w Tajlandzku. W 1962 roku oddziały amerykańskie liczyły tam 10.000 żołnierzy, w 1969 roku — w Tajlandzku było już około 70.000 amerykańskich żołnierzy, ponadto baza lotnicza super-fortec B-52, oraz oddziały służb specjalnych. Teraz Amerykanie opuszczają Tajlandzko.

A wszystko zaczęło się 6 października ub. roku od aresztowania 13 studentów stołecznego uniwersytetu Thammasat. Odtąd wydarzenia potoczyły się lawinowo, bez precedensu we współczesnej historii Tajlandzku. Cena: trzydziestu zabitych w ciągu miesiąca. Marszałkowie: Thanam Kittakaczon i Prapat Czarusiatien, zniechęceni „bracia syjamscy” wojskowego reżimu, uciekli w popłochu. Amerykanie nie mogą już dziś pomóc swoim dwóm najbardziej wiernym partnerom w tej części świata.

Wydarzenia z października 1973 roku w Tajlandzku i ich skutki zadziaływały nawet tych wszystkich, którzy brali w nich bezpośredni udział. Reżim wojskowy został zniesiony, a jego „twardzi” przywódcy ponieśli sromotną klęskę. Ogromna w tym zasługa młodzieży Tajlandzku, zwłaszcza studentów, którzy organizowali liczne demonstracje polityczne nie tylko w stolicy kraju — Bangkoku, lecz także niemal we wszystkich prowincjach kraju.

W ostatnich latach krwawy reżim wojskowy wzbudzał coraz większą nienawiść mas ludowych. Tepta i szczególnie pycha rządzącej klitki były w niemym stopniu przyczyną jej upadku.

Nowy rząd, mimo jego dobrych chęci i szerokiego poparcia ze strony mas ludowych, wojska i policji, uważa siebie za tymczasowy.

Wydarzenia październikowe utwierdziły ludność Tajlandzku w przekonaniu, że zwartość mas jest siłą, zdolną do przeciwdziałania się ciemności. Społeczeństwo zdecydowanie żądało praw obywatelskich i swobód demokratycznych. Ujawniła się skandalicznych nadużyć, których dopuszczali się przywódcy obalonego reżimu oraz ich otoczenie, zmusiło armię do milczenia. Ruch studencki i młodzieżowy, pomijając rozdziewki w kierownictwie, był realną siłą polityczną i posłał w wielkie wpływy. Młodzi naukowcy z uniwersytetu Thammasat, którzy poparli studencki ruch patriotyczny i opracowali plan działań politycznych w październiku 1973 roku, są nosicielami konstruktwnych idei i zaczynają działać. Jak powiedział jeden z jej przedstawicieli: „Tajland odycha teraz czystym i świeżym powietrzem wolności, jest ono nasycone optymizmem, chociaż jest to jeszcze ostrożny optymizm”.

OSTATNIA DROGA

„BRACI SYJAMSKICH”

Od 1932 roku konstytucje, które narzucano narodowi tajlandzkiemu, zmieniły się co parę lat. Tym razem naród zażądał przyjęcia swojej własnej konstytucji i za cenę wielu ofiar w ludziach wymógł obietnicę wcielania jej w życie. Do „Komitetu osiemnastu”, któremu nowy rząd powierzył opracowanie projektu konstytucji, weszło, między innymi, dwóch dziennikarzy i trzech pracowników naukowych z uniwersytetu w Bangkoku. Pozostali członkowie Komitetu — to prawnicy, zatrudnieni w aparacie administracyjnym. Opracowania nowej konstytucji idą zdecydowanie w kierunku proklamowania podstawowych swobód obywatelskich, bez jakiegokolwiek warunków.

Czy możliwy jest powrót do władzy wojskowych, jak to miało miejsce w latach 1947—1948? Problem ten bardzo niepokoi społeczeństwo tajlandzkie. Odpowiedzialność za przestępstwa i ochronę pryncypiów demokracji złożono na barki rządu Tajlandzkiego i całego narodu. Zgodnie z istniejącą tradycją, król Pumphon Adunadej jest najwyższym dowódcą sił zbrojnych. Premier Sanya Thammasak kieruje aparatem państwowym i siłami zbrojnymi.

W 1947 roku wojsko obaliło rząd cywilny. Głównym powodem tego zamachu stanu były ostre powojenne trudności ekonomiczne, których cywilny rząd nie mógł rozwiązać. W 1973 roku większość narodu tajlandzkiego wystąpiła przeciwko wojskowemu rządowi, ponieważ nie mógł on okiełznać inflacji, oraz zapobiec brakowi produktów żywnościowych, a przede wszystkim ryżu. Obecny rząd tymczasowy pragnie poważnie podołać do problemów ekonomicznych i zaspokoić żądania społeczeństwa.

Reżim marszałków pozostawił po sobie chaos organizacyjny, oraz sprze-

dajną, skorumpowaną i nieefektywną administrację. Rząd dobierał sobie faurytów spośród wojskowych i pracowników państwowych, którzy mieli liczne przywileje, otrzymując intratne stanowiska dyrektorów kompanii przemysłowych i funkcje członków zgromadzenia narodowego. Mimo, iż ogólne tempo wzrostu globalnego produktu narodowego w kraju było stosunkowo wysokie, rozpiętość pomiędzy poziomem życia biedoty, a stopą życiową bogaczy nieustannie rosła. Choć wojskowy liderzy składali mnóstwo szumnych obietnic, wiadomo było, że nie mają zamiaru walczyć z nędzą, w jakiej żyje przytłaczająca większość ludności. Nowy rząd znajduje się w korzystnej sytuacji, jeśli tylko zechce zabrać się do szerokiej rewizji polityki wojskowych liderów.

W pierwszej połowie 1973 roku odbyło się w Tajlandzku około 40 strajków, w drugiej połowie roku liczba ich wzrosła. Obecnie strajki wybuchają nie tylko w fabrykach, ale nawet w bankach handlowych! Niedawno 1000 pracowników banku Aludhai, jednego z największych prywatnych banków w Tajlandzku, demonstrowało przed głównym gmachem instytucji. Żądali oni podwyżki płac, kolportowali ulotki i wygłaszali przemówienia, wzywając do rozszerzenia ubezpieczeń społecznych by móc utrzymać się na powierzchni w gwałtownym wirze wzrostu kosztów utrzymania. Kierownictwo banku zgodziło się na zaspokojenie żądań strajkujących.

Prezes rady ministrów Tajlandzku, Thammasak, i jego rząd rozumieją niewątpliwie, iż odziedziczyli po poprzednim rządzie trudne do rozwiązania problemy inflacji. Ale mało kto zastanawia się nad problemem ogólnego niezadowolenia robotników. Kiedy ujawniło się ono z całą siłą, Pra-

czub Suntarangkul, generalny dyrektor departamentu policji, oskarżył „o wszystko” komunistów. Pierwszym sygnałem do obarczenia winą komunistów za chaos w kraju był strajk robotników w parowozowni zarządu państwowych kolei żelaznych w Baŋgkoku, żądających podwyżki płac i polepszenia warunków socjalnych. Był to też pierwszy strajk w instytucji państwowej Tajlandzku i sparaliżował znaczną część ruchu kolejowego w kraju. Robotnicy zwyciężyli, ale rada dyrektorów kolei usunęła z pracy głównego zarządzającego sprawami kolejnictwa, za to, że „nie umiał zarządzić kryzysowi”.

Zwycięstwo kolejarzy zainspirowało innych pracowników państwowych. Robotnicy tajlandzkiej służby telefonicznej oświadczyli, że ogłoszą strajk, jeśli ich żądania nie zostaną uwzględnione. Kierownictwo poszło na ustępstwa. Później zawiązało wśród pracowników wodociągów stolicy. Wysłano tam natychmiast odpowiedzialnych pracowników municypalnych, żeby zbadali na miejscu możliwości podwyższenia zarobków i polepszenia warunków pracy. Ale strajki wybuchały nie tylko w przedsiębiorstwach państwowych. Zastrajkowali pracownicy szpitala wywołując panikę perspektywą unieruchomienia go na dłuższy okres czasu. Tylko interwencja prezydenta Tajlandzkiego Czerwonego Krzyża, królowej Sirikit, czasowo zażegnała kryzys. Następnie zagroził strajkiem pracownicy telewizji, żądając usunięcia dyrektora, który musiał ustąpić ze stanowiska. W ruchu strajkowym wzięli nawet pracownicy stołecznego ZOO, grożąc, że jeśli nie dostaną podwyżki płac, wypuszczą na ulice stolicy... lwy i tygrysy.

Co przede wszystkim spowodowało te wystąpienia? Usankcjonowane przez rząd podwyższenie cen na produkty naftowe, w ślad za czym podrożały liczne towary, łącznie z produktami pierwszej potrzeby. Ale można także powiedzieć, iż upadek reżimu Kittakaczona i Czarusiatiena, który doprowadził kraj do ruiny gospodarczej, nadał impuls burzliwej aktywności mas, które na przestrzeni dziesiątków lat uginęły się pod ciężkim brzemieniem ucisku politycznego.

W 1974 roku w Bangkoku i trzech sąsiadujących z nim prowincjach, gdzie koncentrują się zakłady przemysłowe, minimalną płacę podwyższono z 12 bahtów (60 centów amerykańskich) do 16 bahtów (80 centów amerykańskich) dziennie. Czyż może to powstrzymać masy od wystąpienia? Przyczyna walki strajkowej, która wybuchła w ślad za obaleniem reżimu marszałków, są oczywiste.

* Syjam — 5412 tys. km², 35 mln ludności.

JERZY CZECH

WIĘC PAPIEROS SZKODZI CZY NIE?...

Raz po raz wybuchają w środowiskach naukowych gorące spory i dyskusje o wpływie palenia papierosów na organizm ludzki. Do burzliwej wymiany poglądów na ten temat doszło ostatnio w Anglii. Zamieszczamy poniżej wypowiedź wybitnego uczonego brytyjskiego, prof. Philippa Bircha, opublikowaną w znanym londyńskim tygodniku „New Scientist”.

W referacie Królewskiej Akademii Medycznej podkreśla się: „Wiele krajów powołało autorytatywne komisje w celu zbadania przyczyn tej współczesnej plagi — raka płuc. Wszystkie one doszły do wniosku, że rak płuc, niemal wyłącznie, powoduje palenie papierosów”. Z drugiej strony nie żyjący już dziś sir Ronald Fisher, uważany za wybitnego specjalistę w zakresie statystyki, wyrażał obawy, iż wniosek ten w planie retrospektywnym będzie wyglądał na „katastroficzną i wołającą o pomstę pomyłkę”. Po czyjej stronie jest prawda?

W XIX wieku lekarze nieraz dochodzili do wniosku, że rak płuc nie sposób poddać diagnostyce. W 1935 roku doktorzy R. Passy i G. Holmes — opierając się na danych statystycznych z wyników sekcji zwłok w 16 szpitalach, poddali w wątpliwość twierdzenie o wzroście zachorowalności na rak płuc. Od tego czasu wielu anatomopatologów i klinicystów niejednokrotnie podkreślało trudność diagnostyki raka płuc oraz wyrażało wątpliwości odnośnie twierdzeń o wzroście zachorowalności na tę chorobę.

Analiza współczesnych wyników sekcji świadczy o poważnych błędach w klinicznej diagnostyce raka płuc. W Nowym Jorku dr Rosenblatt i jego koledzy, na podstawie wyników sekcji przeprowadzonych w ich szpitalu ustalili, iż w okresie od 1960 do 1971

roku liczba klinicznych diagnoz raka płuc dwukrotnie przewyższała faktyczną liczbę zachorowań na to schorzenie. Był to jedyny rodzaj raka rozpoznawany z przesadą w porównaniu z prawdziwą liczbą zachorowań. Wyniki sekcji świadczą o niedorzeczności twierdzeń o gigantycznym wzroście śmiertelności wskutek raka płuc.

Przyjętym pojęciem społeczeństwa i władz o roli palenia papierosów przeczy fakt, iż ogromnemu wzrostowi liczby palaczy wśród przedstawicieli obojga płci, obserwowanemu w naszym wieku towarzyszą tylko nieznaczne zmiany w zapadalności na rak płuc.

Nadal powinniśmy się liczyć z niewątpliwym faktem, że wśród palaczy istnieje większa zachorowalność na rak płuc, jak również na różne inne bardzo ciężkie choroby, niż wśród niepalących. Należy też podkreślić mało znaną negatywną zależność między paleniem i różnymi chorobami, włącznie z chorobą Parkinsona, oraz pierwotkowymi chorobami rakowymi centralnego systemu nerwowego. Jedyne prawdopodobne i logiczne wyjaśnienie większości tych pozytywnych i negatywnych wzajemnych oddziaływań tkwi najprawdopodobniej w hipotezie Fishera: jeden lub kilka genów, określających predyspozycję do palenia tytoniu, są tymi samymi genami, które określają predyspozycję do różnych chorób. A zatem powinniśmy rozpatrywać pociąg do palenia tytoniu jako chorobę.

Hipotezę tę najłatwiej sprawdzić drogą badania bliźniaków, jednakże tutaj trudność polega na małej ilości obiektów obserwacji. Niemniej, sądząc po niektórych danych, w tej liczbie zebranych również przez szwedzkiego profesora Friberga i jego kole-

gów, można wnioskować, iż parę jednojajowych bliźniaków, w większości wypadków, są bardzo „zgodne” zarówno w stosunku do „narzędzi” palenia (fajki, cygara, papierosy), jak i ilości wypalanego tytoniu.

A co można powiedzieć o danych dotyczących wdychania dymu z papierosów? Wyniki otrzymane w Anglii, Francji i Stanach Zjednoczonych, w pewnym stopniu, orzeczą jedno drugim, jednakże najbardziej przekonującą analizę statystyczną przeprowadził Fisher na podstawie wyników Austina Hilla i Richarda Dolla. Szczegółowo rejestrując ilość wypalanych papierosów, Fisher udowodnił, iż zachorowalność na rak płuc wśród zaciągających się dymem papierosowym jest, średnio około 10 proc. niższa od zachorowalności wśród nie zaciągających się. Jak oświadczył Fisher: „nawet jednakowa zachorowalność wśród tych dwóch grup palaczy byłaby miąższącym ciosem dla teorii, zgodnie z którą rak płuc wywołuje palenie”.

„Ale co sądzić o danych Dolla i Hilla, z których wynika, że zachorowalność na rak płuc wśród angielskich lekarzy, którzy rzucili palenie, szybko spada, w porównaniu z zachorowalnością wśród tych, którzy palą nadal? Przede wszystkim należy powiedzieć, że dobrana grupa badanych w tym wypadku „nie jest reprezentatywna”, jak wymaga tego statystyka, a została wyłoniona, jeśli można tak powiedzieć „tendencyjnie”. Prof. Doll i dr Pike ustalili, iż wśród angielskich lekarzy, którzy odpowiedzieli na pytania ankietowe, nastąpił gwałtowny spadek śmiertelności spowodowany rakiem płuc w grupie lat od 35 do 64, w okresie od 1958 do 1961 r. i od 1962 do 1965 roku. W referacie leka-

rzy Królewskiej Akademii Medycznej całkiem słusznie zwraca się szczególną uwagę na ten spadek śmiertelności. Ale niestety, nie przytacza się w nim danych dla grupy wieku od 65 do 84 lat. Uzupełniając ów brak stwierdziliśmy, iż w tym samym okresie czasu śmiertelność wskutek raka płuc w tej grupie wieku zwiększyła się, mniej więcej, o 30 proc. Tę właśnie grupę wiekową charakteryzuje najwyższy procent osób, które rzuciły palenie, najniższa „konsumpcja” papierosów i najwyższa zachorowalność na rak płuc. Analogiczne tendencje można również prześledzić wśród całej męskiej części mieszkańców Anglii. Poczynając od 1950 roku śmiertelność wskutek raka płuc wśród mężczyzn w wieku do 60 lat zmniejsza się, niezależnie od umiarkowanego, czy też nadmiernego palenia papierosów. Po 65 roku życia, niezależnie od tendencji do palenia mniejszej ilości papierosów właściwej ludziami starszymi, obserwuje się znaczny wzrost śmiertelności spowodowanej rakiem płuc.

Wnikliwe badania wyników sekcji zwłok ludzi w różnym wieku umacniają przypuszczenia, że te paradoksalne tendencje są jednak wynikiem błędnej diagnozy. Współczesne dane świadczą, iż naukowo stwierdzone szkodliwe nast pstwa palenia papierosów ograniczają się do chronicznego bronchitu i kaszlu. Jednakże obecnie protesty przeciwko paleniu papierosów zaczęły się kojarzyć z enotą. Twierdzić bowiem, iż kampania przeciwko paleniu papierosów opiera się głównie na dosyć elementarnych błędach logiki naukowej — to znaczy zaryzykować ściąganie na siebie nieprzyjemnych zarzutów o zarozumiałość bez poczucia odpowiedzialności. Bo czyż mogą się mylić tak liczne „autorytatywne komisje i komisje”? Ale czyż nie uważano kiedyś, że ziemia jest płaska?...

W. Stk.

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

Televizja nasza ma, jak wiadomo, wiele szczytowych osiągnięć, które są twórczym rozwinięciem pomysłów i programów zagranicznych. Dla przykładu — „Turniej miast”, „Wszystko za wszystko”... Ostatnio realizatorzy poszli jeszcze dalej. Rozwinęli twórczo program „Wszystko za wszystko”, który był kalką podobnego programu telewizji zachodniej. Teraz to się nazywa „Sam na sam”. Wystąpił w tym programie jako chłopiec do bicia Władysław Hasior, wybitny artysta i człowiek o żelaznych nerwach.

Zabieg stosowany na Hasiorze był dość okrutny i właściwie nie pozostawiał artysty żadnych szans. Po prostu umówiono się, że postawi się Hasiorowi publicznie kilkadziesiąt najbardziej kreatywnych pytań. Obowiązkiem artysty było — po pierwsze: nie zdenerwować się, po drugie — odpowiadać mądrze.

Wiadomo, że na głupie pytania trudno jest mądrze odpowiadać, ale o dziwo, Hasior wygrał.

Pyta na przykład Janusz Rolicki: — „czy to prawda, że jest pan magiem?” Hasior rzecze: — „nie mogę być magiem, bo mam matkę”. Powie ktoś, że to bez sensu. Oczywiście, ale pytanie też było całkowicie pozbawione sensu, więc odpowiedź Hasiora mieści się w konwencji idiotycznej zabawy.

Niech się nikt nie zżyma, że używam określenia „idiotyzm”. Upoważnił mnie do tego animator audycji, wybitny znawca sztuk

HASIOR WYGRAŁ

plastycznych, Janusz Rolicki, który happeningowe eksperymenty plastyka Beresia z Krakowa określił mianem idiotyzmu wobec wielomilionowej widowni. Mnie osobiście drażnią szokujące zabawy Beresia z malowaniem chleba farbą, ale byłbym bardziej ostrożny w szafowaniu wyzwickami rodem z magla. Skoro jednak Rolicki uważa, że wolno...

Pytania kierowane do Hasiora były zresztą wszystkie w konwencji karate. Oto idzie sekwencja filmowa — słynne płożące plaki, wstrząsająca metafora — element Hasiorowego pomnika pamięci rozstrzelanym. Naprawdę nie trzeba tu słów, sam obraz wstrząsa, nie trzeba się znać na sztuce — wystarczy zobaczyć ten wieloznaczny, metaforyczny obraz... Ale nie! Pan Andrzej Oseka pyta: „co to znaczy, proszę pana, że łączy pan ogień z tymi plakami, co to ma wyrażać?”

Hasior lekko zbaraniał, bo pytanie zadał inteligentny krytyk i historyk sztuki, a ciężar gatunkowy pytania sprawiał wrażenie, że to mój przekupka z bazaru Różyckiego.

Najpiękniej było jednak, gdy krytyk literacki, p. Anna Michńska, spróbowała powiedzieć rzecz oczywista, że to przecież metafora, że tragizm tego obrazu przemawia bez komentarza... Zaraz jej przerwał Janusz Rolicki mówiąc autorytatywnie (jako, że wie lepiej, co jest metaforą), że taka argumentacja jest wyduka-

nia, na co Rolicki ma dowód w postaci telefonu telewizyjnego, który też ma Hasiorowi za złe...

I tu dochodzi do sedna sprawy. Panowie realizatorzy posadzili na wizji kilkanaście telefonistek, pytania zadawane przez nich były pytaniami telewizyjnymi. W ten prosty sposób spreprowano tzw. opinie publiczną. Nie w swoim imieniu, ale w imieniu nas wszystkich zadawano beznadziejne, prymitywne pytania, sugerując, że jesteśmy durni, pozbawieni krzyżu wrażliwości, wyobraźni i tolerancji.

Przykład charakterystyczny. Oto Hasior demonstruje nam eksponat — metaforę. Maszyna do szycia i przyszpilona przez nią laleczka, jak gdyby totem dziecka. „To brutalne — wola Rolicki — mnie to oburza, tak postępować nie wolno” — i podciera się zdaniem telewizyjnym z Warszawy, który też protestuje przeciwko Hasiorowi... Przeciwko artyście? Dlaczego? Przecież on tylko określił pewną sytuację rzeczywistości — dzieci maltretowane przez wyrode matki, dzieci porzucone przez rodziców w domach dziecka, dzieci w tygodniowych żłobkach... Jaki sens ma protest przeciwko dziełu sztuki, jeśli istnieje społeczna zgoda czy zrozumienie konieczności społecznych faktów, które to dzieło sztuki obrazuje?

Prywatnie może sobie Janusz Rolicki rzucić na ludzi wyzwicka, prywatnie może sobie Andrzej Oseka zadawać Hasiorowi pyta-

nia o farbę olejną, robiąc z byle czego problem... Może się to nawet zdać publicznie, jeśli Hasiorowi taka reklama w ogóle jest potrzebna i jeśli Hasior na taką zabawę się godzi. Pozostanie to w każdym razie prywatną sprawą Rolickiego, Oseki i Hasiora.

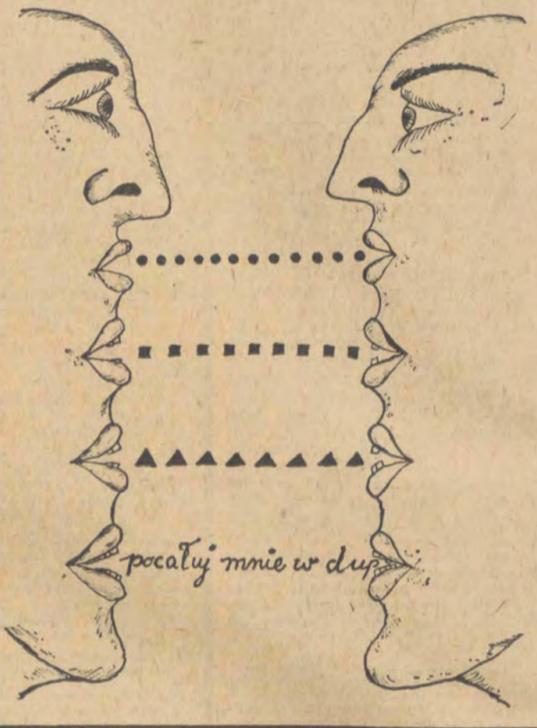
Pragnąłbym jednak bardzo, aby do tego nie mieszać opinii publicznej, nie kręcić się za plecami milionów widzów, bo jesteśmy na tyle cwane wróble, aby wiedzieć, co można zrobić przy pomocy selekcji pytań zgłaszanych telefonicznie i listownie.

Rolickiego zawiódł nos reportera, kiedy zadał pytanie zgłoszone z Nowego Sącza — pytanie będące prymitywną insynuacją, że Hasior robi interes za państwowe pieniądze. Rolickiego zawiódł nos reportera, wie bowiem, że Hasior z tamtych stron pochodzi i wie również, co to jest zawiść współziomków wobec kogoś, kto wyrósł ponad przeciętność...

W sumie — twórcze rozwinięcie koncepcji „Wszystko za wszystko” pozostawiało uczucie niesmaku. I tylko pozostałe satysfakcja, że Władysław Hasior wygrał raz jeszcze — w konkurencji, która nie jest jego specjalnością. Kiedy musiał odpowiadać mądrze na głupie pytania.

ANDRZEJ GRUN FRYZURY

Dyskusja



WIDOK

GLOBTROTTER



człowiecza planeto? Twój konterfekt malują ludzie, różni ludzie, w różnych miejscach, na odmienne sposoby. Bo portret twój to nie łądy, oceany, góry, jeziora, kaniony, rzeki, dżungle, stepy i pustynie. To tylko w tle bliższe lub dalsze plany. Twoja prawdziwa twarz, Ziemo, to ludzie, ich działania, ich postawy, ambicje, ich idee, determinacje i apatie. Właśnie z tych jednostkowych i grupowych działań układa się jak z kamińców mozaiki twoje rzeczywiste oblicze.

— Synu, wierz mi — mówił do mnie siwy, spalony słońcem misjonarz, gdy zjadaliśmy ze smakiem bigos w dworcowym bufecie. — Nie dałbym swojej siwej głowy za to, czy w tej chwili w jakimś zakamarku dżungli nie skwierczy na rozżarzonych kamieniach jakaś „długa świnią”. Tereny Nowej Gwinei, Arnhemlandu to jeszcze nie pewnego... Każdy, kto ich zna, to ci, synu, to samo powie. A ja ich znam.

lecia, powiedział urugwajskiej gazecie: „Jesteśmy naprawdę szczęśliwi z powrotu do nas przyjaciół mego syna. Co więcej, cieszymy się, iż było ich 45, ponieważ dzięki temu wróciło przynajmniej 16. Jako lekarz pojąłem od razu, iż nikt nie mógł przeżyć w takim miejscu i w takich warunkach, nie uciekając się do odważnych decyzji. Teraz, gdy uzyskałem potwierdzenie tego, co się stało, powtarzam: chwala Bogu, że było tam 45 osób, ponieważ dzięki temu 16 domów odzyskało swoje dzieci.”

LEWYM OKIEM

LUDZIE SĄ DOBRZY

Siedzę na peronie dworca, który nabrzmiał podróżnymi jak czyrak ropa; siedzę i myślę sobie, że o świecie tym, do którym włożę się od lat, mówi się różnie. Mówi się na przykład, że jest dobry albo że jest zły. Patrzę na długie nogi spacerującej po peronie dziewczyny i myślę, że jeżeli idzie o dziewczyny — to świat ten jest nawet bardzo dobry. Ale jeśli o zdychające z głodu dzieci w dławionej suszą Kenii — to świat ten jest zły. Jeśli idzie o freski karolińskie i przedromantyczne, albo o sax alt Charlie Parkera, albo o szklane whisky (bez wody i whisky piję zawsze bez wody i przynajmniej muszę, iż nawyk ten uratował mi swego czasu życie, kiedy to z kilkoma towarzyszami daliśmy się zaskoczyć alaskańskiej zimie i trwałymi w nędznej, traperskiej chatce przez wiele miesięcy, zasypiani śniegiem i coraz mocniej skuwani mrozem — moi towarzysze, którzy pił whisky tylko z wodą, zginęli wszyscy — to woda właśnie, zamrażając w nich, rozszalała im wewnątrz, jako że woda zmieniając się w lód wydlatnie przybiera na objętość — i w ciszy nocnej, między jednym wileczym wyciem a drugim słyszałem, jak w moich towarzyszach rwa się i drą na strzępy wąpła, żyły i tkanki; mówiłem potem wielu Anglikom, żeby raczej unikał whisky and water, mieszkanki zabójczej i niesmacznej, ale ze znikomym skutkiem — oszczędni tacy czy co?) to świat jest na pewno dobry. Ale znowu jeśli idzie o tonącą Wenecję i o pozabijane dzieci wietnamskie, to świat jest skurwysyńsko zły.

Pewien wódz z wyspy Aoba bardzo lubił piersi młodych kobiet. Inny, z Nowej Brytanii jadł tylko dzieci wyjęte z łona matki. Plemię zamieszkujące deltę rzeki Fly (Nowa Gwinea) od święta jadło tłuste, młode niewiasty. Inny jeszcze wódz bardzo lubił pożywiać się salatką z oczu, jąder, spermy i sproszkowanych kości, z dodatkami licznych przypraw korzenno-warzywnych. Plemiona mieszkające na Półwyspie Gazelle upodobały sobie szczególnie mózg „długiej świni” gotowany w czerepie jak w kokilec...

I tak nam rozmowa zeszała na tematy jada i napitku.

— Oni synu, uważają, że zanim „długa świnią” trafi do rondla, to musi skruszeć. Mają swoje sposoby, aby podnieść wartość smakową „długiej świni”. Kiedyś rzecz była w odpowiednim sposobie zabiła ofiary. Bito ją, miażdżono kości, podpiekano, kazano lykac małe, gorące kamyczki. Im głośniejsz „długa świnią” krzyczała, tym ponoc była smaczniejsza. Plemiona z wybrzeża używały jeńców jako rolek przy wodowaniu łodzi i dopiero po takim zmacerowaniu zjadali. A nad rzeką Purari bojownicy zwyciężonemu najpierw odgryzł nos, a potem dopiero go zjadał. To się nazywało pokiwako.

Noc. Stukot kół. Przez okno księżyc na chwilę wszedł do wagonu. Przysiadł na lawce jak zmęczony podróżny. Patrzę na niego wyobraziłem sobie nagle rzecz absurdalną (czyż można wyobrazić sobie rzeczy absurdalne?). Oto statek kosmiczny z załogą ląduje na Marsie, Jowiszu czy innym Saturnie. I coś tam się nagle psuje tak bardzo, że nie ma mowy o powrocie, że ulegają zniszczeniu zapasy żywności. Dyspozytornie ziemskie wiedzą o katastrofie. ale akcja ratunkowa musi trochę potrwać. To trochę jest dostatecznie długim działaniem czasu, aby kosmonauci stanęli wobec ostatecznej konieczności. In extremis. W obliczu śmierci. In articulo mortis. I oto w rakiecie międzyplanetarnej, w sztafazu technicznej supernowoczesności kosmonauta zjada kosmonaute. Jak by to wyglądało technicznie — nie mam pojęcia, ale pewien jestem pomyslowości ludzkiej.

W znanej a historycznie połączony udokumentowanej anegdoty o nadwornym blaźnie Stańczyku — stanął on sobie na drodze z ową głową i wielce zboloną miną, i nie było przechodnia, który by się nie zatrzymał, nie użalił nad cierpiącym i nie udzielił mu jakiejś żywej rady. Wym sposobem, tą „sondą socjologiczną”, „ankietą błyskawiczną” — udowodnił Stańczyk, że najczęstszym w Polsce zawodem jest zawód lekarza.

— Swędzą pania podszewy? — słyszę w poclagu rozmowę dwóch siedzących obok siebie, przygodnych towarzyszek podróży. — Pani, u nas na bloku była taka kobieta, co ona lekarza obeszła, nie nie mogła znaleźć. Dopiero jak umarła to wie pani co stwierdził? Pani, kamień w krzyżu taki jak jajko, toto uciskało na nerwy i stąd cała rzecz. Wszystko z tych nerw, takie czasy mamy, proszę pani...

Mówi się też, że świat nasz jest piękny lub brzydki; że jest duży i że skurczył się do rozmiarów tenisowej piłki... i mówi się na ten temat mnóstwo innych jeszcze rzeczy...

Nikogo to jednak nie powinno dziwić. Za tą żonglerką przeciwnymi sobie przymiotnikami kryje się dominująca potrzeba definicji tego świata, na którym żyjemy. Szukanie odpowiedzi na pytanie: jakież ty jesteś naprawdę, ty, Ziemo,

Kanibalizm ma tradycję liczącą sobie przynajmniej pół miliona lat. Naukowcy wyodrębnili różne rodzaje i źródła ludożerstwa. Był więc kanibalizm gastronomiczny, wypływający z upodobań smakowych do tego właśnie nie innego gatunku mięsa. Był następnie kanibalizm sądowo-karny, kiedy to na stół podawano osobnika, który osmielił się naruszyć jakieś plemienne tabu lub złamać jakiś obyczaj — na przykład uprawiał kazirodztwo lub cudzołóstwo. Był kanibalizm mający przesłanki natury mistycznej oraz proceder magiczno-kosmetyczny, którego praktyki miały chronić od wszelkiego złego i dodawać urody, siły, odwagi, męskości i — jak byśmy to dziś powiedzieli — zdrowia, szczęścia, pomyślności. I był na koniec kanibalizm wynikający ze zwykłej konieczności zaspokojenia głodu wobec braku innego pożywienia.

Tu mój misjonarz zamyslił się głęboko przez chwilę, a potem rzekł z figlarnym błyskiem w oku:

— Jak teraz byłem w mojej wiosce u braci, to była tam zabawa w klubo-kawiarni i też było pokiwoko. Sasiad sąsiadowi pod koniec zabawy odgryzł nos. Ale nie polnął. Nie zdążył, bo mu brat poszkodowanego wsadził nóż w plecy.

Jak to właściwie było? Szok, śnieg, mróz, groźne, wrogie i obce góry, wrak rozbitego samolotu, trupy przyjaciół, pustka, daremne próby uruchomienia radia, rany, osłabienie, ból, strach; z transzystora władomości o zaniechaniu poszukiwań. Gdzieś tam w Andach, w srebrnym rozłupanym jak skorpionu rozłupanym jak skorpionu jajka kadłubie nowoczesnej maszyny — ludzie. Bez szansy na ocalenie. Bez szansy? In extremis. In articulo mortis. W ostatecznej konieczności. W obliczu śmierci. A więc wszystko zależy — teraz od hartu ducha i od kondycji fizycznej; ale przede wszystkim od woli ocalenia. Ojciec Carlosa, doktor Va-

A przecież mogłoby się zdziżyć, że w tym samym czasie Jacys ostatni „dłczy” w jakichś tam resztkach prawdziwej dżungli dopiekaliby właśnie na rozżarzonych kamieniach smaczkowicie przyprawioną „długą świnię”.

Tak, Ziemo, twarz twoja ma wiele masek. Każda z nich inna, każda bardzo ludzka. Nawet te maski najokrutniejrzebione są też dziełem człowieka. A góry śnieżne i góry lesiste, jeziora i rzeki, stepy szerokie jak morza, pustynie i oceany to tylko tło, tylko tło, tylko tło, tylko...

Kiedy poskarzę się komuś, jak człowiek człowiekowi, że często boli mnie o tu, wie pan, nie, wyżej, czort jego wie, podobno trzustka -- to na pewno zaraz usłyszę serię opowieści o straszliwych przypadkach komania z powodu trzustki. Kiedy koleżanka w biurze pochwalla się, że lekarz stwierdził u niej kamień woreczka żółciowego, wszystkie obecne przy tym panie na wysięgi zaczęły opowiadać, jak często diagnozy są mylne i zamiast woreczka okazuje się „coś gorszego”, a już wiemy wszyscy go to znaczy, albo jakie te kamienie potrafią być ogromne — sama widziałam, lekarz brał do ręki jak piłkę tenisową, a pacjentka żyła jeszcze potem dwa czy trzy miesiące.

— Nie chcę tutaj pana str-



PITAVAL

Poczytność pierwszego wydania „Pitavala Krakowskiego” skłoniła wydawców do wznowienia publikacji, która — mimo wyższej ceny — jakże zniknęła już z półek księgarń. Byli już pitawale warszawskie, literackie, były pitawale wielkopolskie. Krakowski wszakże wydanie się być pozycja należąca. Może tylko pitaval literacki dorównuje mu atrakcyjnością.

Bo proszę zważyć... Zaczyna się historycznie od sporu kanonika Czarnkowskiego z żakami, od sprawy Andrzeja Wierzyńskiego. Potem mamy sławną Barbarę Ubryk, słowna dziś (po filmie Królikiewicza) sprawę Maliszów, aż po proces niedźwiedzi Watora, której finał nie nastąpił, bowiem Środ Najwyższy nie zdążył jej opatrzyć... Wzbucha wojna. Trzej autorzy: Stanisław Salomonowicz, Janusz Szłaja i Stanisław Waltoś — przedstawili czytelnikom prawie trzydzieści głosnych procesów krakowskich. Nie są to „kryminalki” — o potocznym znaczeniu tego słowa. Są to dokumenty czasu, ewentualnie — autorzy piszą te opowieści dokumentalne z pasją historyków, raczej niż z zadaniem łowców minorynych sensacji. Spełnia więc „Pitaval krakowski” doskonale dwie funkcje: jest lekturą pozrytualną i nowelarną, a jednocześnie jest lekturą wartościową i pouczającą.

Stanisław Salomonowicz, Janusz Szłaja, Stanisław Waltoś „Pitaval krakowski”, Wyd. Literackie, cena 55 zł.

POGRANICZE POWIEŚCI

Kazimierz Wyka wydał swoją głośną książkę „Pogranicze powieści” w roku 1948, a więc na tyle dawno, aby nowe pokolenie uznało ją za dzieło nowe. W istocie eseje Wyki nie zastarzały się przez te ponad dwadzieścia lat i jest to książka tak samo pasjonująca i młoda. Dwadzieścia parę lat temu prezentował Wyka na łamach pracy literackiej twórczość młodych pisarzy: Brandysa, Borowskiego, Konwickiego, Parnickiego, Szmajewskiego, Putramenta, Sandaury... Dziś to już klasyki i także etki-kawy jest czytelnik literacki z tamtych lat. Zwalazca, że obecne wydanie „Pogranicza powieści” wzbogacone jest szeregiem publikacji Kazimierza Wyki z cyklu „Szkoła krytyczna”, publikowanych w „Odrodzeniu” oraz zawiera późniejsze szkice z „Nowej Kultury” i „Zwicia Literackiego”. Na dobrą sprawę jest to w pełni 500-stronicowe księstwo zamknięte cała bez reszty prozą polski Ludowiek. Nie umknęło Wyce nic, co dla współczesnej powieści byłoby istotne — naprawdę trwale i godne zapamiętania.

Kazimierz Wyka „Pogranicze powieści”, Czytelnik, cena 70 zł.

PAMIĘTNIKI DZIENNIKARZA

O „Kurierze Warszawskim” mówiono, że jest nie tylko gazeta, ale także instytucja użyteczności publicznej stolicy, równie niezbędna jak oświetlenie, wodociąg czy komunikacja. Przez ponad sto lat „Kurier Warszawski” kształtował opinie i gusty intelektualne warszawiaków. Tak było z redakcją Wacława Szymańskiego, tak było i później, kiedy redaktorem naczelnym został zięć Szymańskiego, Konrad Olchowicz. I właśnie pamiętniki Olchowicza ukazały się ostatnio w Wydawnictwie Literackim... W Krakowie. Nie wiem, jakimi drogami chadzała editorska koncepcja, ale odnotowuję to jako ciekawostkę, że książka tak autentycznie warszawska ukazuje się w wydawnictwie krakowskim. Nie jest to zresztą najważniejsze, dobre, że pamiętniki Olchowicza w ogóle wydane. Jest to bowiem niezwykle cenny i świetnie napisany dokument dwu dziesięcioletniego lat warszawskiego dziennikarstwa — elity umysłowej stolicy. Czwadziestu lat poświęconie służbie najpopularniejszej stołecznej gazecie — ogromny bagaż wspomnień i refleksji! Książka, która poszerza naszą wiedzę o minionych latach — jeszcze jeden znakomity pamiętnik z polki „Warszawianów”.

Konrad Olchowicz „Czwierć wieku z „Kurierem Warszawskim”, Wyd. Literackie, cena 30 zł.

W KRĘGU „KAMENY”

Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, założyciela chełmskiej, a później lubelskiej „Kameny”, przedstawiać nie trzeba. Pisarz, tłumacz, prozaik, poeta, felietonista, editor... Właściwie każde z tych określeń do KAJ-a pasuje. Od jakiegoś czasu ukazują się w Lublinie kolejne tomy wielkiej, dwunastotomowej edycji „Pisma” Kazimierza A. Jaworskiego. Ostatnio otrzymałmy dziesiątą już książkę z cyklu „Pisma”. Wszystkie to esejistyczne, artykulacyjne, opowiadaniowe, powieściowe, w kręgu „Kameny” awansowały. Jeśli były drukowane gdzie indziej, to dla Jaworskiego „Kameny” była nie tylko treścią życia, ale była tego życia dziełem. Uporowi i pasji tego pisarza zawdzięczamy pismo, które dziś jest najstarszym i najpopularniejszym literackim polski. Do dzisiaj — pismem obrotowym dobra tradycja. Kolejny tom „Pisma” K. A. Jaworskiego czytamy jak uroczą siwa rerum. Są tu i rozprawki i poezja i notatki z podróży i świetliki pisarzy (Staff Tank, Strug, Hercen) i felietonowe gawędy o wszystkim i o niczym... Jest to książka żywa, mówiąca o sprawach wciąż nas obchodzących, wciąż aktualnych. Róż jeszcze sprawdził się, że nie umiera pisarz, gdy żyje jego książka.

Kazimierz A. Jaworski „Pisma”, tom X, Wyd. Lubelskie, cena 50 zł.

CZWARTA WŁADZA

„Czwarta władza” nazwał kiedyś Angliey prasę. Było to niejako uzupełnienie monteskiuszowskiej trójcy — władza ustawodawcza, władza wykonawcza i władza sądownicza. Stąd tytuł pracy Andrzeja Paczkowskiego, choć oczywiście dziś to tylko metafora, bowiem prasa nawet w metaforycznym sensie owej władze roli nie pełni. Prasa dawniej i dziś — także jest hasło i taka myśl świetnej książki Paczkowskiego. W krótkim zarysie przedstawiono tu historię prasy od jej początków po dzień dzisiejszy, scharakteryzowano zmiany jakościowe i ilościowe, także zachodzące w ciągu czterech stuleci istnienia prasy. Ktoś z historyków powiedział, że „historia gazet jest złożona i trudna, ale da się bowiem oddzielić od ogólnej historii cywilizacji”. Tak jest w istocie i tylko rozstrzygnięcie dzieł prasy w kontekście zjawisk historycznych i cywilizacyjnych, może pozwolić na poznanie drogi, jaką przebiegała prasa. A przebiegała drogą obywatela. Od oświeceniowego światła papieru drukowanego w kilkadziesiąt egzemplarzy, do wielomilionowych nakładów wielkich dzienników. Autor analizuje rolę prasy w życiu społecznym, jej polityczne i kulturowe działania, mówi o tej sferze życia, która dziś dla milionów stała się nieodzowna jak chleb codzienny. „Czwarta władza”, choć utraciła swoją wataśkę rolę, zyskała nową — stała się artykułem pierwszej potrzeby.

J. WIL.

Andrzej Paczkowski „Czwarta władza”, Wiedza Powszechna, „Omega”, cena 15 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

- Jan Himilbach — „Przemyślenia”, Wyd. Czytelnik, cena 15 zł.
Vercors — „Bitwa milońska”, Wyd. Czytelnik, cena 22 zł.
„Teoria badań literackich za granicą”, Praca zbiorowa, Wyd. Literackie, cena 120 zł.
Tadeusz Kalkowski — „Tysiąc lat monety polskiej”, Wyd. Literackie, cena 180 zł.
Julian Krzyżanowski — „Historia literatury polskiej”, PIW, cena 140 zł.

FILM

JANOSIK! JANOSIK!...

Kinowa premiera „JANOSIKA” w reżyserii Jerzego Passendorfera o pierś wyprzedziła telewizyjną emisję serialu, którego trzynastę odcinków w któreś tam wieczory tygodnia posadzi przed telewizorami miliony ludzi. Korzystając z dobrodziejstwa jednego ze środków masowej komunikacji, telewizorów — na przemian przeżywać będą przygody Odysusa i Janosika jako że serialowe szaleństwo w Telewizji Polskiej trwa i eksploatauje znieuwalającą moc gatunku. Człowiek kinowego „Janosika” firmowanego przez Telewizję Polską i Film Polski donosi o twórczej i dystrybucyjnej koegzystencji obu instytucji. Kina nie straszy dziś już widmo telewizyjnej konkurencji. Barwno i jednoczesnego „Janosika” ludzie przyjdą do kina, bo iż, by ze spokojem oglądać później, w domowym już zaciszu mniej barwnego, ale za to bogatszego „Janosika” telewizyjnego. Reżyser Passendorfer zapewnia nas dodatkowo (vide „Prasowy Serwis Filmowy” nr 6/74), iż „film ma nieco inny charakter niż serial i choć zamyka się w tych samych ramach, stanowi odmienną jakość”. A więc nie czekając na rychłą telewizyjną premierę, a już na pewno na zakończenie Janosikowych przygód, wybieramy się do kina, mając na uwadze nie tylko komparatystyczne

cele, ale i inną jakoś artystycznego przeżycia. Obowiązek recenzenta każe w tym miejscu donieść, że udając się na kinowego „Janosika”, zrealizowanego według scenariusza Tadeusza Kwiatkowskiego przez Jerzego Passendorfera należy w domu pozostawić pamięć legendy, wyniesioną z ludowych opowieści i jej literackiej trawestacji, dokonanej przez Kazimierza Przerwę-Tetmajera, który skądinąd jest patronem omawianego przedsięwzięcia filmowego. On to bowiem kiedyś napisał: „Janosik jest tytuł, nie legend o nim”. Mając więc czyste sumienie, realizatorzy filmu powołali do życia jeszcze jedną legendę, wyrosłą tym razem z ducha filmowych tradycji kina „serca i szpady” i „nieco starszych kulturowo, mianowicie z ducha operetki i farsy. Autorzy filmu informują, że akcje polskiego „Janosika” przebiegają na początku wieku XIX, aby nie popaść w konflikt z Janosikiem, ludowym bohaterem Słowaków, który żył i działał na przełomie XVII i XVIII wieku i o którym legendy krążyły także i po polskiej stronie Tatr. Oglądając efekt tej decyzji, sędzić należy, że służyło to raczej możliwościom wprowadzenia elementów szampańskiego humoru, wziętego właśnie z operetki — taki bowiem jest rodzajowy wazy-

stkich postaci z kręgu austro-węgierskich tradycji i takie też są w filmie postacie zaboborów i bratających się z nimi cieniów sarmackiego chowu. Farsowo-operetkowa stylizacja bohaterów z tego właśnie kręgu sprawia, że Janosikowie bunt i działanie tracią po trosze swój sens. Przeciwnik nie jest groźny, bo jest śmieszny, a zbrojnicę eskapady przeciw możnym tego świata są znakomicie przesiągnięta w fortelach. Widz uciechy ma zatem co niemiarą, tym bardziej że zarówno scenarzyści jak i reżyser tej zabawy wykazali niespodziewanie wiele, jak na polską tradycję, umiejętność aranżowania i inscenizacji kolejnych hajducko-zbrojniczych hec. Aktoży: Czechowicz — Hrabia, Kociniak — Burgrabia z jednej strony, a Bilewski, Cnota, Pirkosz jako partnerzy Perepecki — Janosika bawia się w tym filmie znakomicie i z powodzeniem wciągają w to publiczność, która tylko od czasu do czasu przytomniejąc, rozgląda się i poszukuje na ekranie harnasia — Janosika. Wcielony w postać niezwykle urokliwego, promiującego meska uroda Marka Perepecki jest Janosik w całej tej historii bohaterem z innego filmu, co przynajmniej do końca konsekwentnie wytrzymało, finalizując rzecz, całą bardzo piękna

w obrazie sceną egzekucji. Cóż z tego, kiedy szlachetny i dzielny Janosik oraz cała jego sprawa rozplywa się w fajerwerkach humoru innych postaci i sytuacji. Snuje się Janosik nieco osowiały i tylko nasza pamięć legendy o nim przypisuje mu cechy i sensy, których w filmie tym tak naprawdę nie posiada. Dalszą konsekwencją wspomnianych wyżej zabiegów staje się to, że polska góralczyzna jawi się na ekranie w klasycznym cepelowsko-teatralnym wydaniu. Świadczy o tym między innymi piękne, świeżo wybudowane chaluupy, barwne, czyste, spod żelazka wyjęte stroje umęczonych przez cienie górali i bożych dziewcząt, lśniąca mundury hakdługów, kostiumy harnasiów i tak dalej, i tak dalej. Nie mając możliwości szybkiego porzucenia się z panem Szymonem Kobyliskim, muszę publicznie zapytać o to, jak to właściwie jest z tradycją pojedynków na szpady. W jakich okolicznościach trafia ona pod strzechy, a ścisłej do zbrojniczych jaskiń, jako że wszystkie pomniejsze, a także najgłośniejsze, między harnasem-Janosikiem i harnasem-Bardosem pojedynki, na te broń właśnie się odbywa. Efektowne to w kinie, nie powiem, tym bardziej w wykonaniu Marka Perepecki, ale ciekawym stereotyp wleź w podświadomości siedząc, przeszedł w obserwacji okrutnie. Ale o co mi właściwie chodzi? „Janosikowo było tytuł...” Mamy więc jeszcze jednego. Dobrze nam tak, pociesmy legendom filmowym daj miejsce pierwsze wśród, innych.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

ODWAŻNA PRÓBA

Jest taka kompozycja plastyczna Władysława Hasióra — na metalowym postumencie, którego konstrukcja najeżona przprowadami i izolatorami przypomina słup, linii wysokiego napięcia, są tam także zamocowane dwie metalowe, lśniące półkule. Całość sprawia wrażenie tajemniczego mechatyzmu, martwego i odpychającego. Tytuł: „Telewizor”. Przypominam tę pracę Hasióra, aby wskazać na osobliwy paradoks, jaki zawierał się w pomysłcie ukazania artysty i jego twórczości właśnie na ekranie telewizyjnym. I byłoby to paradoksem powierzonego i niewiele w gruncie rzeczy znaczący, gdyby nie stały za nim inne, istotniejsze. Oto bowiem „artysta współczesnej awangardy” — w tym celu, twórca elitarny demonstruje i objaśnia swoją twórczość, odpowiada na pytania przed wielomilionowym audytorium. Decyzję umieszczenia tej audycji w programie I, tuż po włoskim komiksie na podstawie „Odysei”, w niedzielę w godzinach wieczornych, a zatem w najlepszym czasie antenowym uznane należy za fakt o doniosłym znaczeniu kulturalnym. Inna sprawa czyli paradoks kolejny, że plastyka Hasióra ujrana w telewizji traciła niekiedy swe

najistotniejsze walory artystyczne, sprowadzając swoją wartość do ukazania samego pomysłu, a zacierając plastyczny sens jego realizacji. Krytykowałem kiedyś TV za swoista obojętność wobec najszlachetniejszych zjawisk narodowej kultury i za brak programów, które inicjowałyby kontakt powszechny z autentyzmem dziełami współczesnej sztuki. Tymczasem program „Sam na sam z Władysławem Hasiorem” idealnie spełnia ten postulat. Była to niewątpliwie odważna próba takiej inicjacji i to próba tym bardziej interesująca, że zakładała ryzykowną konfrontację artysty z publicznością. Formuła autorskiego spotkania „Hasiorem, który ustosunkował się do telefonicznych pytań widzów i prowadził dialog z krytykami była pomysłem szczęśliwym i zdecydowała o pasjonującym przebiegu tego spektaklu. Zerwanie kontaktu artysty z publicznością we współczesnych czasach jest najbardziej radykalne w sztukach plastycznych. Od czasów rewolucji kubistycznej opanozała bezradność, która oszałamiała odbiorcę w obliczu nowych zjawisk pogłębiała się coraz

bardziej i przetrzała się w agresywną niechęć. Nastąpił generalny kryzys zaufania do malarzy i rzeźbiarzy, którzy postanowili ostentacyjnie zerwać z regularnym mitemizmu na rzecz walorów czysto plastycznych uprawianej sztuki i bardziej złożonego atakowania wrażliwości i wyobraźni. Artystyczny język ich wypowiedzi stał się hermetyczny i domagał się wyspecjalizowanego wntajmniczenia o charakterze intelektualnym. Jednocześnie ogromna dynamika rozwoju XX-wiecznej sztuki, mnogość prądów, kierunków i szkół, dodatkowo sprzyjała dezorientacji i zdecydowanie zaważała kreję wntajmniczenia. Niektóre techniki artystyczne polegające na wyzwalaniu przypadku w procesach kreacyjnych, stawiające na automatyzm twórczego gestu zbурzyły tradycyjne wyobrażenia na temat warsztatowego trudu artysty i zdyskredytowały równie tradycyjne pojęcie talentu. Ten znany stan rzeczy wpłynął na społeczny status i autorytet współczesnej sztuki. Jej socjologia jest socjologia małych grup, które w całkowitej izolacji dokonują kolejnych eksperymentów. I właściwie w szerszej opinii publicznej twórczość plastyczna istnieje jedynie dzięki szokującym częstokroć pomysłom i eksperymentatorów lub dzięki sensacyjnym kradzieżom uznanych arcydzieł. Twórczość, którą uprawia Hasiór leży w samym centrum awangardowych tendencji. Odbiorcy, którego kontakt ze sztuką piękna kończy się na Matejce i na Godebskim, z wielkim trudem przyjdzie rodzajowe na-

zwanie dzieł Hasióra, bowiem pojęcia malarstwa i rzeźby w wielu wypadkach tracą swoją użyteczność. Hasiór, wychowawca zakopiańskiej szkoły rzeźby prof. Kenara kojarzy w swoich pracach dwa odległe źródła inspiracji: prymitywny folklor podhalański i wyrafinowane koncepty plastyczne pop-artu. Hasiór w swojej praktyce twórczej panicznie ucieka od dosłowności i celowo zaciera zbyt oczywiste przesłanie swoich kompozycji. Od literackiej wykładni istotniejszy jest dlań wstrząs emocjonalny i siła wyrazu. Stąd tak ceni żywioł ognia, którym podpala swoje rzeźby i wyobraźnię widza. W tym telewizyjnym spotkaniu z widzami, którzy niekiedy brutalnie atakowali jego sztukę, Hasiór imponował ogromną świadomością artystyczną. Potrącił z niej całą prostotę, precyzję i jasność wykładu, zajął zaleźnia swoją twórczością, wyjaśniał złożone związki pomiędzy estetycznym celem a zastosowanymi środkami, a także dzielił się zwróceniem. Ten dzielnik ton wstrząs, jasność — umysłowa powaga — uczucie — intelektualna budź — szacunek i zaufanie dla artysty. Jakże różniły się te wypowiedzi od bełkotliwych manifestów współczesnych pseudoawangardzistów! Próba portretu Hasióra okazała się nader cennym doświadczeniem telewizyjnym. Wina stała się przedemsem w działaniu na rzecz mądrego propagowania polskiej sztuki współczesnej.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

PLASTYKA

KOWAL POKOJU

W Salonie Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza pokazano gobeliny Jeana Lurcata z cyklu „Pieśni Świata”. Ostatnia niedokończona praca artysty, którego siła talentu, potęga wyobraźni, różnorodność artystycznych działań i najszerzy, najgłębszy humanizm zdumiewała nas i napawała szacunkiem i wiarą w sztukę i w człowieka. Pokazane gobeliny zrobiły na mnie wrażenie ogromne i głównie dlatego nie czuję się na siłach pisać o nich w tej chwili, kiedy jestem jeszcze pod ich przemożnym urokiem, kiedy nie nabrąłem koniecznego jeszcze do dzieł tych dystansu, kiedy wreszcie doznania moje są nazbyt świeże i złożone. Dlatego miast tradycyjnej recenzji chcę oddać głos samemu artyście. On to chyba, poeta, teoretyk, malarz, dekorator teatralny, a nade wszystko twórca wspaniałych kartonów do gobelinów najlepiej i, jak sądzę, najpełniej ujmie istotę swojej pracy, sedno idei, która była powodem powstania „Pieśni Świata”, cyklu uważanego powszechnie za jego szczytowe osiągnięcie artystyczne.

Na „Pieśni Świata” miało początkowo składać się 15 gobelinów o łącznej długości 125 metrów i wysokości 4,40 m. Zrealizowanych zostało w latach 1957—1960 jedynie 9. Dziesiąty, „Ornamentos Sagrados” został niedokończony... Cztery gobeliny są apokaliptyczną wizją zapytań, pozostałe są pieśnią życia. Ale posuchajmy, co powiedział o swojej ostatniej pracy Jean Lurcat: „Mając przed oczami dzieło — wynik pracę malarza i ekipy wykonawców, tkaczy z La Creuse. Dzieło to zostało rozpoczęte około roku 1957, ale na kilka lat wcześniej zanim pierw-

ni się w trującej magmie i niczego (...), już nie będzie. Gruzy i ludzkie zgrubienia w Nagasaki i w Hiroszimie ostrzegają. Na prawo kolyse się na falach statek, prowadzi go człowiek, ponlewał on pdał stał się pąsem stworzenia. Bo on jest w stanie zniszczyć skażać na zagładę. To jednak człowiek jest sternikiem, ale ponad nim jest tur, byk, groźne brutalne monstrum, żarzące wszystkie, co żyje. To dlatego wszystkie zwierzęta, wszystkie rośliny, na statku dotknęła zaraza. Pierwsze wybuchy rozsywały już niebo, ale jeszcze nie nie jest stracone. U stóp człowieka jest sowa, ptak Pallas Ateny, Mądrość, która czuwa mimo wszystko, aby człowiekowi, który nazwał się Homo Sapiens, oszczędzony został los bezsilnego obrzydła... A jednak dotknęło nas przecież najcięższe nieszczęście — była Hiroszima, była Nagasaki.

„Człowiek z Hiroszimy” — poszarpany, unicestwiony przez bombę, wypatroszony jak zwierzę. „Trumnieńca”. Biblioteka Aleksandryjska spłonęła przez głupotę człowieka, a nasz świat, świat, który budujemy powoli i mozolnie własnymi rękami, poraził ten trędowaty kózki, i krag, który mógłby być kregiem braterskim, stał się kregiem piekielnym Homo Sapiens okazał się tylko alchemikiem, głupim i nierozważnym. Doszedłem do „Końca”. Niczego już nie ma wokół ziemi prócz zimnego i skażonego śniegu (...). Milczenie było by tchorostwem, wierze, że głosy ludzi dobrej woli nie zagłuszą strach i panika. Druga część poematu „Człowiek w chwale w erze pokoju”: człowiek jest stworzony z pierwiastków najlepszych i najgorszych, tkwi jednocześnie i w błocie i w świetle. Czują nad nim Mądrość, ale cała mądrość świata będzie bezsilna, jeśli nie ożywi jej uczucie. Golab i Sowa, symbole pokoiu i mądrości, jeśli one są w pobliżu człowieka, to oplatają i wypielniają go liście i gwiazdy, źródła i błonienia.

„Szampania” — to wybuch,

ANDRZEJ GRUN

MAGAZYN



POWRÓT CHĘCI

Pan Gwidon Z. stracił chęć. Po prostu bez tej nie można było już patrzeć na tego sympatycznego niegdyś człowieka. Godzinami wpatrywał się w nieskończoność, chęć jednak nie wracała. Tragedia wisiała w powietrzu, gdyby nie Gospodarz Bloku. Kupił on panu Gwidonowi bilet do kina i siłą zaciągnął na salę. Już po pierwszym seansie krajowego filmu, chęć wróciła na miejsce. Wdzięczny pan Gwidon Z. zaprzyjaźnił się z Gospodarzem Bloku. Tak, dzięki Ludzemu Filmu chęć już jest, niestety utrzymują się kłopoty z warunkami. Można przewidywać również wystąpienie wstydu i zahamowań.

KOLEJNE GRZECZNE PRZYPOMNIENIE

Korzystając z okazji, raz jeszcze grzecznie przypominamy, iż Łódź to polskie Hollywood. Osoby, które o fakcie tym zapomnieli, winny poczuć w tym momencie silne zawstydzenie. Tak, Łódź to polskie Hollywood i zawsze będziemy przypominać o tym, gdy tylko zajdzie potrzeba. Na tym kończymy nasze przypomnienie.

NIĆ POROZUMIENIA

W Łomży pewien młody człowiek zabawiał na ulicy przegodną publiczność, wkręcając sobie żarówkę w ucho i udając żyrandol. Przechodzący opodal starzec oświadczył, iż jest przekonany, że jest to dobry pomysł na wesolą komedię filmową. Tak więc między starcem a młodym człowiekiem nawiązała się serdeczna nić porozumienia.

PIĘKNE I POTRZEBNE

Młody operator meksykański Diego Organism postanowił, jako pierwszy na świecie sfilmonować proces jankania się, nie unikając jednak mądre przemysłowej, naturalnej widowiskowości tematu. Z uzyskanych materiałów powstał potrzebny i ciekawy film. Szczególnie korzystne wrażenie sprawia ponad stutysięczna międzynarodowa grupa jankających się chóralnie, ustawiona na tle piramid azteckich.



BAK WSPÓŁCZESNY I JEGO TWÓRCA

Mały Zygmunt ze szkoły im. Twórczości Kraszewskiego, własnoręcznie wykonuje przepiękne zwierzątka z przeróżnych materiałów. Wykonanym ostat-

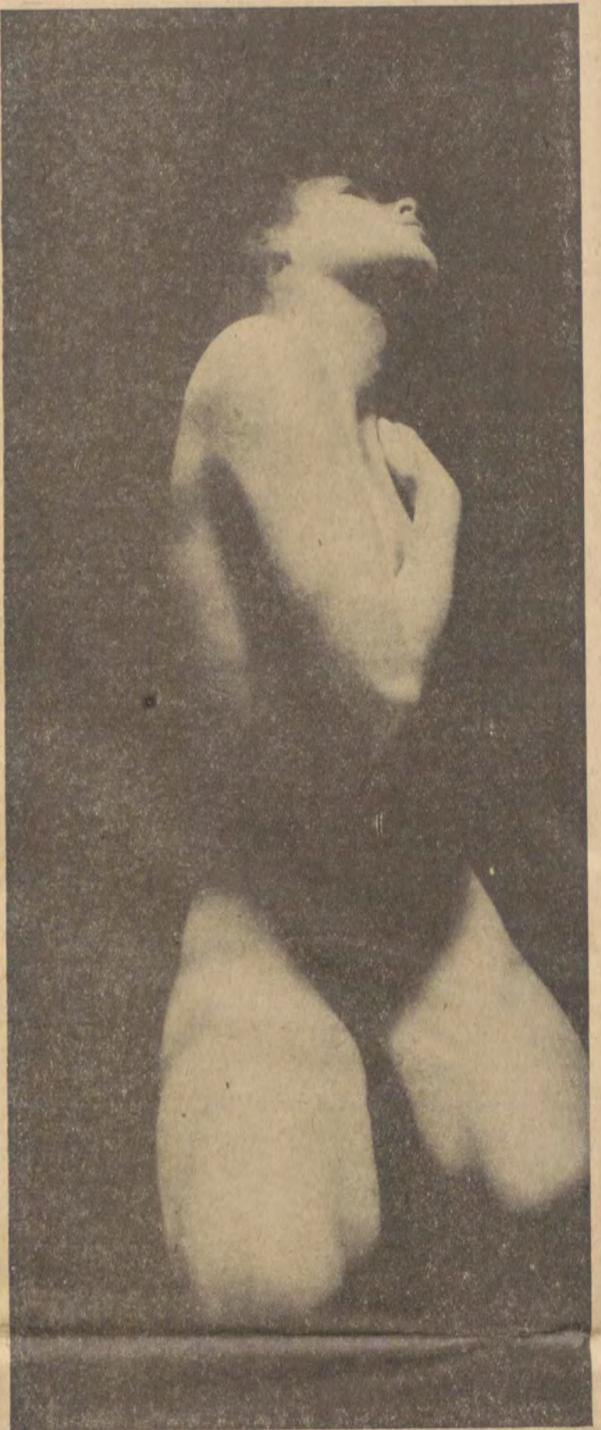
nio przez Zygmunta bąkiem z gumy zainteresowali się Twórcy Filmowi. W nagrodę za pracowitość i pomysłowość, chłopiec uści swojego baka w jednym z najbliższych współczesnych filmów fabularnych.

ZE WSPOMNIENI NASZEGO SZWAGRA

W trakcie konsumowania galaretki z nóżek Szwagier nasz przypomniał sobie, że na weselu jego, wśród zaproszonych gości nie było z całą pewnością Stan. Wyspiańskiego.

ROSNĄ MŁODE KADRY

Z ciekawą irytacją wystąpił Ośrodek Wychowawczy z Wiśnicy nad Godomichą. W Ośrodku tym powstało pierwsze Eksperymentalne Filmowe Przedszkole Kierunkowe. Wszyscy chłopcy uczęszczający do w/w Przedszkola zostaną w przyszłości reżyserami filmowymi, zaś dziewczynki gwiazdami. Nowością jest, że raz obranego zawodu nie wolno zmieniać przed ukończeniem 60-tego roku życia. Przedszkole prenumeruje tygodniki filmowe, śpiewa się też piosenki z polskich filmów muzycznych. Wzruszający podobno to widok, gdy po obiadku gromada „małych reżyserków” udaje się wraz z „gwiazdkami” do łóżeczek, na obowiązkową drzemkę. Dzieciaki były też już raz w kinie.



Z wystawy VENUS

fol. Bauman



TEREKLAAMA

Za tą obiecującą planszą ukazującą się w programie LOT, kryją się zwykłe, tradycyjne, prasowe ogłoszenia zakładów poszukujących pracowników. Telewizyjność tej reklamy polega na tym, że prezentuje się je w odcinkach, na tle muzyki, a to co można przeczytać na ekranie, czyta również lektor.

Nie jest to reklama w ogóle, a już telewizyjna tym bardziej.

GIELDA NOWOŚCI

„Powiększenia” giełda nowości trwa. Zgłaszamy do nagrody produkt „Goplany”. Wypuściła ona na rynek sztywnie opakowane kakao z elektryzującym napisem: „NOWOSC”. Kakao może i było nowością, ale na początku XIX wieku, kiedy to holenderski kupiec Van Houten opracował sposób odciskania tłuszczu z nasion kakaowca, dzięki czemu zmieszane ziarna kakaowca można było używać do robienia napoju. Co „Goplana” rozumie przez swoją „nowość”, pozostaje dla nas kakaową tajemnicą. Do nagrody zgłaszamy też nowość „Progaru”. Jest nią schab, tzw. garmateryjny, który różni się od schabu normalnego między innymi tym, że fabrycznie pociępano go w kawalki. Do nagrody zgłaszamy również pomysł „Powiększeń”: chleb garmateryjny w kromkach.

WYRASTALI, CZY NIE?

„Głos Robotniczy” w sprawozdaniu z meczu piłkarskiego między LKS a Legia donosi: „Wymieniliśmy na początku sprawozdania kilku łódzkich zawodników, którzy więcej niż poprawnie wywiązali się ze swych zadań, ale celowo zreferowaliśmy na zakończenie miejsce dla najlepszych w LKS-owskim zespole. Do nich należeli Korzeniowski (...) oraz Milczarski (...) obaj wymienieni piłkarze kontrastowo nie wyrostali jednak wczoraj ponad swych kolegów, bo na pochwałę zasłużyła cała drużyna LKS!”. Autora prosimy o wyregulowanie kontrastu.

„RUCH” ZADZIWIŁ

W piątkowym (26. IV, 74 r.) „Głosie Robotniczym” przeczytaliśmy z radością: „Masz szansę jechać na urlop własnym samochodem kupując los naszej loterii — od Jutra w sprzedaży — Wielka Loteria „GR” — Twoja loteria — Losy do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu” i w „Uniwersalu”. Kolegów z „Głosu Robotniczego” z radością informujemy, że już w piątek „Powiększenia” zdążyły przegrać większą sumę, kupując losy w kiosku „Ruchu”. Cieszy nas ogromnie ten fakt, bo jest to pierwszy wypadek w dziejach „Ruchu”, kiedy to nazwa zobowiązana do pospiechu instytucja dokonała czegoś przed terminem.

PYTANIE ZA 30 ZŁ

W „Dzienniku Łódzkim” („Podróże po muzyce”) Renata Grzelak pyta Henryka Czyżę: „Co tam w Paryżu?” Henryk Czyż odpowiedział: — „Był to koncert inauguracyjny z okazji otwarcia nowoczesnej sali koncertowej w nowym Pałacu Kongresowym...” A powinien był powiedzieć: — Dziękuję, wszyscy zdrowi!

ORTOGRAFIA EKSPERYMENTALNA

W informacji „Dziennika Łódzkiego” o nowym serialu telewizyjnym przeczytaliśmy: „Ody seja” na małym ekranie. „Odsyja” była, obok Illady... „Seja Ody” też byłoby niezłe.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

WOJCIECH ŻUKROWSKI

KAMIENNE TABLICE

Szli bez pośpiechu nawet zachowując przesadny odstęp. Minęli światła pergoli i jasniejąca jak głowica latarni morskiej portiernie, deptając wyschły trawnik, zmierzali prosto w mrok długiej w randy, ku drzwiom jej pokoju.

Szukając klucza, Margit poczuła na palcach gorącą dłoń, pamiętała, że zamek się zacina, i w tym geście pomocnej gotowości, jakim otworzył drzwi, był widomy znak napięcia i niecierpliwości.

We wnętrzu majaczyła lampka zapalona przez służbę, niski blask padał na rozścielone łóżko, jak biały turban, zwisała skrócona siatka moskitiery.

— Zaczekaj — powiedziała półgłosem, wstrzymując go wyciągniętą ręką, która przyciskała do policzka, dotykał wargami. Spojrzała z beznamiętną czułością, była w niej spokojna radość: mam go, jest mój.

— Zgasić? — Nie. Dla ciebie mogę się rozbiierać na środku Delhi — odrzuciła głowę wyzywająco, strząsnęła włosy na ramię.

Prowadził ją oczyma aż pod drzwi łazienki, dotarł stamtąd lekki zgrzyt błysku przy sukience, syk i trzepot zrzucanego jedwabiu. Rozplół węzeł moskitiery, która rozkręcając się gwałtownie chlaskała go po twarzy białym wiechem, zostawiając woń butwiejącej tkaniny, kurzu i płynu przeciw owadom, zasłona opadła i w niskim świetle widniała jak przezrysty namiot, który sięgając ziemi osłaniał całe łóżko. Zaczął się nagle śpieszyć, zrzucił sandały, zdarł koszulę, krawat leżał skrócony jak zalfuczoney wąż. Nasłuchiwał zimnego szumu wody bijącej w ciałko o kamienie posadzki, przesunął dłoń pod pachę, poczuł ostry zapach potu. Przekięte Indie, potrząsnął z grymasem głową, muszę się oplukać...

Czekał, Uniosł białą, gęstą siatkę i ukląkł na łóżku, które zadrgało pod jego ciężarem, czekał z rękami wspartymi na udach, oddychał z trudem, zdawało mu się, że wypełnia cały namiot żarem swego ciała z brązu i czarnej sierści.

A przecież to już raz było, na pewno było, już to przeżywał. Wszedł do tego pokoju również pewny jak dziś, że Margit będzie

jego, a jednak upokorzony musiał odejść. Wracała w snach, miał ją, przygarnął z całej mocy. A kiedy uniosł głowę w zachwyceniu, zdawało się, że ich czas odmierza wielkie wahadło skwierzące na ogniu. Znał, znał je do bólu i odrzy, „Nie wywołuj go, zapomnij!” — odezwał się głos — „życie należy do żywych”. Brzydził się sobą i trzymował nad tamtym, biła z niego samcza siła, tors półniewiał żyłkami potu, innego niż wycisnęły meczarłe z tamtego ciała.

Nie dosłyszał jej stapania, szła boso, dopiero gdy zjawiała się oparta o wiotką ścianę, pojął, że jest naga i mokra. Przegroda ugłębiała się pod dotknięciem jej dłoni i cofnęła, przenikał wzrokiem moskitierę, widział wzniesienie piersi, linie biodra i trójkatne zaciemnienie między udami. Podsunął się na kolana, wsparł dłoń na jej dłoń, miał ją tuż, oddzieleną tylko pianą przykrzonej siatki. Chciał Margit całować, ale lekki zapach stęchłyny i płynu przeciw owadom odpychał, chciał ją mieć opartą o pierś, przycisnąć do uszu, do bólu, by miał się w obręczy ramion jak ryba chwytana pod skrzela. Uniosł moskitierę, odsłaniała się przed nim. Kolana. Uda. Odrzeczony dreszcz, który przenikał męczyznie, kiedy dobywa z ukrycia ciało kobiety, znajoma tajemnicza, godna wzgardy i upragniona, marzenie chłopców, pożądanie oczu... Jednym szarpnięciem przerzucił moskitierę ponad jej głowę, aż spłynęła poza plecami, i oto osaczał ją, wyląwiał ramieniem, składał w pościeli, wędrował po niej wargami, uczał się tego ciała na pamięć, odnajdował piersi powolnie dłońmi, przywłaszczał sobie płaski brzuch, próbował kolan zębami jak jabłek. Cwilił ją spojrzaniem, była tu, i na mgnienie zapomniał o niej, chłonec w zachwyceniu skórę chłodną z nie startymi kroplami wody, rzeźwą, której smak dopiero poznawał.

Ociera się policzkiem o wnętrze jej ud, bardziej gładkie niż wargi zreblicia, czuje przemożną radość w odkrywanych wędrowkach, gdy mu się poddaje, jakby odruchowo wybiegając naprzeciw, przywiera i drży. Świadomie przemawia do jej ciała, nie do niej, spoufala się z nim, łamie opory, przekupuje pieczęcią, znowa z zalogą wbrew dowództwu, które by gotowe jeszcze się bronić. Porozumienie warg chwyliwych ze szczytem jej piersi, wchłanianie jej ciała, które nie niszczy, a ocala, oto kształt ucha zapamiętany ustami, palce przeczesują płomienie włosów, owocobranie... Kradnie jej oczy pełne świetlistych kruszynek, wargi na pół otwarte w bezbronnym wędniu odmiennym, nieznanym, wezbrane rozkoszą. Ona mnie nie widzi. Przymknęła oczy, zapomniała, choć czuje jej dłoń igrzające po nim, musnięciem, głaskaniem płochliwym, podobnym do skrzydła jaskółki krzącej iskry z niebieskiej gładzi stawu. Półniewnie podciągnęła kolana i rozwiła je ruchem motylim, a w tym bezwstydnym pragnieniu oddana jawi się piękno, które aż dawi. Ręce po łokcie zanurzone pod jej plecy, twarz uwikłana w twarde,

pachnących włosach, chłód jej skóry, która do jego piersi przywarła nikiem, już nie wie, nie czuje, gdzie jego ciało się kończy, a jej zaczyna. Jak przebiega granica, której zacieranie taką sprawiło mu radość, otacza ją sobą, chłonie, i ona się z nim splata, jest pod nią, na niej i w niej.

— Bardzo cię pragnę, Margit — ślania się jak ugodzony.

— Przecież mnie masz — slychać słowa niby wywołane z oddali, z dna sennego, i zdaje mu się, że nigdy jej nie podbije, nie zawładnie sercem, wyobraźnią, dlatego szuka porozumienia z jej trzewiami, wnętrzem ze śliskiego atlasu, słodką muszlą, jak szepcze, obyczajem zdobywców nazywając każdą część nowego ładu po swojemu, tajemną mową miłosnych praktyk, podobną do zaklania. Nieustannie wstępowanie, wlot w chmurę. I ona to pojmuje, czując jego ciężar, widzi dźwigniętą do góry głowę, spaloną słońcem wygiętą szyję, wie, że w tej chwili, choć całe to wyniesienie jest dzieki niej, prawie ją zapomniał, wzblił się i oddalił... Margit kolebie się dziko, jak fala po przelocie motorówki zwiera się i karbuje. Jek jej staje się rozkoszą męczyzyny, niby ostatni głos konającego wroga. Żeby rozchylone, wargi obrzękle, źrenice odpływają zmagone, nie przyjmujące światła... Oto jakby agonii, twarz powinna budzić lek, a jedynie zachwyca. I wreszcie już ma, co ścisnął z takim uporem, ma, choć chciałby, żeby ten lot trwał wiecznie... A ona już ku niemu powraca, sprawdza, czy jest, zaróżowiona, jak dobyte ze snu, zawstydzona, że go na chwilę porzuciła i odeszła w swoje orodry, podlegała teraz uszczęśliwiona, że mogła obdarzyć... Nagle, kiedy napięte ręce mu się zalamują, opada na jej pierś ciepłymi, otwartymi do dna wargami, powoli pelźnie ku jej szyi, Margit szepcze mu w ucho: ajker... — wymawia to po angielsku — ajker... długa chwila łagodnego otepienia miją, nim pojmuje Ikar — więc się tylko usmiecha.

Leżą przy sobie pod białym stożkiem moskitiery, śliskie od potu ciała spoczywają jak zgonione zwierzęta, które już się poznały i mają do siebie zaufanie. Palce Margit wędrują po jego piersi, wargi leniwie dotykają, muskają ramię, Przesuwa jej dłoń, ociera końce palców o swoje wargi i szepcze:

— Dziękuję.

(Fragment)

Wojciech Żukrowski — współczesny pisarz polski, autor m.in. powieści „Skapani w ogniu”, „Ręka ojca”, reportaży „Dom bez ścian”, „Z kraju milczenia”.